

NR 1 NA ŚWIATOWYCH LISTACH BESTSELLERÓW

SYLVIA DAY



NIE IGRAJ ZE MNĄ



 WIELKA LITERA

SYLVIA DAY

NIE IGRAJ ZE MNĄ



Z angielskiego przetłumaczyła Joanna Schulz-Kwiatkowska

 WIELKA LITERA

Dla mojej przyjaciółki, Anette McCleave,
za jej słowa zachęty i wsparcie.
Jestem Ci wdzięczna.

PROLOG 1

Paryż, Francja, 1757

Rozpaczliwie ściskając palcami krawędź stołu, Marguerite Piccard poddała się zalewającej ją fali podniecenia. Dreszcz przeszył jej ramiona. Przygryzła dolną wargę, by zdusić jęk rozkoszy.

– Nie powstrzymuj się – nakazał kochanek. – Twój jęk doprowadza mnie do szaleństwa.

Podniosła wzrok i spod przymkniętych z rozkoszy powiek, błękit jej spojrzenia napotkał w odbiciu lustra wzrok mężczyzny rytmicznie poruszającego się za nią. Pożądanie wibrowało w powietrzu buduaru i drżało z każdym pchnięciem jego bioder. Kochając się z nią, oddychał ciężko. Okryte złą sławą, zmysłowe usta markiza Saint-Martin wykrzywiła rozkosz, gdy patrzył na jej zatracenie. Jego dłonie pieściły bujne piersi Marguerite, zmuszając ją, by poruszała się w takim samym rytmie jak on.

Ich ciała wygięły się nagle jednocześnie od fali orgazmu. Spoceni, łapali oddech z wyczerpania. Krew buzowała jej w żyłach. Czula namiętność kochanka, dla której wyrzekła się wszystkiego – rodziny, przyjaciół, godnej przyszłości. Tylko po to, by z nim być. Wiedziała, że kochał ją równie mocno. Dowodził tego każdy jego dotyk, każde spojrzenie.

– Jesteś taka piękna – powiedział, przyglądając się jej odbiciu w lustrze. Kiedy nieśmiało zaproponowała zmianę miejsca, uśmiechnął się zachwycony. – Do usług – zamruczał, zrzucając ubranie i ciągnąc ją do buduaru. W jego ciemnym spojrzeniu była żądza i drapieżność, od których ogarniało ją gorąco i drzenie. Seks

był dla niego czymś naturalnym, nieodłączną częścią jego natury. Był wyczuwalny w jego skórze, w każdej wypowiedzianej przez niego sylabie i widoczny w każdym ruchu. I był w tym niedościgniony.

Od pierwszej chwili, gdy blisko rok temu ujrzała go na balu Fontinescu, oczarowała ją jego złota uroda. Jego karmazynowy strój przyciągał każde spojrzenie. Marguerite przybyła na bal w jednym celu: by zobaczyć go na własne oczy. Jej starsze siostry szeptały o jego licznych skandalicznych romansach i bezwstydnym zdobyczach. Był wprawdzie żonaty, ale porzucone kochanki i tak otwarcie usychały za nim z tęsknoty, płacząc pod jego domem, błagając o choćby chwilę uwagi. Tym większa była jej ciekawość, jaka powierzchowność skrywała takiego nikczemnika.

Saint-Martin nie rozczarował. By ująć to najprościej, nie spodziewała się, że będzie on aż takim... samcem. Ci, którzy zwykle oddawali się pogoni za występkami i zbytkiem, rzadko bywali męscy. A on zdecydowanie taki właśnie był. Nigdy wcześniej nie spotkała mężczyzny, który by tak bardzo mącił spokój kobiecego umysłu. Markiz był wspaniały. Jego wygląd wywierał porażające wrażenie, a rezerwa w jego zachowaniu była dodatkowym wabikiem. Miał, tak jak ona, złote włosy i skórę, pożądała go każda kobieta we Francji. Było w nim coś takiego, co dawało obietnicę wyjątkowej przyjemności. W jego powłóczystym spojrzeniu czaiła się dekadencja i zakazane uciechy – to wystarczało, by się w nim zatracić. Markiz był dwa razy starszy od osiemnastoletniej Marguerite. Miał też uroczą żonę. To jednak nie powstrzymało Marguerite, by natychmiast poczuła silne pożądanie do markiza. Ani też on do niej.

– Zniewoliła mnie twa uroda – wyszeptał jej do ucha tej pierwszej nocy. Stał blisko niej, gdy czekała przy parkiecie. Szczupłym ciałem oparł się o duży filar. – Muszę za tobą podążać lub cierpieć z powodu rozstania.

Marguerite patrzyła przed siebie, ale każdy nerw jej ciała zadrżał od bezwstydnosci tego wyznania. Jej oddech przyspieszył, a ciało

obląła fala gorąca. Choć nie patrzyła na niego, czuła na sobie ciężar jego spojrzenia.

– Znasz panie piękniejsze kobiety ode mnie – odpowiedziała.

– Nie. – Jego silny, niski głos zatrzymał jej serce. A następnie przyprawił je o palpację. – Nie, nie znam piękniejszych od ciebie.

W jego głosie brzmiała szczerłość. I wbrew zdrowemu rozsądkowi, uwierzyła mu. Trwała w tej wierze, gdy następnego ranka matka wezwała ją na rozmowę.

– Nie karm się naiwnymi myślami o Saint-Martinie – zawyrokowała baronowa. – Widziałam, jak na ciebie patrzył i jak ty go podziwiałaś.

– Wszystkie kobiety na balu go podziwiała, nawet ty.

Matka położyła rękę na oparciu otomany, na której siedziała. Mimo dość wczesnej pory jej twarz i peruka były już wypudrowane, a policzki i usta soczyście uróżowane. Porcelanowa uroda baronowej zyskiwała w srebrno-białym kolorze pokoju, co było oczywiście zamierzone.

– Jesteś moją najmłodszą córką i wyjdiesz za męża. A skoro markiz już jest żonaty, musisz skierować swoje zabiegi w innym kierunku.

– Skąd wiesz, czy jest szczęśliwy w małżeństwie? W końcu jego małżeństwo było aranżowane.

– Tak jak i twoje będzie, jeśli nie będziesz mi posłuszna – powiedziała baronowa, a w jej głosie zadźwięczała stal. – Twoje siostry znalazły sobie godnych małżonków, co pozwala mi na udzielenie ci odrobiny swobody wyboru. Wykorzystaj ją mądrze. W przeciwnym razie, sami wybierzemy ci męża. Może wicehrabia de Grenier? Podobno jego uroda jest równie krzykliwa co markiza. A to najwyraźniej cenisz u mężczyzn. Ale jest też młodszy, a tym samym łatwiejszy do ułożenia.

– *Maman!*

– Nie jesteś przygotowana, by poradzić sobie z mężczyzną pokroju Saint-Martina. On słodzi sobie herbatę takimi naiwnymi dziewczętami jak ty, po czym rzuca się na mniej subtelne panny.

Marguerite ugryzła się w język. Zdawała bowiem sobie sprawę, że nie wie na jego temat nic, poza plotkami i opowieściami.

– Trzymaj się od niego z daleka, *ma petite*. Nawet najmniejszy skandal cię zniszczy.

Wiedząc, że matka ma rację, Marguerite zgodziła się z nią i solennie poprzysięgła sobie trzymać się danego słowa.

– Jestem pewna, że i tak już o mnie zapomniał.

– *Naturellement*. – Baronowa obdarzyła ją współczującym uśmiechem. Marguerite była jej ulubienicą, ze wszystkich córek najbardziej podobną do matki z urody i temperamentu. – Ta rozmowa ma na celu przypomnieć ci, co jest właściwe.

Saint-Martin okazał się znacznie bardziej zdeterminowany niż przypuszczały. Przez kilka kolejnych tygodni Marguerite ciągle na niego wpadała, co tylko utrudniało próby zapomnienia o markizie. Dodatkowo wokół narastały spekulacje na temat powodów jego naglej utraty zainteresowania typowymi dla niego podbojami. Podsycało to tylko jej nadzieję, że celowo aranżuje ich przypadkowe spotkania. Nie mogąc już dłużej znieść tych domysłów i nie potrafiąc skupić się na poszukiwaniach właściwego kandydata na męża, zdecydowała się na konfrontację z markizem.

Chowając się za wielką rośliną, Marguerite czekała, aż markiz przejdzie obok, najprawdopodobniej szukając jej towarzystwa. Spróbowała wyrównać oddech, by wyglądać na spokojniejszą, ale jej wysiłki przyprawiły ją jedynie o zawrót głowy. Tak jak i przy ich pierwszym spotkaniu, tak i teraz im był bliżej, tym większe odczuwała oszołomienie. Wprawdzie jeszcze go nie widziała, ale czuła każdy jego krok. Coraz bliżej... i bliżej...

Gdy w końcu ukazał się jej oczom, wypaliła:

– Czego chcesz?

Markiz zatrzymał się w pół kroku, przekrzywił głowę w peruce w jej kierunku.

– Ciebie.

Wstrzymała oddech.

Stanął z nią twarzą w twarz, zbliżając się z niebывałą gracją, a bystrym spojrzeniem ogarniając od stóp do głów. Jego ciemne spojrzenie krążyło po jej ciele, a gdy bezwstydnie spoczęło na pierśsiach, te w odpowiedzi nabrzmiały.

– Przestań. – Wprawnym ruchem rozłożyła wachlarz, zasłaniając się nim. Czuła, jak w ciasnym gorsecie twardnieją jej sutki. – Wywołasz skandal.

Zacisnęła szczękę:

– I zniweczę twoje szanse na dobre zamążpójście?

– Właśnie.

– Nie przemawia do mnie ten argument.

Zamrugła.

– Myśl o twoim zamążpójściu – powiedział ponuro – doprowadza mnie do szaleństwa.

Marguerite podniosła rękę do gardła.

– Nic już nie mów – wyszeptła błagalnie. W głowie miała mętlik. – Brak mi twojego obycia, by droczyć się w ten sposób.

– Mówię szczerze, Marguerite – odpowiedział, nie odrywając od niej wzroku. Drgnęła na dźwięk swego imienia w jego ustach. – Nie mamy czasu na bezsensowne gierki słowne.

– Nie możemy pozwolić sobie na nic więcej.

Pod naporem jego bliskości, zrobiła kilka kroków w tył, aż za plecami poczuła ścianę. Przed ciekawskim wzrokiem skrywała ich jedynie wątpa bariera z liści. Mieli dla siebie tylko ten krótki moment.

Zdjął rękawiczkę i dotknął jej policzka. Zetknięcie ciał przyprawiło ją o falę gorąca, a jego zapach o ból w zakazanych miejscach.

– Też to czujesz.

Pokręciła głową.

– Ciągnie nas do siebie, nie zaprzeczaj – powiedział. – Reakcja twojego ciała na moje jest nie do ukrycia.

– Może po prostu się boję.

– Może po prostu jesteś podniecona. Jeżeli ktoś potrafi to rozróżnić, to z pewnością ja.

– Ależ oczywiście – odparła gorzko, nienawidząc siebie za zażdrość, jaką w tej chwili poczuła.

– Zastanawiałem się – wyszeptał, patrząc na jej delikatnie rozchylone wargi – jak to jest kochać się z kobietą taką jak ty, niewyobrażalnie piękną i zmysłową, ale zbyt niewinną, by wykorzystać te atrybuty jako broń.

– Tak jak ty wykorzystujesz swoją urodę?

W kącikach jego pięknych ust i oczu pojawił się uśmiech, zastępując malujący się w nich cynizm. Jej serce zatrzymało się na chwilę.

– To miłe, że uważasz mnie za urodziwego.

– Czy istnieje kobieta, która miałaby na ten temat odmienne zdanie?

Markiz z wdziękiem wzruszył ramionami.

– Zależy mi jedynie na twojej opinii.

– Nie znasz mnie. Być może moja opinia jest bezwartościowa.

– Bardzo chciałbym cię poznać. Muszę cię poznać. Od kiedy cię ujrzałem, nie mogę myśleć o niczym innym.

– Ale my nie możemy.

– Gdybym znalazł sposób, oddasz mi się?

Przełknęła ślinę przez ściśnięte gardło. Wiedziała, co powinna odpowiedzieć, ale nie mogła się do tego zmusić.

– Twa żądza przeminie – zdołała powiedzieć.

Saint-Martin odsunął się, spięty.

– To nie żądza.

– A cóż innego?

– Obsesja.

Marguerite obserwowała, jak ponownie wkłada rękawiczkę, celowo z ociąganiem. Palec za palcem, jakby potrzebował czasu, by odzyskać nad sobą panowanie. Czyż mógł być równie jak ona poruszony tym, co iskrzyło między nimi?

– Znajdę sposób, byś była moja – wycedził, pokłonił się i odszedł.

Patrzyła za nim roztrzęsiona pożądaniem.

Przez kolejne miesiące powoli topił jej opór, wykradając krótkie wspólne chwile przy każdej sposobności. Zadawał pytania o to, co działo się w jej życiu, pokazując, że z zainteresowaniem śledzi jej poczynania.

W końcu matka straciła cierpliwość i postanowiła spełnić swoją groźbę. Wybrała wicehrabiego de Grenier na przyszłego małżonka Marguerite. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej ten wybór nawet by dziewczynę ucieszył. Wicehrabia był młody, przystojny i zamożny. Wszyscy przyjaciele i siostry powtarzali jej, jak wielkie ma szczęście. Ale w sercu Marguerite zagościł już Saint-Martin.

– Pragniesz de Greniera? – zapytał markiz ponuro, gdy przyszedł za nią do pokoju wypoczynkowego.

– Nie powinienesz mnie o to pytać.

Stał za nią, widziała w lustrze jego odbicie. Twarz miał spiętą i poważną.

– On nie jest dla ciebie, Marguerite. Znam go dobrze. Spędziliśmy razem niejedną wieczór, bawiąc w niesławnych przybytkach uciech.

– Odradzasz mi więc mężczyznę podobnego tobie? – Westchnęła, widząc jego smutek. – Wiesz, że nie mam wyboru.

– Bądź moja.

Marguerite zakryła usta, by powstrzymać wybuch płaczu. Przyciągnął ją do siebie.

– Prosisz o zbyt wiele – wyszeptwała. Przyglądała się jego twarzy, by odczytać w niej jakieś oznaki podstępny. – Nie możesz mi niczego w zamian zaoferować.

– Moje serce – odpowiedział łagodnie, gładząc kciukiem dolną wargę jej ust. – Może nie jest zbyt wiele warte, ale jest twoje. I tylko twoje.

– Kłamca – syknęła, niejako w samoobronie przed tłącą się w niej nadzieją, rozpaloną jego słowami. – Jesteś nałogowym zdobywcą, a ja jedna ci się oparłam. Teraz twój towarzysz wygrywa z tobą w wyścigu, i to cię napędza.

– Sama w to nie wierzysz.

– Wierzę. – Uwolnwszy się z jego objęć, uciekła z pokoju.

Przez kilka następnych wieczorów Marguerite robiła wszystko, żeby uniknąć jego towarzystwa. Była to marna próba zduszenia w sobie fascynacji mężczyzną, który nigdy nie mógł być jej. Udawała chorą tak długo jak się dało, ale w końcu musiała wyjść z ukrycia.

Gdy znów się spotkali, była zszokowana jego wyglądem – przystojna twarz była teraz zapadnięta, usta zaciśnięte, a cera blada. Od jego widoku bolało ją serce. Przez chwilę patrzył na nią, po czym odwrócił wzrok.

Zmartwiona jego stanem, celowo stała w ustronnym miejscu, licząc, że do niej podejdzie.

– Bądź moją – powiedział od razu, pojawiwszy się za jej plecami. – Nie zmuszaj mnie, bym cię błagał.

– Zrobiłbyś to? – zdołała wydobyć z siebie ledwie słyszalny szept, bo gardło miała zbyt ściśnięte. Odczuwała jego bliskość mrowieniem w całym ciele, co po tygodniu otepienia było dużą odmianą. Przerażało ją, jak wiele znaczyły dla niej te krótkie wspólne chwile. Ale jeszcze bardziej przerażała ją myśl o tym, że miałyby ich w ogóle nie być.

– Tak. Chodź ze mną.

– Kiedy?

– Teraz.

Marguerite wyszła z nim, porzucając wszystko, co było jej drogie. Zabrał ją do swojej rezydencji – niewielkiej willi w eleganckiej dzielnicy.

– Ile kobiet sprowadziłeś tu przede mną? – zapytała, podziwiając wyszukaną prostotę kremowo-orzechowej palety barw.

– Ty jesteś pierwsza. – Złożył pocałunek na jej karku i dodał: – I ostatnia.

– Byłeś tak pewny mojej kapitulacji?

Zaśmiał się miękko i zmysłowo.

– Do niedawna to miejsce służyło znacznie mniej przyjemnym celom.

– Och?

– To opowieść na inny wieczór – obiecał, a jego chrapliwy głos przepęłniała żądza.

Od tamtej pory rezydencja była jej domem, schronieniem przed cenzurą i potępieniem socjety za zostanie jego kochanką bez przyzwolenia.

– *Je t'adore* – wyjęczał Saint-Martin, a pchnięcia jego bioder stały się mocniejsze i szybsze.

Jego potężny członek nabrzmiał w niej jeszcze bardziej, dając jej niezwykłą rozkosz. Jęknęła. Napierał na nią, by wejść w nią jeszcze głębiej. Atletyczne, męskie ciało mocno przyciskał do niej. Ustami pieścił jej ucho.

– Dojdz dla mnie, *mon coeur* – wyszeptał.

Ręką sięgnął między jej uda i wprawnymi palcami zaczął pieścić nabrzmiałą lechtaczkę, dokładnie tak jak pragnęła. Pieszczoty w połączeniu z długimi, rytmicznymi pchnięciami sprawiły, że nie mogła dłużej powstrzymać zbliżającego się orgazmu. Szczytowała, krzycząc. Rękoma sięgnęła do tyłu, żeby chwycić jego rytmicznie poruszające się pośladki. Zacisnęła się wokół niego w fali rozkosznych skurczy. Jęknął i doszedł, wypełniając ją obfitym wytryskiem.

Jak zawsze po miłosnych uniesieniach, Philippe przywarł do niej, rozchyłonymi ustami całował ją po szyi i policzku.

– *Je t'aime* – wysapał, przytulając twarz do jej ciepłego policzka. Wyszedł z niej i odwrócił ją, by wziąć w ramiona. Gęste pasma złotych włosów, teraz wilgotne i przyklejone do szyi, podkreślały kolor jego cery i ciemnych oczu. Przeniósł ją do łóżka z lekkością człowieka przywykłego do ciężkiej fizycznej pracy – przyzwyczajenie, któremu zawdzięczał wspaniale wyrzeźbione ciało. Marguerite nie wyobrażała sobie, że mógł być tak piękny pod ubraniem. Maską rozpustnika wiele skrywała.

Pukanie do drzwi alkowy rozległo się w momencie, gdy znów zaczął się na nią powoli wspinać.

Przeklął i zawołał:

– O co chodzi?

– Masz gościa, panie – odparł kamerdyner.

Marguerite spojrzała na zegar. Była druga w nocy.

Pogłaskał ją po policzku i pocałował w czubek nosa.

– Daj mi chwilkę, nie dłużej.

Uśmiechnęła się z pobłażaniem. Wiedziała, że to nieprawda.

Z początku, gdy wyznał jej, że jest agentem króla w tajnym stowarzyszeniu o nazwie *Secret du Roi*^[*], dbającym o sekrety dyplomacji królewskiej, była zszokowana. Nie mogła uwierzyć, jak dalece jego wizerunek, utrzymywany wśród socjety, odbiegał od prawdy. Jak to możliwe, by mężczyzna nazywany sępem, pozornie żyjący tylko dla spełniania własnych przyjemności, w rzeczywistości był zdolny ryzykować życie i zdrowie w służbie królowi?

Dopiero wraz z rozwijającą się z namiętności miłością, żywiącą się codziennymi rozmowami i prawdziwym połączeniem dusz, Marguerite zaczęła dostrzegać złożoną naturę swojego kochanka i genialność jego kamuflażu. Wprawdzie posiadanie kochanki nie było wymuszonym obowiązkiem, ale nie był bez serca. Każdego dnia odczuwał wyrzuty sumienia, że przyczynił się do jej „upadku”.

Gdy wyraziła podobne skrupuły z powodu odciążenia go od żony, przytulił ją i wyznał zaskakującą prawdę: markiza Saint-Martin, obdarzana powszechnym współczuciem za jego występki,

miała licznych kochanków. Ich małżeństwo było jedynie na pokaz. Nie krzywdzili się nawzajem i byli ukontentowani prowadzeniem oddzielnego życia.

Marguerite patrzyła, jak wkłada szlafrok z czarnego jedwabiu i podchodzi do drzwi.

– Będę tęsknić – powiedziała. – Jeśli nie będzie cię zbyt długo, być może wyjdę na zewnątrz i będę cię nawoływać.

Zatrzymał się w progu, uniósł brew.

– *Mon Dieu*, nie wierzę w ten nonsens. To była raptem jedna kobieta. W dodatku straciła rozum.

– Biedactwo. Ale wątpię, żeby to jej rozum był głównym obiektem twego zainteresowania.

Philippe warknął tylko:

– Czekaj na mnie.

– Może...

Przesłał jej całusa w powietrzu i wyszedł.

Jak tylko zamknął za sobą drzwi, uśmiech zniknął mu z twarzy. Zawiązał szlafrok szczelniej i zszedł po schodach piętro niżej. O tej porze rzadko przychodziły miłe wieści, więc nie spodziewał się niczego dobrego po rozmowie. Czując na sobie zapach seksu i ciała Marguerite, bardziej niż zwykle zdawał sobie sprawę z jej obecności w swoim życiu. Dzięki niej odzyskał swoje człowieczeństwo, coś, co – jak sądził – utracił dawno temu, udając kogoś, kim nie był.

Drzwi do saloniku były otwarte. Wszedł, nie zwolniwszy kroku, stąpając boso po marmurowej posadzce w holu i dywanie w saloniku.

– Thierry – zaskoczony powitał gościa. – Miałeś dziś w nocy złożyć raport Desjardins'owi.

– Tak zrobiłem – odpowiedział młodzieniec o wciąż zarumienionych od jazdy policzkach. – Dlatego przychodzę.

Philippe gestem dłoni wskazał posłańcowi miejsce na otomanie, sam usiadł na krześle obok.

Brudny i zmęczony po trudach podróży, Thierry ostrożnie usiadł na skraju kanapy. Philippe uśmiechnął się, widząc jego troskę o nowy, burgundowy aksamit obicia. Gdy rezydencja służyła za siedzibę agentów *Secret du Roi*, nikt nie troszczył się o meble. Potem siedzibę zmieniono, typowa taktyka myśląca, a on usunął wszelkie ślady poprzedniego przeznaczenia rezydencji, zastępując je luksusowym wyposażeniem godnym miłości jego życia.

– Wybacz to najście – zaczął Thierry zmęczonym tonem – ale mam rozkaz ponownego wyjazdu z samego rana i nie mogłem stracić okazji spotkania się z tobą, panie.

– Cóż to za pilne wieści?

– Chodzi o *mademoiselle* Piccard.

Philippe wyprostował się i zmierzył kuriera uważnym spojrzeniem.

– Tak?

– Gdy dotarłem do rezydencji Desjardins’a, ktoś u niego był i kazano mi poczekać w jego gabinecie. Chyba nie wiedział, jak dobrze słyszałem jego rozmowę.

Philippe przytaknął ponuro. Zawsze intrygowało go, że taki niepozorny mężczyzna jest obdarzony tak donośnym głosem. Natomiast fakt, że Desjardins rozmawia o Marguerite, wzbudził w nim nagły alarm i niepokój. Głównie dlatego, że od jej bezpieczeństwa i bliskości zależało jego dobre samopoczucie i spokój. Hrabia Desjardins był młody, ambitny i głodny uwagi króla. Niebezpiecznie było mu wchodzić w drogę.

– Usłyszałem nazwisko Piccard – ciągnął cicho Thierry, jakby bał się, że ktoś go usłyszy – i pomyślałem, że zajmę myśli czymś innym. Jednak nie mogłem się powstrzymać i przysłuchiwałem się dalej.

– Cóż, to naturalne. Nie możesz obwiniać się za to, że usłyszałeś rozmowę wyraźnie dobiegającą do twoich uszu.

– Tak, właśnie tak. – Posłaniec obdarzył go uśmiechem pełnym wdzięczności.

– Mówili o *mademoiselle* Piccard...?

– Desjardins mówił, jak bardzo cię ona zajmuje, panie, i jak najlepiej należy w tej sytuacji postąpić. Zasugerował, że *mademoiselle* jest winna twojego malejącego zaangażowania w sprawę.

Philippe stukał palcami o kolano.

– Wiesz, kim był jego gość?

– Żałuję, ale nie. Wyszedł innymi drzwiami.

Philippe wypuścił oddech i przesunął wzrok na ogień w kominku. Salonik był znacznie mniejszy niż ten w domu, który dzielił z żoną. A jednak to tu był jego prawdziwy dom, bo była tu Marguerite. Któż mógł przypuszczać, że niechętnie przyjęte zaproszenie od państwa Fontinescu będzie punktem zwrotnym jego życia?

Myśli o Marguerite wypełniły mu głowę i uśmiechnął się do siebie. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak zły wpływ miały na niego różne aspekty jego życia, dopóki ona mu ich nie wskazała.

– Jesteś taki spięty – powiedziała któregoś wieczoru. Zgrabnymi palcami masowała napięte mięśnie jego szyi i ramion. – Jak mogę ci pomóc?

Przez chwilę pomyślał, by odsunąć od siebie złe myśli i zapomnieć w namiętym seksie, ale zamiast tego wyznał jej rzeczy, o których nie mówił nikomu innemu. Wysłuchiła go, a potem rozmawiali i znaleźli niespodziewane rozwiązanie problemu.

– Jakaś ty mądra – powiedział ze śmiechem.

– Wystarczająco mądra, żeby cię wybrać – odpowiedziała z łobuzerskim uśmieszkiem.

Nie miał wątpliwości, że gdyby od początku wiedział, jak bardzo poznanie jej zmieni wszystko, postąpiłby tak samo. Jej uroda zniewalała i zawsze była rozkoszą dla oka, ale to niewinność i czystość jej serca go uwiodły. Miłość, którą do niej czuł, napawała go szczęściem. Do niedawna sądził, że to uczucie nie jest przeznaczone dla kogoś takiego jak on. Był spełniony i szczęśliwy.

Żałował jedynie, że nie mógł zapewnić jej bezpieczeństwa płynącego z jego tytułu i nazwiska.

Philippe westchnął głęboko i spojrział na Thierry'ego.

– Coś jeszcze?

– Nie, to wszystko.

– Doceniam to. – Philippe wstał i podszedł do sekretarzyka w rogu pokoju. Otworzył szufladkę i wyjął z niej niewielką sakiewkę. Thierry przyjął ją z uśmiechem, pełen wdzięczności. Następnie opuścił salonik. Philippe wyszedł tuż za nim, po drodze odsyłając kamerdynera.

Po kilku chwilach był już z Marguerite. Leżała na boku. Jej lśniąca jasne loki rozsypały się na poduszce. Mrugnęła powiekami. W świetle świecy stojącej przy łóżku jej skóra miała kolor kości słoniowej. Wyciągnęła do niego rękę, a serce stopniało mu na jej widok – tak ciepła, miła i przepelniona miłością. Wprawdzie inne kobiety zapewniały go o swej miłości, ale żadna nie wyrażała jej równie gorliwie jak Marguerite. Żar jej uczuć był bezcenny. Nikt i nic nie mogło mu jej odebrać.

Rozebrał się i wsunął pod pościel. Objął ją w talii, a ich palce splotły się w uścisku.

– O co chodzi? – spytała.

– Nic, czym powinnaś się przejmować.

– Ale ty się przejmujesz. Czuję to. – Marguerite odwróciła się do niego. – Mam swoje sposoby, by to z ciebie wydobyć – zamruczała.

– Hultajka. – Philippe musnął ustami jej nos i zamruczał, czując ciepło splecionego z nim jej ciała. Powtórzył rozmowę z Thierryem i pogładził ją po plecach, czując w niej narastające napięcie. – Nie martw się. To nieznaczną komplikacją. Nic więcej.

– Co zamierzasz?

– Desjardins ma duże aspiracje. Musi czuć, że każdy, kto z nim współpracuje, jest w równym stopniu zaangażowany. Ja nie jestem, co udowodniłem, odmawiając wielokrotnie udziału w misjach wiążących się z wyjazdem do Polski.

– Przeze mnie.

– Jesteś znacznie bardziej czarująca niż Polki, *mon amour*. – Pocałował ją w czoło. – Są inni, którzy mogą wykazać się oddaniem, jakiego oczekuje.

Marguerite, wsparłszy się na łokciu, spojrzała na niego z góry.

– I pozwoli ci tak po prostu odejść?

– A cóż może uczynić? Poza tym, skoro uważa, że moja skuteczność tak dalece zmalała, że musi zajmować się moim życiem prywatnym, z pewnością przyjmie moją rezygnację z ulgą.

Położyła rękę na jego piersi.

– Obiecuj mi, że będziesz ostrożny.

Philippe ujął jej dłoń i podniósł do ust.

– Obiecuję.

Potem położył ją i zajął się jej ustami, łagodząc lęki namiętnością.

W jadalni hrabiego Desjardins’a, w głośniejszej atmosferze zabawy, wpływało spotkanie przyjaciół i politycznych współpracowników hrabiego. Sam gospodarz śmiał się i bawił wybornie, gdy wtem dostrzegł wzmożone poruszenie w holu. Przepraszył współtowarzyszy i z pozorną beztróską oddalił się od stołu, wywołany przez dyskretnie gestykującego służącego. Wchodząc do wyłożonego marmurem holu, zostawił za sobą gwar zabawy i uniósł brew na widok kuriera oczekującego w mroku.

– Zrobiłem, jak kazałeś, panie – powiedział Thierry.

– Doskonale.

W wyciągniętej dłoni Thierry’ego widniał list z czarną woskową pieczęcią. W pieczęci tkwił idealnie okrągły rubin, lśniący blaskiem w świetle zyrandola.

– Zostałem też zatrzymany niedaleko stąd i wręczono mi to.

Desjardins zastygł.

– Widziałeś go?

– Nie. Powóz nie był oznaczony, a zasłony zaciągnięto. Niczego nie dostrzegłem.

Jak zwykle. Pierwszy list doręczono kilka miesięcy temu przez przejeżdżającego posłańca. To skłaniało Desjardins'a ku teorii, że był to ktoś związany z *Secret du Roi*. Gdyby tylko mógł poznać jego tożsamość i powód nienawiści do Saint-Martina.

Hrabia skinieniem głowy odprawił Thierry'ego. Następnie udał się w kierunku przeciwnym do jadalni, przez kuchnię, schodami w dół do piwniczki z winem. List schował do kieszeni. I tak nie było w nim żadnej treści, wiedział to po otrzymaniu tuzina podobnych listów. W środku zawsze była jedynie pieczęć, uniemożliwiająca rozpoznanie pisma odręcznego, z wytłoczonym jednym słowem: *L'Esprit*. Rubin był formą wynagrodzenia za współpracę, tak jak i otrzymywane od czasu do czasu sakiewki z klejnotami. Bardzo sprytnie posunięcie. Żona Desjardins'a uwielbiała biżuterię, a nieoprawione kamienie szlachetne były nie do wyśledzenia.

Odgłosy z kuchni ucichły, gdy zamknął drzwi od piwnicy z winem. Hrabia obszedł sięgający sufitu stojak z butelkami i podszedł do mniejszych, drewnianych drzwi w rogu, prowadzących do katakumb. Były lekko uchylone.

– Zatrzymaj się. – Niski, ochrypły głos przywodził na myśl dźwięk ścieranych o siebie kawałków szkła. Był nieprzyjemny i złowrogi.

Desjardins stanął w miejscu.

– Załatwione?

– Ziarno zostało zasiane – odpowiedział hrabia.

– Dobrze. Teraz Saint-Martin będzie do niej jeszcze bardziej przywiązany, gdy czuje tuż za sobą zagrożenie.

– Sądziłem, że znużą go te łóżkowe igraszki miesiące temu – wymamrotał Desjardins.

– Ostrzegalem, że Marguerite Piccard jest inna. Na szczęście dla ciebie, bo doprowadziło to do naszej owocnej współpracy. – Nastąpiła chwila ciszy, po czym dodał: – De Grenier jej pożąda.

Jest młody i przystojny. Dla Saint-Martina byłby to potężny cios, gdyby de Grenier mu ją odebrał.

– Więc zadbam o to, by de Grenier ją posiadał.

– Tak. – Ostateczność i zdecydowanie, które zabrzmiały w głosie L'Esprita sprawiły, że Desjardins poczuł ulgę, iż jest współpracownikiem, a nie wrogiem tego człowieka. – Saint-Martinowi nie można pozwolić na chociażby szczyptę szczęścia.

^[*] Sekret Króla.

PROLOG 2

– Wicehrabia de Grenier prosi o przyjęcie.

Marguerite odłożyła książkę, którą właśnie czytała, i spojrzała zaskoczona na kamerdynera. Był środek dnia. Pora, kiedy jak wiadomo, Philippe’a nie ma. Tylko osoby z *Secret du Roi* na spotkaniu z markizem przychodziły do domu jego kochanki.

– Markiza nie ma w domu – powiedziała bardziej do siebie, niż do służącego.

– Wicehrabia pragnie rozmawiać z tobą, pani.

Zmarszczyła brwi.

– Ze mną? Dlaczego?

Kamerdyner nic nie odpowiedział, zgodnie z oczekiwaniami.

Westchnąwszy, zamknęła głośno książkę i wstała.

– Zawołaj Marie, proszę – powiedziała, chcąc, by pokojówka jej towarzyszyła. Nie chciała być sama z wicehrabią.

Gdy zjawiała się pokojówka, Marguerite zeszła piętro niżej, do saloniku. Na jej powitanie wicehrabia wstał i pokłonił się z elegancją.

– *Mademoiselle Piccard* – powitał ją łagodnym uśmiechem. – Pani widok zapiera dech w piersiach.

– *Merci*. Pan również wygląda dobrze.

Usiedli naprzeciw siebie. Marguerite w ciszy oczekiwała wyjaśnienia powodu jego wizyty. Może powinna odmówić mu spotkania. Była w końcu kochanką innego mężczyzny. Co więcej, gdyby posłuchała matki, dziś byłaby żoną de Greniera. Sądząc po

delikatnym rumieńcu, który oblał twarz de Greniera, ten fakt nie umknął i jego uwadze.

Wicehrabia był młodym mężczyzną, zaledwie kilka lat starszym od niej. Wysoki i postawny, obdarzony przystojną twarzą i miłym spojrzeniem. Ubrany był stosownie do jazdy konnej, a brąz jego ubioru ładnie komponował się z błękitnym wystrojem jej saloniku. Obdarzyła go szczerym, lekko rozbawionym uśmiechem.

– *Mademoiselle* – zaczęła i chrząknęła. Poruszył się nerwowo. – Wybacz, proszę, najście, jak i informacje, które za chwilę ci przekażę. Nie mogłem postąpić inaczej.

Marguerite zawahała się przez moment, niepewna, jak ma zareagować. Spojrzała na Marie, która siedziała w kącie saloniku, z głową pochyloną nad cerowaniem.

– Ostatnio nauczyłam się doceniać bezpośredniość – odpowiedziała w końcu.

Na jego ustach zagościł uśmiech, co przypomniało jej, że zawsze darzyła wicehrabiego sympatią. Był czarujący i sprawiał, że w jego towarzystwie można było poczuć się swobodnie.

– Są sprawy wymagające pewnej subtelności, które umknęły markizowi Saint-Martin – powiedział nieśmiało – ale nie umknęły mojej uwadze.

Wstrzymała oddech, wiedząc, co zaraz usłyszy. Jak daleko sięgał *Secret du Roi*?

– Czy dzieje się coś złego? – zapytała, zaciskając palce na udach.

– Obawiam się o twoje bezpieczeństwo, pani.

– O moje bezpieczeństwo?!

De Grenier nachylił się nieznacznie, opierając dłonie o kolana.

– Saint-Martin nieraz dowiódł, jak ważny jest dla króla. Co więcej, jego umiejętności docierania bardziej... hm... prywatnymi kanałami cieszą się dużym uznaniem. Był w tym niezrównany.

Jego odejście jest bardzo odczuwalne.

Żołądek Marguerite ścisnął się z zazdrości. Oczywiście, że kobiety, które poznały Saint-Martina w sytuacjach intymnych,

chciałyby, aby wrócił. Ale czy to wystarczający powód, żeby któreś z nich znalazło się w niebezpieczeństwie?

– Co masz na myśli, panie?

– Odsunął się od służby i angażuje się jedynie w te sprawy, które nie wymagają od niego rozłąki z tobą, pani. To budzi pewne niepokoje.

Wicehrabia nachylił się bardziej i przemówił niemal szeptem, zmuszając Marguerite, by i ona przysunęła się bliżej:

– Król naciska na Desjardins'a, by przywrócił markiza do służby. Dotąd jego wysiłki były bezowocne, przez co hrabia Desjardins jest coraz bardziej sfrustrowany i poirytowany. To dla mnie niepokojące sygnały. Słyszałem, że padło twoje nazwisko, pani, w jego rozmowie ze współpracownikiem. Podejrzewam, że może mieć plan pozbycia się ciebie. Widzi w tobie przeszkodę. Jednak im bardziej naciska Saint-Martina, tym bardziej markiz się opiera.

Spojrzała na Marie. Następnie przeniosła wzrok na swój portret wiszący nad pustym kominkiem. Saint-Martin zamówił go zaraz po tym, jak rozpoczął się ich romans. Teraz jej młodość i uroda miały być na zawsze uwiecznione w feerii barw. Jej niewinność i błękit spojrzenia, pełnego miłości i pożądania.

– Co mogę zrobić?

– Opuść go.

Parsknęła nieznacznie:

– Równie dobrze możesz mnie panie prosić, bym wyrwała sobie serce z piersi gołymi rękoma. Było by to zapewne łatwiejsze.

– Kochasz go, pani.

– Oczywiście – spojrzała znów na niego. – Padłam ofiarą oszaczyzmu. Czy sądzisz, że przetrwałabym to wszystko, gdybym go nie kochała?

– Mimo to jestem gotowy cię przyjąć.

Zaskoczona Marguerite zastygła bez ruchu. Patrzyła na niego, zupełnie zbita z tropu.

– Proszę?

Wicehrabia uśmiechnął się smutno.

– Pragnę cię. Przyjmę cię.

Poderwała się na równe nogi.

– Musisz już iść, panie.

De Grenier wstał. Obszedł okrągły stół, stanowiący barierę między nimi. Zrobiła krok do tyłu, więc się zatrzymał.

– Nie zrobię ci krzywdy.

– Saint-Martin nie będzie zachwycony twoją wizytą, panie. – Jej głos drżał nieznacznie, uniosła brodę, by dodać sobie animuszu.

– To prawda. – Spojrzenie wicehrabiego spochmurniało. – Zawsze między nami była wyczuwalna rywalizacja. Mimo że zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, nie podejmuje żadnych działań, bo wie, co czuję do ciebie.

– Jakiego niebezpieczeństwa?

– Królewskie plany mają ogromną wagę i utrzymywane są w ścisłej tajemnicy. Hrabia Desjardins może uznać usunięcie cię za konieczność, nie zawaha się wtedy ani chwili. Jeśli markiz kocha cię równie mocno jak ty jego, zakończy wasz romans, by cię chronić.

– Nie dbam o to – powiedziała, kładąc rękę na ściśniętym żołądku. Wiedziała, że jej protesty byłyby niczym w obliczu życzeń króla. – Bez niego byłabym głęboko nieszczęśliwa. Wolę zostać i cieszyć się chwilą, tak długo jak to możliwe, niż odejść i pozostać z niczym.

– Mogę zwrócić ci wszystko, co straciłaś. – Podszedł krok bliżej.

– Zyskałam znacznie więcej.

– Czyżby? – zacisnął szczękę. – Straciłaś rodzinę, przyjaciół i pozycję społeczną. Poza murami tego domu nie masz żadnego życia, a dni upływają ci w oczekiwaniu na dawanie przyjemności mężczyźnie, dla którego jesteś niczym innym jak dodatkową rozrywką. Widziałem, co dzieje się z kobietami, które porzuca. Nie zniośłbym, gdyby i ciebie spotkał taki koniec.

– Przecież oferujesz mi to samo – powiedziała szybko.

– Nie. Ja chcę dać ci moje nazwisko.

Marguerite poczuła, że pokój wiruje i złapała się kurczowo oparcia fotela.

– Idź już.

– Ożeniłbym się z tobą – powiedział z zaangażowaniem. – Wysyłają mnie na jakiś czas do Polski. Tam jest bezpiecznie. Mogłabyś zacząć życie od nowa.

Pokręciła głową, czując narastający w niej ból.

– Proszę, idź już.

De Grenier zacisnął pięści, po czym pokłonił się z gracją.

– Wyjeżdżam niebawem. Jeśli zmienisz zdanie, przyjdź do mnie.
– Wyprostował się, zwracając jej uwagę na swe szerokie ramiona.
– Porozmawiaj z Saint-Martinem o powadze sytuacji, w jakiej się znaleźliście. Jeśli faktycznie znasz go tak dobrze, jak sądzisz, przekonasz się, że mówię prawdę.

Opuścił pokój zdecydowanym krokiem. Marguerite opadła bez sił na fotel. Chwilę później z wdzięcznością wzięła z rąk pokojówki kielich z czerwonym napojem. Wszyscy służący w rezydencji byli niezwykle dyskretni, zostali starannie dobrani. Nie wiedziała, skąd Philippe wiedział, komu można zaufać, a komu nie. Również jego działalność w *Secret du Roi* pozostawała dla niej tajemnicą.

– *Mon coeur.*

Skołowana, podniosła wzrok na Philippe'a, który energicznie wszedł do pokoju. Na głowie wciąż miał kapelusz, na dłoniach rękawiczki, a jego ubranie przesiąknięte było wonią koni i tytoniu.

– I cóż się stało? – zapytał, zapadając się w siedzisku naprzeciwko niej.

Przeniosła wzrok ponad jego ramieniem do okna i ujrzała, jak bardzo przesunął się cień rzucany przez słońce na podłogę. Czas upłynął tak szybko, zupełnie dla niej niezauważalnie. Poczula się zagubiona. Nie tylko w czasie i niepokoju.

– Marguerite? Po co przyszedł de Grenier? Co ci powiedział?

Spojrzała na swojego kochanka, chcąc uwolnić się od kielicha, by pogłodzić go po policzku. Szukał jej dotyku, a błękit jego oczu pociemniał od troski.

– Mówił, że Desjardins jest zdeterminowany, by nas rozdzielić – odparła ponuro. – I że grozi mi niebezpieczeństwo. Nie powiedział, o jakie niebezpieczeństwo chodzi, fizyczne czy psychiczne, a mnie nie przyszło do głowy, by zapytać.

Philippe zacisnął szczękę.

– To wszystko obłąd.

– Co? – Marguerite odstawiła kielich na stół, sięgając za jego plecy. – Co się dzieje? Zasugerował, że nie mówisz mi wszystkiego. Jeśli tak jest, powiedz mi natychmiast.

– Sam nie wiem. – Wstał, utyskując, i powoli zaczął zdejmować z siebie okrycie. Kapelusz, rękawiczki, płaszcz. Rzucił wszystko na otomanę z wyraźną frustracją. – Nie rozumiem tego. Przecież twoja osoba nie ma tu żadnego znaczenia.

Wiedziała, że niemądrze byłoby pozwolić, aby to beztrząsowo wypowiedziane zdanie ją zraniło, ale pierwszy raz, od kiedy go poznała, poczuła się mało ważna. Jakby była tylko dodatkową rozrywką.

– Oczywiście, że nie ma – wyszeptwała, wstając. Kremowa suknia w krwistoczerwone kwiaty ciążyła jej teraz niemiłosiernie. Była roztrzęsiona. Poczowała mrowienie w palcach u nóg, jakby wracało do nich krążenie. Jak długo tu siedziała, rozmyślając o życiu bez Philippe'a? Ostatni rok żyła w przekonaniu, że już zawsze będą razem. Tego popołudnia pierwszy raz dopuściła do siebie inną możliwość.

– Źle mnie zrozumiałaś – wymruczał, przytulając ją mocno. – Dla mnie jesteś wszystkim, ale dla nich nie. Nie ma powodu, by skupiali na tobie uwagę. Skłaniam się raczej, by sądzić, że chodzi o coś innego, na czym im zależy. Coś, co według nich jest w twoim posiadaniu.

– Ty?

Philippe potrząsnął głową w geście zaprzeczenia.

– Zaoferowałem Desjardins’owi moje usługi. Powiedziałem, że pojadę, dokąd będzie trzeba. Tak jak kiedyś, na maksymalnie trzy miesiące. Choć nie wiem, jak bym zniósł trzy dni bez ciebie, kiedy już trzy godziny wydają się torturą i wiecznością. Przyłgnął policzkiem do jej łona, a gest ten przywołał znane, zachęcające uczucie pożądania.

– Moją jedyną prośbą była ta o twoje bezpieczeństwo i wygody tutaj, podczas mojej nieobecności. Ale odmówił. Twierdzi, że nie mogę się skupić, rozpraszasz mnie, i woli, żebym pozostał na miejscu, bez obciążeń.

– Nie rozumiem, dlaczego nie może cię kimś zastąpić – powiedziała, szukając na jego twarzy jakiś wskazówek. – Mimo twych niewątpliwych zasług, z pewnością istnieją inni mężczyźni, którzy mogą świadczyć takie same usługi, co ty.

Usta pobierały mu od ich zaciskania. Philippe milczał chwilę, zanim powiedział:

- Myślisz, że de Grenier byłby ode mnie lepszy?
- Mam wybór między jego słowami a twoim milczeniem?
- Tak.

Przez chwilę poczuła napływający gniew, wywołany jego arogancją, ale za moment zaśmiała się lekko.

– Jak ty to robisz? – zapytała, kręcąc głową.

Złapał w palce upudrowany lok i pocierając go czule kciukiem i palcem wskazującym, zapytał niskim głosem:

– Co robię?

– Sprawiasz, że jesteś niezastąpiony. Całe popołudnie lajałam się w myślach za niepewną sytuację, w której się znalazłam. Nie mam nic poza twoimi względami, których nie mogę być do końca pewna. A teraz dodatkowo inni wykorzystują swe wpływy, by nas rozdzielić i nic nie mogę zrobić, żeby ich powstrzymać lub odwieść od tego. – Położyła dłonie na jego piersiach, palcami dotykając rozchełstanego żabotu. Robił zniewalające wrażenie: ubrany, na

wpół ubrany, rozebrany. – A jednak stoisz tu przede mną, gotów strzec swoich tajemnic, a ja mimo to cię pragnę.

– Nie mam tajemnic, mówię ci wszystko. – Philippe ujął jej dłoń, ich palce się splotły. Ruszył do drzwi, pociągając ją za sobą.

– Nie powiedziałaś mi, że nadal naciskają, byś mnie opuścił.

– Bo to nie ma znaczenia.

Gdy weszli do prywatnego saloniku, puścił jej rękę i podszedł do okna. Przesunął przezroczysty materiał firanki i spojrzął na zewnątrz. Zapadał zmrok, będący zapowiedzią nadchodzącej nocy. Rok temu zapadający mrok był sygnałem do rozpoczęcia przygotowań do wyjścia na spotkania towarzyskie. Teraz czekała na nich jedynie kolacja i spokojny wspólny wieczór. Czy to było dla niego?

– Słyszę targające tobą wątpliwości aż tutaj – powiedział, odwracając się nagle w jej kierunku. – Co ci zaproponował?

W ciągu roku, który spędziła jako jego kochanka, Marguerite poznała wiele sposobów radzenia sobie z tym mężczyzną. Wiedziała, że nie był w stanie niczego jej odmówić, gdy była naga. Odśloniła więc plecy i zachęcająco zerknęła na niego przez ramię. Podszedł do niej z gorącym spojrzeniem.

– Powinieneś raczej zapytać, czego nie proponował.

Philippe zaczął rozpinąć guziki biegnące wzdłuż jej pleców.

– Jak sobie życzysz. Czego więc nie proponował?

– Swego serca.

Zastygł w bezruchu. Słyszała, jak powoli wypuszcza powietrze.

– Mógłbym cię zakontraktować, Marguerite. Mógłbym sprowadzić nasz... układ... do poziomu wymiany dóbr. Może wówczas poczułabyś się bezpieczniej.

– Lub poczułabym się jak dziwka.

– Właśnie dlatego nie proponowałem tego wcześniej. – Oparł dłoń na jej ramionach, po czym zmusił ją, by się odwróciła twarzą do niego. Przyglądał się jej uniesionej twarzy. Widać było, że cierpi. Jego ciemne oczy pełne były emocji, których nie potrafiła nazwać.

– Co mogę zrobić? – zapytała szeptem. – Jak mogę walczyć, gdy nie wiem, z czym walczę?

– Nie możesz tego zostawić mnie? – Przycisnął wargi do jej czoła. – Nie wierzę, że ta sprawa nawet w najmniejszym stopniu ma związek z tym, co nas łączy. Nie tak dawno de Grenier sugerował, żebyśmy odszedł ze służby, a Desjardins był bliski przychylenia się do jego sugestii. Ta nagła zmiana zdania jest zupełnie nielogiczna. Chodzi o jakiś ukryty motyw, a ja zamierzam dowiedzieć się jaki.

– *Je t'aime* – powiedziała, nienawidząc uczucia strachu ogarniającego jej ciało.

Musnął jej wargi, by odgonić niepokój, po czym pogłębił pocałunek. Jego sprawność zapierała jej dech w piersiach. Wkrótce jej oddech przyspieszył. Przywarła mocno do jego silnego ciała. Tym razem to Marguerite zdecydowała. Trzymając go za ręce, pociągnęła go w stronę alkowy. Tam, przynajmniej na kilka godzin, mogli zapomnieć o swoich zmartwieniach.

Hrabia Desjardins wszedł do piwniczki i stanął w tym samym miejscu, gdzie zawsze nakazywał mu L'Esprit.

– Mniemam, że de Grenierowi nie udało się skutecznie uwieść *mademoiselle* Piccard. – Na dźwięk chrapliwego głosu L'Esprita hrabiemu dreszcz przebiegł wzdłuż kręgosłupa.

– Zbyt wcześnie, by to ocenić.

– Nie. Obserwowałem go, gdy wychodził. Wyglądał na przygnębionego. Nie był pełen nadziei. Dla tego romansu poświęciła wszystko. Nie ma już nic do stracenia, poza jednym.

– Saint-Martinem.

– Otóż to. – W głosie L'Esprita słychać było uśmiech. – Nie opści go dla własnego dobra. Ale dla jego dobra, tak.

Desjardins pokręcił głową. Nie wiedział, co takiego Saint-Martin uczynił, by ściągnąć na siebie gniew L'Esprita, ale było mu go żal.

Podejrzewał, że L'Esprit nie spocznie, dopóki markizowi nie zostanie odebrane wszystko, co mu drogie.

– Co mam robić?

– Sam się tym zajmę – odparł L'Esprit – nie chcę, by umarł. To byłoby zbyt miłosierne.

– Wedle życzenia.

– Odezwę się, jeśli będę cię jeszcze potrzebował.

Otworzywszy drzwi do piwniczki, Desjardins wszedł po schodkach do kuchni. Podskoczył na dźwięk trzaskających drzwi prowadzących do przejścia, z którego korzystał L'Esprit. Wyjście przez piekielną otchłań pasowało do tego człowieka. Była w nim furia i szaleństwo. Hrabia żałował szczerze, że uległ pokusie kontaktu z nim. Piękna błyskotka dla żony, niezależnie od tego jak cenna, nie była warta jego duszy.

Philippe był zbyt pochłonięty myślami o Marguerite, by podziwiać uroki Paryża. Oddawał się własnym rozmyśleniom, przekonany, że coś umykało jego uwadze. Koń sam skierował kroki w stronę rezydencji zajmowanej przez Marguerite. Rytmiczny stukot kopyt pomagał jeźdźcowi pogрузić się w myślach.

Otaczali go liczni przechodnie, tworząc poczucie bezpieczeństwa. Ale nie był wcale bezpieczny. Gdyby choć przez chwilę podejrzewał, że to on zostanie wykorzystany przeciwko Marguerite, a nie na odwrót, zachowałby większą czujność. A tak, skręcił i otrzymał potężny, niespodziewany cios w klatkę piersiową. Nie miał nawet szans się obronić. Spadł z konia i upadł na plecy na ziemię. Nie mógł złapać tchu, kręciło mu się w głowie i nie mógł się ruszyć. Niebo przesłonili mu stojący nad nim mężczyźni. Noga z ciężkim butem wyprowadziła cios w jego bok. Powietrze przeszło groteskowy trzask – odgłos łamiącego się żebra. Kolejne kopniaki. Krzyk. Szyderczy śmiech. Ból. Agonia. Philippe modlił się o siłę, by móc przekreślić się na bok i zwinąć w kłębek, ale ciało było głuche

na polecenia. Pociemniało mu w oczach, a w końcu nastąpiła zupełna ciemność.

– Popołudniowa poczta, *mademoiselle*.

Marguerite podniosła wzrok znad menu na ten tydzień, które studiowała przy stole w jadalni. Spojrzała na stojącego w drzwiach kamerdynera, skinęła, by wszedł i odłożyła menu na bok.

– Dziękuję – powiedziała, sięgając po srebrną kopertę z wierzchu stosu korespondencji podanej na eleganckiej tacy. Zajmowała się codziennymi sprawami z minimalną uwagą, pochłonięta rozmyślaniami o Philippie i tym, jak bardzo był wyobcowany przez kilka ostatnich dni. Była prawdziwym więźniem we własnym domu. Nie mogła wyjść na miasto, żeby załatwić najprostsze nawet sprawy. Przeznaczono jej dodatkowych służących, których zadaniem było dbanie o jej bezpieczeństwo. Skromna korespondencja była jedynym kontaktem z ludźmi spoza murów domu.

Jej uwagę przyciągnęła teraz koperta zalakowana czarną pieczęcią. Korespondowało z nią niewiele osób. Matka i ojciec wydziedziczyli ją, a siostry pisały z rzadka i bardzo ogólnikowo. A jednak, na kopercie widniało jej nazwisko, nie Philippe’a. Otworzyła ją ostrożnie i zaczęła czytać zamaszyste pismo z coraz większą konfuzją.

Saint-Martin ma dwa wyjścia. Może wybrać ciebie lub życie. Wiem, jaki będzie jego wybór. Pytanie, co ty wybierzesz?

L’Esprit

Marguerite skrzywiła się i wezwała kamerdynera. Gdy ten ponownie się pojawił, zapytała:

– Kto dostarczył ten list?

– Przyniósł go stajenny. Zaraz zapytam.

Przytaknęła. W oczekiwaniu czytała raz po raz tajemnicze słowa, studiując nietypową pieczęć. Po kilku chwilach powrócił służący.

– Nie przypomina sobie.

– Hmm...

– Przyszedł posłaniec, *mademoiselle*. Prosi o przyjęcie. Marguerite przeszył nieprzyjemny dreszcz. Złożyła starannie list, zanim odłożyła go na polerowany blat drewnianego stołu. Lokaj odsunął jej krzesło. Wstała i starannie wyprostowała muślin sukni. Zawahała się. Była na skraju wytrzymałości już od kilku dni, a dzwonek wydarzenia dzisiejszego popołudnia mogły tylko pogorszyć sprawę. Obeszła stół i opuściła jadalnię, kierując się do holu dla gości. Każdy krok był coraz cięższy. Teraz były to już bezpośrednie groźby. Bardzo ją to zaniepokoiło, ale wiedziała, że Philippe zmartwi się jeszcze bardziej. Gdyby tylko mogli odkryć, w czym tkwiła przyczyna ich kłopotów...

– *Mademoiselle Piccard*...

Skinęła głową na powitanie i zatrzymała się na schodach w głównym holu, kilka metrów od niego.

– Dobry wieczór.

– Przysłała mnie hrabia Desjardins.

Poczuła nagły ucisk w trzewiach.

– Tak?

Mężczyzna wyprostował ramiona, co było dla niej jawną oznaką zdenerwowania. Spięła się jeszcze bardziej. Były też inne alarmujące sygnały – ubranie kuriera było brudne i w nieładzie, bryczesy miał ochlapane jakąś ciemną substancją, a włosy rozczochrane.

– Kilka godzin temu zaatakowano markiza Saint-Martin – powiedział ponuro.

– Nie... – Zachwiała się, kolana ugięły się pod ciężarem największego lęku. Ręką chwyciła się balustrady.

– Został poważnie raniony. Zaniesiono go do domu, gdzie udzielana jest mu pomoc. Ale jego stan jest poważny. Hrabia Desjardins chciał, by pani wiedziała.

Pokój zawirował jej przed oczami. Marguerite chwyciła łapczywie powietrze, walcząc z uciskiem w piersiach, który groził jej utratą przytomności.

– Bym wiedziała – powtórzyła, myśląc o liście leżącym w jadalni.

Każdy fragment jej ciała wrywał się, żeby biec do Philippe’a, by być z nim, trzymać go za rękę i pielęgnować.. Ale to było niemożliwe. Pielęgnowała go żona. Takie było jej prawo.

Mój Boże...

Marguerite opadła na marmurową posadzkę, tonąc w fałdach żółtej sukni. Oczy zalały jej łzy. Kamerdyner podbiegł do niej, ale zatrzymała go gestem wyciągniętej ręki.

– Czy twój kuzyn nadal pracuje w rezydencji Saint-Martinów?

– Tak, *mademoiselle*. – Zrozumiał i pojaśniała mu twarz. –

Zaraz pošlę kogoś, by dowiedział się od niego jak najwięcej.

– Byle szybko.

Posłaniec zaczął się powoli wycofywać w stronę wyjścia, gdy nagle przypomniała sobie o nim. Wściekłość dała jej siłę, żeby wstać.

– Co do ciebie – wycodziła zimno, schodząc po schodach. Pięści miała zaciśnięte. – Przekaż hrabiemu Desjardins wiadomość ode mnie.

– Tak, *mademoiselle*? – poruszył się nerwowo.

– Powiedz mu, że jeśli markiz tego nie przeżyje, on też nie.

Posłaniec pokłonił się i wyszedł. Życie Marguerite było w strzępach. Przez kilka chwil stała nieruchomo, ciężko oddychając.

Jak przeżyje bez Philippe’a? Poczowała dotyk dłoni na ramieniu. Odwróciła się i zobaczyła stojącą obok Celie.

– Co mogę zrobić, pani – zapytała pokojówka.

– A cóż ktokolwiek może zrobić w tej sytuacji? – odparła ostrym tonem. – Teraz wszystko w rękach Boga.

– Może wicehrabia de Grenier mógłby pomóc?

Marguerite skrzywiła się, słysząc te słowa. Nie miała nikogo, do kogo mogłaby zwrócić się o pomoc. Może do siostr, ale cóż one mogły. Pewnie uznałyby, że taki los przypada w udziale kobiecie upadłej.

– Dlaczego miałby mi pomagać?

Celie wzruszyła ramionami.

– Poślij kogoś po wicehrabiego – powiedziała. Miała nadzieję, że pewnie coś wie o dzisiejszych wydarzeniach. Pokojówka dygnęła i odeszła.

Wicehrabia przybył kilka godzin później. Wszedł za kamerdynerem do saloniku, wysmagany wiatrem, przystojny mimo napięcia malującego się na twarzy. Marguerite wstała, z ogromnym wysiłkiem ignorując ucisk w żołądku na jego widok.

– Panie.

– Przybyłem najszybciej jak mogłem – powiedział, podchodząc do niej i ujmując jej dłonie w swoje.

– Jestem ci bardzo wdzięczna.

– Byłem najpierw u hrabiego Desjardins, by sprawdzić, co on wie.

Gestem zachęciła go, by usiadł, z czego skwapliwie skorzystał, sadowiac się na małej ławeczce blisko niej.

– Mówił otwarcie?

– Był zaskoczony moim zaangażowaniem, potem zatroskany. Myślę, że zdecydował się mówić wprost tylko z desperacji.

Zacisnęła palce i wstrzymała oddech.

– Desperacji?

De Grenier głośno wypuścił powietrze. Niosło to ze sobą tak odczuwalną ostateczność, że poczuła mdłości.

– Zawsze uważałem, że Desjardins jest niewzruszony niczym skała. Niezależnie od jego młodego wieku. Niewielu znam ludzi, którzy oprą się wszelkim formom nacisku, ale on jest jednym z nich.

– Nacisku? – powtórzyła, a słowo to utkwiło w jej suchych ustach.

– Tak – urwał. – Marguerite...

– Po prostu powiedz mi to, na litość boską!

– Krążą plotki, że Saint-Martin ukrył w swojej rezydencji teczkę z zaginionymi, ważnymi dokumentami.

– Gdzie?

– Nie wiem. Zresztą sam Desjardins nie jest przekonany o prawdziwości tych plotek. Wie jedynie, że od trzech miesięcy dostawał listy z groźbami skrzywdzenia ciebie i Saint-Martina, jeśli rzekome dokumenty nie wrócą do ich autora.

Zdenerwowana Marguerite rozglądała się po saloniku, jakby tam miały znajdować się tajne dokumenty.

– Tak bardzo się myliliśmy.

– Słucham?

– Saint-Martin był przekonany, że wrogość do naszej relacji wynikała z faktu, że odciążam jego uwagę od spraw *Secret du Roi*. Żadne z nas nie mogło pojąć, że kochanka może mieć tak wielkie znaczenie, ale nie mogliśmy odgadnąć, o co innego mogłoby chodzić.

– Ty nie mogłaś odgadnąć – odparł wicehrabia łagodnie. – Markiz wiedział, że jest w posiadaniu czegoś cennego. Po prostu powiedział ci o tym.

Marguerite słyszała nutę satysfakcji w jego głosie i wiedziała, że czekał na sposobność, by móc to powiedzieć. Ale na nią takie gierki nie działały. Była kobietą praktyczną i nie wydawało jej się dziwnym, że Philippe nie dzielił się z nią szczegółami swej tajnej działalności. I tak na nic zdałaby się jej ta wiedza. Martwiłaby się tylko, wiedząc, że nic nie może poradzić.

– Co mogę zrobić? – zapytała. – Kim jest człowiek, który pragnie zdobyć dokumenty, i co takiego ma na Desjardins'a?

– Nie wiem – odparł wicehrabia i skłonił głowę bliżej. – Wiem tylko, że nie możesz tu zostać, Marguerite.

– Oczywiście, że nie. Jeśli jest tu coś, czego ta osoba pragnie, będzie chciała to zdobyć. Nie mogę ryzykować życia Saint-Martina.

– Ta osoba chce też ciebie.

– Mnie? – zamrugła ze zdziwienia. – Dlaczego?

– Kimkolwiek jest ten człowiek, darzy Saint-Martina szczerą nienawiścią. Chce, by stracił wszystko, co dla niego ważne. Łącznie z tobą. Desjardins jest wstrząśnięty brutalnością dzisiejszego napadu na markiza. Obawia się, że następnym krokiem będzie odebranie mu życia, mimo iż wcześniej określał to jako zbyt miłosierne.

Poderwawszy się na równe nogi, Marguerite zaczęła płakać.

– Czy powiedział o tym wszystkim Philippe’owi? A może Desjardins pozwolił, żeby był nieświadomy tych gróźb?

De Grenier wstał.

– Nie wiem i nie dbam o to. Myślę jedynie o tobie. Jesteś niewinna, ale twoje życie znalazło się w niebezpieczeństwie.

– Moje życie to Philippe.

– A jeśli on umrze? – wybuchł de Grenier, napinając mięśnie. – Co wtedy?

– Sugerujesz, że moje odejście może uratować mu życie?

– Możliwe. Desjardins uważa, że może wykorzystać twoje odejście, by ułagodzić człowieka, o którym mówi L’Esprit. Dałoby mu to sposobność odnalezienia tych dokumentów i, być może, zakończenia tego wszystkiego.

– L’Esprit... – Marguerite pobiegła do jadalni, gdzie zostawiła list. Ponownie przeczytała tajemnicze słowa i poczuła ucisk w żołądku. Opuściła rękę, ściskając w niej list. Na ramionach poczuła silne dłonie i ich delikatny uścisk.

– Pozwól sobie pomóc.

– Już mi pomogłeś i jestem ci za to wdzięczna. – Odwróciła się do niego i stanęła z nim twarzą w twarz. – Nie mogę sobie pozwolić na to, by mieć u ciebie większy dług wdzięczności.

Jego przystojne rysy złagodniały. Poglądził ją po policzku.

– Nie masz środków, by sobie poradzić.

– Mam trochę biżuterii...

– *Mon Dieu!* – prychnął. – Nie przeżyjesz zbyt długo na tak skromnych środkach.

– To prawda – zgodziła się z nim. – Ale jest tego wystarczająco dużo, by przeżyć, aż Saint-Martin wydobrzeje i załatwi sprawę dokumentów.

– Jeśli przeżyje dzisiejszą noc, to tylko dzięki łasce Bożej.

Poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Była skołowana i osłabiona. Przytrzymała się oparcia krzesła, ale de Grenier chwycił ją pod ramię i zmusił, by usiadła.

– Jesteś słaba – powiedział.

– Muszę odpocząć. Z pewnością rozumiesz, jak wyczerpujące było to popołudnie.

Wicehrabia już miał zaprotestować, ale pokłonił się tylko lekko i dodał:

– Moja propozycja jest nadal aktualna. – Usiadł na krześle obok niej. Ujął jej dłoń spoczywającą bezwiednie na stole. W jego oczach widać było współczucie.

– Nie mogę teraz o tym rozmawiać. – Mdlilo ją na samo jej wspomnienie. Życie bez Philippe'a? Życie u boku innego mężczyzny? Sama myśl była dla niej nie do przyjęcia. W tym momencie dzień, który był już niewyobrażalnie zły, jeszcze się pogorszył.

Jej uszu nagle dobiegło pukanie, a w drzwiach stanęła Celie, gniotąc fartuch w rękach.

– *Mademoiselle*, bardzo proszę na słowo.

Marguerite wyszła do holu, gdzie spostrzegła tłoczących się służących. Strach zmroził jej krew w żyłach, pripraviając o drżenie.

– O co chodzi? Co się stało?

Oczy Celie były czerwone od płaczu, nos też.

– Kucharz przygotował wywar dla służby z resztek. Ja się spóźniłam na kolację.

Marguerite, będąc na skraju wyczerpania nerwowego, nie miała już cierpliwości. Złapała Celie za ramiona i potrząsnęła nią mocno.

– Mówże, co się stało?! Czy pan umarł?!

– Wszyscy umarli! – wykrzyczała Celie. – Kucharz... lokaj...

Wszyscy. Wszyscy są martwi.

De Grenier wypadł z jadalni, biegiem pokonał hol i skierował się na tyły domu. Marguerite poszła za nim, mimo błagań Celie, by tego nie robiła. Serce waliło jej tak mocno, że obawiała się, iż za chwilę wyskoczy jej z piersi. Wicehrabia dotarł do kuchni chwilę przed nią. Zaklął głośno, po czym odwrócił się szybko i złapał Marguerite, odciągając ją stamtąd.

– Trucizna – wyszeptał jej do ucha.

Ziemia usunęła jej się spod stóp i ogarnęła ją gęsta ciemność nieświadomości.

ROZDZIAŁ 1

Paryż, Francja, 1780

Należał do tych mężczyzn, którzy za ledwie jednym spojrzeniem potrafią uwieść kobietę. Właśnie takim, jakim teraz obdarzał ją.

Lynette Baillon równie bezwstydnie przyglądała się nieoprawnemu Simonowi Quinnowi. Podziwiała jego kruczoczarne włosy podkreślające blask niebieskich oczu. Byli w rezydencji baronowej Orlindy. Quinn stał oparty o kolumnę, z rękoma skrzyżowanymi na szerokiej piersi i stopą nonszalancko zahaczoną o kostkę drugiej. Wyglądał zarazem na rozluźnionego i czujnego. Ten rozdźwięk przyciągnął jej uwagę od pierwszej chwili, gdy ujrzała go jadącego konno przez oświetlone blaskiem księżyca ulice Paryża.

Dziś wieczorem ubrany był w przygaszone odcienie granatu i szarości, tworzące dyskretną elegancję jego stroju. W tym wydaniu był dla niej wyjątkowo pociągający. W niezwykle zmysłowej atmosferze tego wieczoru, wśród egzotycznie pachnących świec, krzeseł skrytych pośród sztucznego lasu i skąpo odzianych służących, wydawał się jej wyjątkowo atrakcyjny. Pozorna skromność jego odzienia była znacznie bardziej podniecająca niż krzykliwe stroje pozostałych gości.

Sama ubrana była na biało, by podkreślić swą urodę. Suknia miała piękne, kremowe kokardy i przeszycia srebrną nicią. Bładość porcelanowej cery w połączeniu z rubinową czerwienią maski przyciągała spojrzenia wszystkich obecnych. Przyciągała też jego spojrzenie.

Nigdy nie zostali sobie przedstawieni. Jego imię poznała, pod-
słuchując rozmowy towarzyskie skupiające się zwykle na
zdrożności postępowania i wątpliwym pochodzeniu Quinna. Stał
sam, z boku sali. Kobiety pożądały go, a mężczyźni unikali z tego
samego powodu – głośniejszej reputacji gorącego kochanka i braku
tytułu, majątku oraz kręgosłupa moralnego. Owdowiała baronowa
lubowała się w szokowaniu socjety, co wyjaśniało jego obecność
w jej domu. Był nowością w towarzystwie i najwyraźniej ta rola mu
odpowiadała. Lynette miała ogromną ochotę stanąć obok niego, by
poczuć odosobnioną, prywatną przestrzeń, którą zajmował.

Quinn był wysokim, potężnym mężczyzną o mocno zarysowanej
szczęce i prostym nosie. Krzaczaste brwi dodawały mu arogancji,
ale długie rzęsy łagodziły nieco ten wizerunek. Dla niej jednak na-
jbardziej atrakcyjną częścią jego twarzy były idealne usta. Ani za
szerokie, ani za wąskie. A gdy gościł na nich uśmiech, tak jak teraz,
nie można się im było oprzeć. Chciała je całować, ssać i czuć je na
swoim nagim ciele.

– Z was dwóch, to ty, a nie twoja siostra, jesteś do mnie podobna
– powiedziała kiedyś jej matka. – Masz w sobie tę samą namięt-
ność i gorącą krew. Módl się, by nigdy nie przejęły nad tobą
władania.

Teraz z całą pewnością czuła i namiętność, i gorącą krew. Pod
jego spojrzeniem jej oddech przyśpieszył, piersi szybko unosiły się
i opadały. Serce waliło jej jak oszalałe. Myśl, że nieznajomy pośród
tłumu obecnych wywoływał w niej takie reakcje, tylko dodatkowo
ją podniecała. Wtem wyprostował się i ruszył w jej kierunku,
krokiem drapieńczy – niewymuszonym, acz zdeterminowanym.
Długie nogi szybko pokonały dzielący ich dystans, niedbale torując
sobie drogę, zmuszając do usunięcia się tych, którzy na niej stali.
Wzięła głęboki oddech. Poczwała, że spocily jej się dłonie w rękaw-
iczkach. Gdy do niej podszedł, odwróciła głowę w jego stronę, by
w pełni podziwiać jego dziką urodę. Poczwała zapach, mieszanek

tytoniu i piżma. Był prymitywny i oszalamiający, poczuła nagle pragnienie, by wspiąć się na palce i przytknąć nos do jego szyi.

– *Mademoiselle*.

Ton jego głosu przyprawił ją o przyjemny dreszcz, otulając niczym uścisk kochanka.

– Panie Quinn – powitała go lekko ochryplym, lecz ciepłym głosem.

Oczy Quinna przyglądały jej się bacznie. Bez słowa ostrzeżenia ujął ją pod łokieć i odciągnął od ściany. Bezpośredniość tego czynu zaskoczyła ją tak bardzo, że nawet nie zaprotestowała. A przynajmniej tak to sobie tłumaczyła. Nie była gotowa przyznać się sama przed sobą, że pragnęła, by posiadał ją mężczyzna taki jak on. Mężczyzna, którego powierzchowna elegancja skrywała dziką naturę.

Poprowadził ją przez tłum, aż do holu. Następnie otworzył zamknięte drzwi i popchnął ją do środka. Wewnątrz panował mrok i oczy potrzebowały chwili, by przyzwyczaić się po blasku światel ogromnych kandelabrow w sali balowej.

Powoli zaczęła dostrzegać kształty w świetle księżyca wpadającym przez okna. Weszła w głąb dużej, wygodnie umeblowanej biblioteki. Drażnił ją zapach skóry i pergaminu, co tylko wzmogło wrażenie prymitywnego zawładnięcia jej osobą.

Rozległ się dźwięk zatraskiwanych drzwi. Podskoczyła. Nerwy miała napięte do granic wytrzymałości. Odgłosy śmiechu i zabawy zostały na zewnątrz. Tym mocniej odczuła obecność Quinna i fakt, że są sami.

– W co ty pogrywasz? – spytał szorstko.

– Przyglądałam ci się – przyznała, odwracając się ku niemu. Cieszyła się, że ma światło za plecami. Dzięki temu jej twarz była skryta w ciemności, a jego dobrze widoczna. – Zresztą, nie tylko ja. Każda kobieta na balu robiła to samo.

– Ale ty nie jesteś jak każda inna, prawda? – mruknął, podchodząc bliżej.

Czyli... wiedział, kim jest. To ją zaskoczyło. Matka uparła się, by nie ujawniała swojej tożsamości. Dlatego zatrzymały się pod fałszywym nazwiskiem u przyjaciół zamiast w ich własnej rezydencji. Matka twierdziła, że w ten sposób unikną gniewu ojca za zboczenie z drogi do Hiszpanii. Zgodziłaby się na wszystko, byle tylko odwiedzić Paryż. Jeszcze nigdy tu nie była.

Ale... Skoro Quinn wiedział, kim są naprawdę, dlaczego odciągnął ją z balu w tak oczywisty sposób?

– To ty do mnie podszedłeś. Nie musiałeś tego robić – wytknęła mu.

Złapał ją pod rękę i przyciągnął mocno do siebie.

– Jestem tu z twojego powodu. Gdybyś trzymała się z dala od pokus kilka dni dłużej, byłbym już daleko poza granicami Francji.

Zmarszczyła brwi. O czym on mówi? Powinna powiedzieć, żeby jej nie dotykał. Żaden mężczyzna nie był do tej pory tak śmiały w relacjach z córką wicehrabiego de Grenier. Sama nie mogła w to uwierzyć. Ale była też pod zbyt wielkim wrażeniem jego bliskości, by wyrwać się z uścisku. Był twardy jak gład. Tego się zupełnie nie spodziewała.

Jej oddech przyśpieszył, poczuła, że przybliżyła się do niego jeszcze bardziej, napierając piersiami na jego tors. Szaleństwo. Był obcym mężczyzną, w dodatku wyglądał na zagniewanego.

A jednak czuła się przy nim bezpiecznie.

Przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę, Quinn stał nieruchomo. Wtem pchnął ją w kierunku okna, niecierpliwie rozsuwając zasłonę, by światło księżyca oświetliło jej twarz. Rozwiązał wstążkę maski, która spadła na ziemię, ukazując jej oblicze. Nagle poczuła się naga. Choć niewystarczająco naga. Poczuła niepowstrzymaną chęć zrzucenia z siebie wszystkich części garderoby na jego oczach. Musiał to być wpływ gorącego zainteresowania, jakim obdarzył ją ten piękny mężczyzna.

Przysunął się do niej, patrząc gniewnie.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – zapytał oschle.

Przełknęła ślinę.

– Jak?

Quinn wydał z siebie dźwięk oznaczający poirytowanie. Opuścił z powrotem zasłonę i chwycił ją w talii.

– Jakbyś chciała mnie w swoim łóżu.

Mon Dieu, co się mówi w takiej sytuacji?

– Jest pan bardzo atrakcyjny, panie Quinn.

– Teraz jestem panem Quinnem? – zamruczał, a jego wielkie dłonie sunęły po jej plecach, sprawiając, że czuła się maleńka i delikatna. Zdobyta. – Zawsze wiedziałem, że jesteś szalona.

Przesunęła językiem po wyschniętych ustach. Zastygł z rozpalonym spojrzeniem.

– W co ty pogrywasz? – zapytał znowu. Tym razem w jego głosie można było usłyszeć coś innego, coś mrocznego. Bardzo podniecającego.

– M-myślę, że oboje trochę się pogubiliśmy – odparła.

Poruszył się, pieszcząc jej kark i biodra, oplatając jej ciało swoim.

– Jestem pogubiony. To racja. Niech cię szlag. – Naparł na nią, wyginając jej ciało w łuk. Napierał mocno, już nie mogła się ruszyć.

Każdy jego oddech był jej oddechem. Każda chwila – podniecającym oczekiwaniem. Ich ciała ocierały się o siebie w rozpustnym tańcu. Czuła wrzącą w żyłach krew, która nie uspokoiła się ani na moment od pierwszej wymiany spojrzeń w sali balowej.

– Chcesz, żebym cię tu wziął? – wymruczał, opuszczając głowę tak, by jego usta muskały linię jej szczęki. Cudowna, a zarazem bezwstydną pieszczota przyprawiała ją o dreszcz oczekiwania. – Prosisz się o to, a w tej chwili na tyle straciłem głowę, by spełnić to życzenie.

– J-ja...

Quinn pocałował ją namiętnie, napierając ustami na jej wargi. Nie było w tym finezji ani czułości. Czuła, jak miażdży jej usta

w brutalnym pocałunku. Powinna się bać. Widać było, że ledwo nad sobą panował, dając się ponieść irytacji i żądzy.

Wydała z siebie jęk. Podniecona niezwykłym smakiem, polizała jego wargi. Zajączał, wpijając się w nią biodrami. Poddała mu się bezsilnie, a on złagodził uścisk pod wpływem tej jawnej kapitulacji.

– Powiedz, w co ty się wplątałaś – wyszeptał, przygryzając delikatnie jej usta.

– W ciebie – odparła, przekrzywiając lekko głowę, by mocniej go poczuć. Czowała się upojona. Zamknęła oczy i zakręciło jej się w głowie. Gdyby nie trzymał jej tak mocno, pewnie by upadła.

Quinn przesunął się nieznacznie i usiadł na stojącej obok leżance. Straciła równowagę i znalazła się między jego rozłożonymi nogami.

Poprowadził usta do jej ucha i zapytał:

– Dlaczego teraz?

Oplotła rękoma jego ramiona, odsłoniwszy szyję. Jego gorące, otwarte usta zaczęły pieścić wrażliwą skórę. Zatraciła się w oszalamiającej rozkoszy.

– Och, panie Quinn...

Zachichotał. Ten ciepły dźwięk ją zaskoczył.

– Kto by pomyślał, że pod warstwą lodu płonie taki żar?

– Pocałuj mnie jeszcze – prosiła, coraz bardziej rozsmakowana jego ustami, gdy już wiedziała, co potrafią.

– Musimy wyjść, zanim podciągnę ci suknię i wezmę cię tu i teraz.

– Nie...

Quinn ssął jej usta, co tylko dodatkowo ją podnieciło, doprowadzając ciało do wrzenia i rozkoszy na granicy bólu.

– W takim razie przejdźmy do bardziej ustronnego miejsca, Lysette. Zanim do reszty stracę rozum.

Lysette.

Zamarła na dźwięk imienia, które nie było jej.

Nagle zrozumiała sens tych wszystkich pytań. Ogarnęło ją przerażenie. Simon Quinn znalazł jej siostrę. Jej siostrę bliźniaczkę. Ukochaną przyjaciółkę i największą stratę w jej życiu.

Lysette zmarła. Jej ciało złożono w pięknie rzeźbionej krypcie w Polsce.

Skąd więc Quinn ją znalazł i dlaczego uważał, że żyje?

ROZDZIAŁ 2

Wybrzeże Francji, trzy dni wcześniej...

Lysette Rousseau, wprawna zabójczyni wciągnęła powietrze wpadające przez okno kajuty. Zastanawiała się, dlaczego nie boi się zbliżającej się śmierci. W jej życiu śmierć przewijała się wielokrotnie. Zazwyczaj w przerażających sytuacjach, przy dźwiękach błagania o litość. Bezskutecznie próbowała wzbudzić w sobie chęć pozostania przy życiu. Śmierć była wyzwoleniem. Nie potrafiła myśleć o niej inaczej.

Była uwięziona na pokładzie statku, który miał przybić do wybrzeża Francji. Nie wiedziała, co tam na nią czekało. Jechała z misją wywiadowczą do Anglii, ale została pojmana. Uwięziono też dwóch francuskich agentów, żeby ułatwić negocjacje. Inny zginął z jej ręki. Wziąwszy pod uwagę taki obrót spraw, to mogła być jej ostatnia noc. Nie robiło to na niej żadnego wrażenia.

Nie była typem kobiety, która dawała się ponieść emocjom, ale rozmyślała o tym, jak utrata pamięci pozbawiła ją *joie de vivre*^[*]. Przeszłość była dla niej tajemnicą. Poza ostatnimi dwoma latami. Dryfowała, pozbawiona korzeni. Bez celu. Mogłoby wydawać się dziwne, że tak wiele kosztowała ją egzystencja napędzana energią innych ludzi. Ale dla Lysette było to wyczerpujące.

Usłyszała zgrzyt zamka i do kajuty wszedł człowiek, który ją uwięził.

– Przyniosłem ci kolację – powiedział Simon Quinn głosem, który mógł oszołomić kobietę. Zmysłowy ton nie był wymuszony, lecz naturalny.

Lysette spojrzała na niego. Ubrany prosto, w koszulę bez rękawów i bryczesy, wyglądał jak pirat. W istocie był kupcem, który kilka ostatnich lat spędził w służbie Koronie Angielskiej. Był jej wrogiem, ale czuła się przy nim bezpieczniej niż przy jakimkolwiek innym mężczyźnie. Nie pociągała go, o czym przekonała się wielokrotnie w ostatnich kilku miesiącach spędzonych razem. Raz nawet zaproponowała mu seks, ale odmówił. Przez ten brak zainteresowania, niemal go lubiła. Niemal.

– Nie jestem głodna – powiedziała, patrząc jak na okrągłym stole w rogu kajuty stawia talerz z solonym mięsem i kruchymi biszkoptami.

Uniósł czarną brew i zmierzył ją od stóp do głów spojrzeniem błękitnych oczu. Simon był Irlandczykiem, co widać było w jego urodzie i słyhać w każdym zmysłowo wypowiedzanym słowie. Był oszałamiająco przystojny i czarujący. Mógł ofiarować kobiecie cały świat, jednym tylko uśmiechem... z zastrzeżeniem, że był to tylko chwilowy dar. Simon nie był mężczyzną na całe życie. To poczucie ulotności chwili stanowiło silną pokusę. Widziała, jak kobiety padały mu w ramiona, bez najmniejszego wysiłku z jego strony.

– Musisz jeść – odparł.

– Kołysanie statku mi nie służy.

Przezeszał włosy palcami. Gest ten przepelniony był frustracją. W jego ruchach była gracia, napiął mięśnie potężnego ramienia. Simon miał budowę człowieka przywykłego do pracy fizycznej, co dla większości kobiet było raczej atrakcyjne niż odpychające. Lysette przyglądała mu się z podobnym uczuciem, z jakim myślała o swojej śmierci.

– Czy jutrzejszy kres naszej podróży... trapi cię? – zapytał ochryple.

– Czy zmąciłoby to spokój twego sumienia, gdyby tak było?

Rozbawiło ją spojrzenie, które jej posłał.

Wiedziała, że patrzy na nią z niepewnością. Wyczuwał jej rozdarcie spowodowane amnezją. Dla Lysette utrata pamięci była

słabością, a jak nauczyło ją życie, nie mogła pozwolić sobie na kolejną, po jej płci, słabość.

– Nawet nie starasz się wzbudzać sympatii – stwierdził.

– Nie – odparła, podchodząc do jedyne go krzesła w kajucie. Było orzechowe, z wyprofilowanym siedzeniem. Dzielili dość wygodną kajutę, jednak pierwsze dni podróży były dla niej najbardziej stresującym okresem w jej krótkiej pamięci. Nie przywykła dzielić pokoju z mężczyzną, szczególnie przez tak długi czas. – Jutro się ode mnie uwolnisz.

– Ha! – Simon przysiadł na skraju jej łóżka, by zdjąć buty. Sam spał na hamaku rozwieszonym w rogu. Kołysał się w rytm statku. Widok ten często przywodził jej na myśl lepszą przyszłość.

– Uwolniłbym się od ciebie w Anglii, gdyby nie twoje kłamstwa, podstępny i knowania.

– Takie moje życie, *mon amour*.

– Już niebawem zatrujesz żywot jakiejś innej bogu ducha winnej duszy.

– Twoja hipokryzja mnie zadziwia.

Spojrzał na nią.

– Odstawiam cię do Francji jedynie przez wzgląd na moich ludzi. Gdyby nie oni, byłbym daleko stąd. Daleko od ciebie.

– Ach.

Choć przybrała kpiarski uśmieszek, w środku podziwiała jego lojalność i poczucie odpowiedzialności. Podlegający mu ludzie, tuzin mężczyzn pracujących w tajnej służbie w jego imieniu, przetrzymywani byli wbrew ich woli jako gwarancja jej przekazania. Rezygnacja zwalniała go ze wszelkiej odpowiedzialności za ich bezpieczeństwo, a mimo to, nie odpuścił.

– Co do tego, że jutro się od ciebie uwolnię, to raczej wątpliwe. Nie będzie to łatwa wymiana – powiedział, zaskakując ją. – Najpierw spotkam się z moimi ludźmi. Jeśli któryś z nich będzie ranny, do wymiany dojdzie dopiero po jego całkowitym wyleczeniu. W dodatku musimy wynegocjować odpowiednie warunki dla

Jacques'a i Cartlanda. Wiele zależy od tego, jak bardzo hrabia Desjardins jest gotów do współpracy.

– A jeśli nie uda ci się odzyskać wszystkich twoich ludzi?

Simon posłał jej posępne spojrzenie:

– Wówczas oni nie dostaną ciebie.

– Możesz więc nigdy się ode mnie nie uwolnić.

– Uwierz, to nie byłoby dla ciebie przyjemne – odburknał.

– Och, mylisz się. Jesteś miły dla oka i masz swój gburowaty urok.

Gdyby inny mężczyzna znalazł się w podobnej sytuacji, uprzykrzałby jej życie na różne sposoby. Ale Simon, choć niechętnie, dbał o jej komfort. Jego splamiony honor ją fascynował. W czasie wspólnie spędzonych dni Lysette próbowała odkryć, co go napędza, co nim powoduje. Taka wiedza bardzo by się jej przydała.

– Wiedźma – odparł pod nosem w odpowiedzi na jej zaczepki.

Oparła bosc stopy na szorstkim, drewnianym stołku. Czy miała rodzinę lub kogokolwiek, kto by się o nią martwił? Czy ktoś za nią tęsknił, zastanawiając się, dlaczego zniknęła? Nie wiedziała, co kieruje takim mężczyzną jak Simon, by najać się za pieniądze, ale wiedziała, co kierowało nią samą. Pragnęła odzyskać swoją tożsamość. W tym celu potrzebne jej były pieniądze i odpowiednie zaplecze, a także umiejętność zabicia każdego, kto stanąłby jej na przeszkodzie.

Wyjeżdżając z Simonem do Anglii, liczyła na powrót w zupełnie innych okolicznościach. Hrabia Desjardins obiecał jej zwrócić wolność w zamian za zdemaskowanie geniusza stojącego za misją szpiegowską Simona we Francji. Zamiast tego wracała jako więzień.

– Jedz – rozkazał Simon i gestem wskazał stół.

Przez ułamek sekundy Lysette znowu chciała mu się sprzeciwić. Postanowiła jednak, że nie spędzi ostatniej nocy na kłótniach z jedynym człowiekiem, którego lubiła.

Posłuchała więc, odsuwając od siebie myśli o nadchodzącym poranku.

[*] Radość życia.

ROZDZIAŁ 3

Punktualnie o jedenastej w nocy rozległo się pukanie do drzwi paryskiego domu Simona Quinna.

Długi zegar wiszący wybijał godzinę jedenastą i skrywał sekretne drzwi przed wścibskim okiem osób postronnych. Była to jedna z wielu dróg ucieczki, którą Simon kazał zrobić po nabyciu tej rezydencji trzy lata temu.

Przez chwilę przysłuchiwał się wymianie zdań między oczekiwanym gościem a kamerdynerem. Gdy głosy zbliżyły się do gabinetu, w którym oczekiwał, podniósł się z miejsca. Od momentu zejścia z pokładu statku tego ranka załatwiał sprawy związane z przydzieleniem mu tej misji. Miała to być jego ostatnia, a potem planował rozpocząć zupełnie nowe życie. Wysłał wiadomość hrabiemu Desjardins od razu po przybyciu, oczekując spotkania ze swoimi ludźmi, by na własne oczy przekonać się o ich zdrowiu. Gdyby wszyscy byli w dobrej formie, umówiłby wymianę na następny dzień.

Ubrany był jak do jazdy konnej. Płaszcz przewiesił na oparciu skórzanego fotela, blisko drzwi. Do uda przytroczony miał sztylet, a u boku niewielką szablę – nie dlatego, że spodziewał się konieczności jej użycia, ale dla większego wrażenia i odwrócenia uwagi. Największą bronią Simona były jego pięści – jedyna prawdziwa broń, na którą mógł liczyć.

Był wszechstronnie przygotowany i pewny swego. Opuścił statek i przybył do domu w towarzystwie postaci spowitej peleryną. Godzinę później, zamaskowaną Lysette przetransportowano do innego

miejsca, żeby uniknąć prób jej odbicia i zapewnić uczciwą wymianę.

– Panie Quinn.

Chuderlawy i żyłasty mężczyzna wyglądał na człowieka żyjącego z dnia na dzień. Trudno byłoby podejrzewać tego sługusa o jakiegokolwiek relacje z powszechnie szanowanym i hołubionym hrabią Desjardins, ale musiał je mieć. Inaczej nie byłoby go tutaj. Wyraźnie nie pasował do wyszukanej elegancji rezydencji Simona. Choć Simon dorastał na ulicach Dublinu i Londynu, walcząc o każdy kęs i miejsce do spania, później za sprawą swojej urody spędził kilka dobrych lat jako utrzymanek pięknej i bogatej lady Winter. Maria wiele go nauczyła w tym, jak ważne jest utrzymanie pozorów. To dzięki niej nauczył się dyskretnej elegancji w ubiorze, wiedząc, że mężczyźni o niskim pochodzeniu nie pasuje ostentacyjność. Wyrobił w sobie smak i gust wobec wszystkich swoich dóbr – od koni, przez powozy, aż po rezydencje. Był zamożny, bezsprzecznie. Miał też nienaganne wycucie stylu.

– Zaczynamy? – zapytał sługa Desjardins’a, nosowo naśladowując mowę gentlemana.

– Jestem gotów – odparł Simon. Wychodząc, chwycił płaszcz z fotela.

Opuścili miejską rezydencję Simona i wsiedli na konie. Zauważył jeszcze dwóch służących nieopodal, ale był przekonany, że w razie konieczności poradzi sobie z nimi.

Poza tym, skoro Lysette była warta życia tuzina ludzi, nie musiał się niczego obawiać.

Ale tu pojawiał się nowy problem.

Hrabia przystał na wymianę dwunastu ludzi jedynie za Lysette. Pozostawiało to *Illumines*, grupę współpracowników Desjardins’a, bez argumentów, by żądać powrotu Jacques’a i Cartlanda. Ci dwaj ostatni byli nadal przetrzymywani w Anglii przez byłego przełożonego Simona, lorda Eddingtona. Coś było nie tak.

Ale to już nie było jego zmartwienie i choć męczyła go wrodzona ciekawość i dociekliwość, postanowił to zignorować. Pragnął porzucić sekretne życie. Ostatnia wizyta w Anglii oraz krótkie, nieromantyczne spotkanie z zamężną już Marią przypomniały mu dawną radość życia. Te wspomnienia stały w ostrym kontraście z burzliwością i niepokojem ostatnich kilku lat. Pora na drastyczne zmiany. Czuł, że musi zmienić swoje życie, czy to na lepsze, czy na gorsze. Jednego był pewien, nie mógł już dłużej pracować w ten sposób.

Stukot końskich kopyt o kamienną nawierzchnię drogi w rytm spokojnego cwału był kojący dla ucha. Wieczorna bryza delikatnie smagała Simona po policzku. Wokół z rzadka mijały ich powozy i leniwi przechodnie. Odruchowo obserwował wszystko, co działo się wokół niego. Nawyk ten z czasem stał się dla niego czymś zupełnie naturalnym.

Przez lata przekonany był, że jego przeżycie zależy od zdobytych pieniędzy. Lecz teraz, rozmyślając o przyszłości, kiedy nie będzie musiał ciągle oglądać się za siebie, uśmiechnął się w duchu.

– Jesteśmy na miejscu.

Podążając za pozostałymi jeźdźcami, Simon poprowadził konia wzdłuż alejki i zatrzymał w miejscu przeznaczonym dla wierzchowców. Gdy już wszystkie konie zostały przywiązane, skierowano go przez żelazną bramę. Byli na cmentarzu.

– Będę musiał zakryć ci oczy – powiedział służący.

– Nie – odparł szorstko Simon, dobywszy szabli.

– Tylko na samo zejście – uspokoił go mężczyzna, szczerząc zęby w odraźającym uśmiechu.

– Mam fatalną pamięć – stwierdził Simon – nie musicie się martwić, że zejde do świata umarłych, żeby was odnaleźć.

– Założysz opaskę, albo wracamy – nalegał sługus Desjardins'a.

Simon zawahał się. Próbował ocenić intencje towarzyszących mu mężczyzn. W końcu wrócił do koni, ale zobaczywszy, że poszli za nim, zrozumiał, że nie ustąpią.

Schował szablę z powrotem do pochwy i powiedział:

– Ale tylko na chwilę i nie krępujcie mi rąk.

– *Mais oui*^[*].

Zawiązali mu przepaskę na oczach i uchwyciwszy pod ramię z każdej strony, poprowadzili naprzód. Przeszli przez wilgotne trawy i zesli po kilku kamiennych schodkach w dół. W powietrzu można było wyczuć woń błota. Simon potknął się na nierównym podłożu, co wywołało śmiech mężczyzn. Przeklął tylko.

Chwilę później jeden z mężczyzn powiedział:

– *Arrete*^[**].

Simon zatrzymał się i ściągnął opaskę. Zamrugał oczami i zobaczył, że jego podejrzenia były słuszne – znajdowali się w katakumbach pod miastem. Na murach, w regularnych odstępach zawieszono pochodnie, co znaczyło, że często tego przejścia używano. Pochwyił jedną, by móc posłużyć się nią dla oświetlenia sobie drogi i do obrony. Mężczyźni rzucili mu podejrzliwe spojrzenia, ale tylko uniósł brew w geście wyzwania. Ich przywódca wzruszył ramionami i ruszył dalej bez słowa.

Szli jeszcze dłuższą chwilę, kłucząc w labiryncie podziemnych ścieżek. W końcu dotarli do obszernego pomieszczenia, przerobionego na loch. Zobaczył swoich ludzi, zamkniętych w klatkach po czterech. Niektórzy siedzieli plecami oparci o kraty, inni leżeli na ziemi. Pilnowało ich kilku strażników, którzy teraz pochłonięci byli grą w karty.

– Jak się macie? – zapytał, zwracając się do więźniów. Ogarnął ich spojrzeniem, byli brudni i cuchnący. Wyglądali na wymizerowanych i zabiedzonych, ale stali o własnych siłach i wydawało się, że są cali i zdrowi. Uchwycili dłońmi kraty i patrzyli na niego wzrokiem pełnym nadziei.

– Potrzebna nam kąpiel – odpowiedział któryś.

– I mocny trunek – dodał ktoś inny.

– I kobieta? – zaśmiał się Simon.

– Prawda!

– Jutro wszyscy będziecie wolni – wyjaśnił, podchodząc bliżej. – Żałuję, że nie może to być już dziś, ale musiałem najpierw upewnić się, że jesteście wszyscy w dobrym zdrowiu, zanim przekażę im to, czego chcą.

Mężczyzna o imieniu Richard Becking wyciągnął przez kraty w kierunku Simona brudną rękę. Ten uściśnął ją bez wahania.

– Dzięki ci, Quinn – powiedział Richard żarliwie.

– To ja dziękuję, przyjacielu – odpowiedział Simon, wzmacniając uścisk. Jednocześnie ukradkiem przekazał mały zwitek z wiadomością.

Spojrzenie Richarda niezauważalnie wyostrzyło się, milcząco zapewnił, że zachowa notatkę w tajemnicy. Zawierała szczegółowe instrukcje wymiany i sposób, w jaki mieli go powiadomić, że są już bezpieczni, zanim przekaże Lysette.

Po tym gościu, Simon pożegnał się z nimi i wyszedł z podziemi dokładnie tak, jak przybył – częściowo wolno, a częściowo z zasłoniętymi oczami. Przy koniach pożegnał się z ludźmi Desjardins'a i ruszył w kierunku domu.

Ulice były puste i minął go tylko jeden powóz. Przyglądał mu się, zauważając kobiecą dłoń odzianą w rękawiczkę w oknie powozu i szlachecki herb na drzwiczkach. Oba elementy były dość typowe i zwykle łatwo umykały uwadze.

Mężczyzna na koniu był tak przystojny, że od razu przykuł jej uwagę. Lynette Baillon wyprostowała się na siedzeniu powozu i pochyliła, żeby lepiej widzieć jeźdźca. Nie oderwała od niego spojrzenia, aż straciła go z oczu.

Był wysoki, lejce trzymał luźno jedną ręką. Druga ręka spoczywała beztrząsco na niedużej szabli u jego boku, ale Lynette nie dała się zwieść. Baczenie obserwował wszystko wokół. Przyglądał się jej powozowi z uwagą. Był bez kapelusza i mogła podziwiać jego zapierającą dech w piersiach urodę.

– O co chodzi? – zapytała matka siedząca naprzeciw niej.

– Podziwiałam niezwykle przystojnego mężczyznę – wyjaśniła, siadając ponownie prosto.

– Bezwstydnie – upomniała ją matka. – A co gdyby zobaczył, jak wyginasz się, żeby mu się przyjrzeć?

– Jest zbyt ciemno. Nie pozwoliłaś przecież zapalić lamp.

– Niebezpieczeństwo czai się na każdym rogu. – Matka westchnęła i potarła skroń. – Nie zrozumiesz tego.

– Ponieważ odmawiasz mi wyjaśnień.

– Lynette...

Niepokój w głosie rodzicielki skłonił Lynette do kapitulacji. Tak było od lat. A teraz, gdy jej siostra odeszła, czuła się w obowiązku uspokajać matczyne serce. Nie odpowiadała jej ta rola. To Lysette była tą spokojniejszą i cichszą siostrą. Lynette była skandalistką i hedonistką. To przez jej ciągłe łamanie schematów lądowały w tarapatach.

– Wybacz, *maman*.

– W porządku. To była długa podróż.

Wicehrabina emanowała delikatnym pięknem. Budzące podziw złote loki i regularne rysy przekazała w genach córkom. Czas zdawał się jej nie tykać, nadal była pełna uroku i wdzięku. Ale eteryczność i delikatność były tylko pozorne. Marguerite Baillon, wicehrabina de Grenier, była bardzo silną kobietą. Gdy coś sobie postanowiła, nie sposób było ją od tego odwieść.

Chyba że na prośbę córek.

Nigdy nie potrafiła im niczego odmówić, a po stracie jednej z nich, tym bardziej rozpieszczała drugą. To dlatego były teraz w Paryżu. Lynette zawsze chciała odwiedzić to miasto, więc gdy wicehrabina zaproponowała wspólną podróż do Hiszpanii ku pocieszeniu serc, Lynette ubłagała ją o małe zboczenie z trasy. I choć Marguerite nienawidziła Paryża i rzadko przyjeżdżała do Francji w czasie minionych dwóch dekad, z niechęcią przystała na prośby córki.

Wicehrabina ziewnęła.

– Marzę o gorącej kąpieli i dwóch dniach w łóżku.

– Ależ będziemy tu tylko tydzień! Nie możesz spędzić dwóch dni w łóżku! – zaprotestowała Lynette.

– Żartuję, *ma petite*. Twój ojciec będzie w mieście w interesach za tydzień – przypomniała jej matka – a żadna z nas nie chciałaby zostać zbesztaną za zmianę planu podróży.

Jej ojciec był równie ostrożny, co matka. Nalegał, żeby zawsze mówiły mu, gdzie są i co robią.

– Nie, oczywiście, że nie.

Lynette spojrzała znów przez okno na miasto. Jej radość z wizyty w Paryżu była cały czas przytłumiona żalem, że nie ma z nią Lysette. Od poczęcia były nierozłączne i choć od jej śmierci minęły już dwa lata, Lynette nadal odczuwała ból rozłąki, którą tylko bliźnięta potrafią pojąć. Czuła, jakby umarła część jej samej i miała już zawsze żyć z bolącą świadomością tej straty.

Będę cieszyć się z tej podróży za nas dwie, Lysette, pomyślała, przyciskając rękę do zbolełego serca. Odwiedzę wszystkie te miejsca, o których rozmawialiśmy. Nawet te, których nie chciałam zwiedzać. Będę wyobrażać sobie, że jesteś ze mną i widzę świat twoimi oczami.

– Brakuje mi jej – wyszeptala przez zaciśnięte żalem i winą gardło. – Strasznie mi jej brakuje.

– Będziemy żyć dla niej – powiedziała cicho wicehrabina. – Każdego dnia.

– Tak, *maman*. – Oparła się mocno o zagłówek i zamknęła oczy. Co dziwne, jej myśli pobiegły ku mężczyźnie na koniu. Był pełny życia, taki prawdziwy. Można to było dostrzec nawet z daleka. Tak powiedziałyby o nim Lysette, gdyby tu była.

– Czy widziałaś kiedyś przystojniejszego mężczyznę? – zapytałyby siostrę.

– Tacy mężczyźni oznaczają kłopoty – odparłyby Lysette. – Lepiej znaleźć sobie cichego towarzysza, który zapewni stabilizację. Dzicy mężczyźni się nie żenią. Dlatego też pozostają dzicy.

Niepodważalny rozsądek Lysette zawsze temperował jej impulsywność. Siostra była jej kotwicą i czuła, że bez niej dryfuje bezwolnie.

Lynette oddałaby i zrobiła wszystko, żeby odzyskać siostrę. Ale śmierć wykradła jej Lysette i teraz musiała nauczyć się żyć bez niej.

Hrabia Desjardins przebywał właśnie w swojej piwniczce, szukając specjalnego rocznika burgunda, gdy jego uszu doszedł odgłos otwieranych drzwi. Zastygł bez ruchu, z krwią zmrożoną w żyłach.

– Panie.

Odetchnął z wyraźną ulgą na dźwięk trochę skrzeczącego, ale znajomego głosu. Napięcie w barkach zelżało lekko. W tej chwili musiało mu to wystarczyć. Nigdy nie można być do końca spokojnym, gdy ktoś inny dyktuje warunki. Odwrócił się i spojrzał najpierw na lokaja, a potem dalej, ponad jego ramieniem, na zamurowane drzwi prowadzące do katakumb. Wypatrywał diabła nawet teraz, gdy od ostatniego bezpośredniego kontaktu z L'Espritem minęło dziesięć lat.

Od lat wysyłał jedynie wiadomości.

Uniósł brwi, a lokaj potwierdził gestem głowy. Słowa były zbędne. Wymiana z Quinnem miała się odbyć nazajutrz. Miał odzyskać uroczą Lysette.

Nadal nie mógł uwierzyć, że została pojmana. Przez dwa lata pracy dla niego, nie poniosła ani jednej porażki. Być może została zdemaskowana? Modlił się, by tak nie było, bo naprawdę potrzebował teraz pomocy pięknej kobiety. Takiej, która bez skrupułów potrafiła kłamać i zabijać. Niestety, o takie kobiety nie było łatwo.

Służący oddalił się, a Desjardins wszedł po schodkach na górę do kuchni, mijając niezliczoną służbę przygotowującą kolację dla jego rodziny i gości. Zostawił butelkę wina na blacie kuchennym, a sam udał się do dawnego saloniku dla gości. Było to najmniej lubiane przez niego miejsce w całym domu. Żona urządziła je w kolorach bladego błękitu i bieli. Wszystkie elementy metalowe też były białe,

co według hrabiego tworzyło wrażenie komnaty lodowej. Jedynym kolorowym akcentem w tym pokoju był portret Benjamina Franklina, zajmujący honorowe miejsce na ścianie.

Hrabia Desjardins darzył pana Franklina sympatią i szacunkiem. Był on czarującym, błyskotliwym człowiekiem, Wielkim Mistrzem w loży Les Neuf Soeurs^[***].

Był też najnowszym celem L'Esprita.

Desjardins otrzymał kolejną przekłątą wiadomość zaledwie tydzień temu. Odrzucenie wynagrodzenia nie wystarczyło, by przeciąć więzy łączące go z L'Esprite. Teraz w zamian za współpracę miał otrzymać zaledwie zapewnienie, że jego rodzina pozostanie bezpieczna. Z tego też powodu rad był, że misja Lysette się nie powiodła. Wprawdzie liczył, że dzięki niej pozna umysł kryjący się za działaniami Simona Quinna we Francji, po czym wykorzysta te informacje, by wywabić L'Esprita. Jego nagle zainteresowanie Franklinem wymagało jednak jej ciągłej aktywności. L'Espritowi nie wystarczyły bowiem zwykle informacje zdobyte pocztą pantoflową. Oczekiwał szczegółowych sprawozdań z korespondencji, spotkań i rozmów Franklina.

– Znalazłem. – Desjardins stanął obok człowieka, który miał teraz fundamentalne znaczenie w realizacji jego planu.

Edward James odwrócił wzrok od portretu Benjamina Franklina i spojrzał na swojego rozmówcę. Hrabia jeszcze nigdy nie widział, żeby ten się uśmiechał.

– Bardzo doceniam pański wysiłek. Z przyjemnością skosztuję tak zachwalanego przez pana wina.

– Ależ to żaden kłopot – odparł Desjardins, myśląc, że przynajmniej tyle mógł zrobić. Niewiele, w obliczu tego, przez co ten człowiek będzie musiał przejść w nadchodzących tygodniach.

James był sekretarzem Benjamina Franklina. Stanowisko to, jakkolwiek prestiżowe, stało się jego przekleństwem. Towarzyszył mu niemal wszędzie i znał każdy szczegół jego życia – tak cenne dla L'Esprita informacje. Desjardins musiał wydobyć je od Jamesa.

Był to długi i bolesny proces, wymagający wiele czasu i zachodu, a przynoszący niewielkie rezultaty. Dotychczas, dzięki zabiegom Desjardins'a, L'Esprit był zadowolony. Hrabiemu jednak nie zależało na jego zadowoleniu. Pragnął jego śmierci. W tym celu musiał zdobyć przewagę. Musiał wejść w posiadanie cennych informacji. A piękne kobiety są najskuteczniejsze w pozyskiwaniu tego typu informacji od mężczyzn.

– Ma pan piękny dom – powiedział James.

– *Merci*.

James był wysokim, szczupłym mężczyzną o ciemnych włosach, ciemnych oczach i mocno zarysowanej szczęce. Nosił okulary w mosiężnych oprawkach. Z definicji nie był przystojnym mężczyzną, ale Ann, córka hrabiego, mówiła o nim nieustannie oraz o jego „intensywności”. Dokładała też wielu wysiłków, by wykorzystywać wszelkie okazje do spotkania Jamesa i odnotowywała każdy szczegół, na przykład, czy smakowała mu herbata. Dzięki temu Desjardins dobrze wiedział, jakim mężczyzną jest James. Zamierzał przekazać te informacje Lysette, by mogła stać się kobietą idealną w oczach Jamesa.

– Jakie ma pan plany na resztę tygodnia? – zapytał Desjardins. Przysłuchiwał się odpowiedzi w skupieniu, notując w myślach wszystkie szczegóły przydatne Lysette. Miał nadzieję, że krótkie chwile spędzone z Lysette sprawią sekretarzowi przyjemność. Ta urocza blondynka była zdecydowanie poza jego zasięgiem. Miała kosztować go utratę pracy i reputacji, a może nawet czegoś znacznie cenniejszego... życia.

[*] Ależ oczywiście.

[**] Stać.

[***] Loża Les Neuf Soeurs – francuska prominentna loża

wolnomularska, założona w 1776 roku w Paryżu. [przyp. tłum.]

ROZDZIAŁ 4

– Czyli w końcu się rozstajemy – powiedziała cicho Lysette.

Simon wykrzywił twarz w uśmiechu. Gdyby miał to być koniec ich relacji, zadbałby o znacznie bardziej romantyczne okoliczności. Ale w obecnej sytuacji było to zbędne.

– Proszę, jaki jesteś szczęśliwy. – Niechętny uśmiech pojawił się na jej ustach. Zauważył, jak bardzo zmieniło to jej rysy. Lysette była z pewnością jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie widział. Jej piękne loki mieniły się odcieniami złota i jasnego brązu. Skóra miała barwę alabastru, a błękitne oczy przywodziły na myśl lazuruowe letnie niebo. Twarz w kształcie serca, usta soczyste i pełne. Była drobną kobietą, o idealnych proporcjach ciała. Z powodu jej nieskazitelnej urody, uważał za niepokojący fakt, iż poza momentem poznania, ani przez chwilę nie miał ochoty jej posiąść. Nawet po ostatnich kilku tygodniach wstrzemięźliwości i ciągłej z nią bliskości.

– Z pewnością też odczuwasz ulgę, że już niebawem uwolnisz się ode mnie – powiedział lekko.

– Oczywiście.

W jej oczach znowu pojawił się chytry blask. Westchnął w środku. Po raz kolejny, gdy zaczynał o niej ciepło myśleć, zaraz przypominała mu, dlaczego nawet jej nie lubi. Nie chodziło o to, że go nie kochała, ale o jej zmienność. Raz sprawiała wrażenie pogubionej, by za chwilę czerpać zbyt wiele zadowolenia z wykonywanej pracy. Podejrzewał, że była ciężko doświadczona przez życie,

a dobrze wiedział, że należy unikać osób, które cierpiały psychicznie. Stanowią zagrożenie dla siebie oraz ludzi wokół nich.

Gdy powóz zajechał przed niewielki dom w cichej uliczce, Simon otworzył drzwiczki, wysiadł i zaoferował wsparcie odzianej w rękawiczkę dłoni Lysette.

Najpierw ukazało się rondo jej kapelusza. Po chwili uniosła głowę i spojrzała na wejście do rezydencji.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

– To mój dom.

Simon przyglądał jej się otwarcie. Była w melancholijnym i refleksyjnym nastroju. W jej jasnoniebieskich oczach dostrzegł cienie skrywające tajemnice, o których wolał nie wiedzieć.

Lysette Rousseau była jedną z najokrutniejszych osób, jakie przyszło mu poznać. Czerpała satysfakcję z nieszczęścia innych. Czasem trudno było mu uwierzyć, że ta piękna, pozornie delikatna kobieta jest tak twarda i bezlitosna. Widział, jak morduje z osobliwym okrucieństwem. Było to tym bardziej przerażające, że akt ten dokonywany był przez uroczą uwodzicielkę. Tak, miała w sobie obycie i elegancję osoby dobrze urodzonej. To połączenie ucivilizowania i zewu krwi tworzyło potężny dysonans.

Szczerze mówiąc, nie mógł się doczekać, kiedy się jej pozbędzie, razem z jej tajemnicami. Niechętnie wnikał w życie innych ludzi na polecenie króla, który niewiele go obchodził. Pragnął jedynie żyć własnym życiem i w końcu był wystarczająco bogaty, żeby sobie na to pozwolić. Nie musiał już spełniać oczekiwań kogoś innego. Świat należał do niego lub miał należeć wkrótce, jak tylko wymieni przebiegłą Lysette na Richarda i pozostałych.

Odwrócił się i wziął ją pod ramię.

– Gotowa? – zapytał.

Lysette mocno wciągnęła powietrze i kiwnęła głową na potwierdzenie. Simon zauważył ten gest i poczuł ukłucie troski. Już miał zapytać, czy nie potrzebuje pomocy, ale ugryzł się w język. Choć resztki jego rycerskiej natury przepelniały go palącą potrzebą

uratowania damy z kłopotów, bolesna prawda była taka, że sama nawarzyła sobie tego piwa i musiała je teraz wypić. On miał zobowiązania wobec tuzina ludzi, którzy pracowali dla niego, a nie wobec niej. A jednak na usta wcisnęły mu się uprzejme słowa.

– Będę w Paryżu jeszcze miesiąc.

Wiedziała, że nie było to romantyczne wyznanie, a jedynie propozycja chwilowej, bezpiecznej przystani na czas sztormu. Zaskoczenie odmalowane na jej twarzy pozwoliło mu dostrzec cień naturalnej, prawdziwej Lysette. Przez ułamek sekundy się rozpromieniła. Niepewnie zamigotała w niej nadzieja i niewinność, by po chwili zniknąć bez śladu.

Usztywnił się, oczekując jej typowej ostrej i szyderczej odpowiedzi na serdeczny gest. Tymczasem uśmiechnęła się nieznacznie i niemal niezauważalnie skinęła głową. Pokonawszy schody, weszli do środka. W drodze do holu powitała ich dźwięczna muzyka fortepianu. Piękny kryształowy żyrandol oświetlał marmurową posadzkę, w holu unosił się zapach świeżych kwiatów ustawionych w wazonach.

Lysette zaprowadziła go do saloniku urządzonego w relaksujących odcieniach żółci i złota. Ubrany w szmaragdowy strój, hrabia Desjardins stał w mocnym kontraście do otaczających go barw.

– *Bonjour*, panie Quinn – powitał Simona hrabia, wstając od fortepianu.

– Panie – odparł Simon, po raz wtóry zaskoczony siłą głosu hrabiego, zamkniętą w tak niewielkiej posturze. Wątpił, by głos ten dało się ujarzmić w szepcie, co było o tyle zdumiewające, że ciało jego właściciela zdawało się być tak wężkie, iż mogłoby przewrócić się przy najmniejszym podmuchu wiatru.

– Lysette, *ma petite*. – Hrabia podszedł do Lysette, z wyrazem dumy i miłości malującymi się na jego pociągłej twarzy. – *Comment te sens-tu*^[*]?

– *Bien, merci*^[**].

Odpowiedź Lysette była znacznie bardziej stonowana, nawet bez cienia ciepła. Jednak hrabia wyglądał na niezrażonego jej brakiem radości z powrotu pod jego skrzydła.

– Doskonale. – Ponownie zwrócił się do Simona – Panie Quinn, napije się pan herbaty?

– Nie, dziękuję. – Simon uniósł nieznacznie brwi zdziwiony łatwością, z jaką Desjardins zawładnął domem Lysette. – Wolałbym sfinalizować naszą transakcję i udać się własną drogą.

– Co z Jacques'em i Cartlandem? – spytała Lysette.

Desjardins dłonią wskazał jej miejsce, by usiadła.

– Podejmiemy odpowiednie działania.

Spojrzała pytającym wzrokiem na Simona, ale odpowiedział jej tylko gestem zdziwienia. Zmarszczyła brwi. Najwyraźniej nie był poinformowany, tak jak ona.

– Pańscy ludzie zostali uwolnieni od razu po pańskim przybyciu, panie Quinn – powiedział hrabia. – Zgodnie z obietnicą.

Simon podszedł do okna, wyjrzał na zewnątrz, po czym spojrzał na zegar.

– Pozwolę sobie zabawić jeszcze chwilę w pańskim towarzystwie, jeśli to nie kłopot.

Kąciki ust Lysette uniosły się nieznacznie. Każde z nich wiedziało, że Simon nie odejdzie, dopóki nie będzie miał pewności, że jego ludzie są bezpieczni – kłopot czy nie.

Hrabia wzruszył ramionami.

– Wedle życzenia. Jestem niezwykle wdzięczny za oddanie mi *mademoiselle* Rousseau całej i zdrowej.

– Nie czerpię przyjemności z krzywdzenia innych – odparł Simon ponuro. – I nie mógłbym oczekiwać, że moi ludzie powrócą w dobrym zdrowiu, gdybym sam zwracał dobra uszkodzone.

– Bardzo to ludzkie z pańskiej strony. Jakże ma pan teraz plany? – zapytał hrabia, kiwając się beztrudnie na piętach i uśmiechając niewinnie.

– Nie pański cholerny interes – wypalił Simon gniewnie, tracąc cierpliwość dla żartobliwego tonu hrabiego. – Bez urazy, panie.

– Nie czuję się urażony.

Krótkie pukanie do drzwi obwieściło, że podano herbatę.

Przyniosła ją pokojówka równie leciwa, jak kamerdyner. Oboje wyglądali tak, jakby powinni byli być odesłani ze służby lata temu.

Lysette zaczęła zdejmować rękawiczki. Simon wyjrzał ponownie przez okno i dostrzegł błysk czerwonego światła po drugiej stronie ulicy.

– Teraz pożegnam już państwa – powiedział.

– Widzi Pan? – chełpił się hrabia. – Można mi zaufać.

Simon prychnął. Podszedł do Lysette. Wyciągnęła do niego gołą dłoń.

– *Au revoir, mon amour*^[***] – zamruczała.

Sklonił się i złożył pocałunek na jej gładkiej dłoni. Spojrzał jej prosto w oczy i powiedział:

– Staraj się już więcej nie knuć.

– I miałabym się po prostu nudzić? – Chociaż się przekomarzała, napięte linie wokół jej oczu i ust zdradzały, że jej nonszalancja jest pozorna.

Simon spojrział na hrabiego poirytowany świadomością, że nie będzie w stanie jej zostawić, jeśli znajdowałyby się w niebezpieczeństwie. Ale Desjardins patrzył na Lysette z miłością. Obdarzał ją ciepłym spojrzeniem i uśmiechem. Nierówna waga tej wymiany była dodatkowym dowodem na to, jak cenna była dla hrabiego. Był pewny, że Lysette znowu wyląduje na czterech łapach. A nawet, jeśli nie, wiedziała, gdzie go szukać.

Uściskawszy jej dłoń po raz ostatni, puścił ją, pokłonił się uprzejmie hrabiemu i wyszedł. Szedł do powozu, lekko podskakując. Gdy uwolniono jego ludzi, uwolniono i jego. Przed nikim już nie odpowiadał i nic go nie trzymało.

Lysette nalewała herbatę, nie spuszczać oka z Desjardins'a. Hrabia stał przy oknie i obserwował odjeżdżającego Quinna. Był szczuplejszy, niepokojąco wychudzony. Ale gdy odwrócił się i spojrzał na nią, na jego twarzy malowała się szczerza radość.

– Dobrze wyglądasz – stwierdził, bacznie się jej przyglądając.

– Na tyle, na ile się da w tych okolicznościach – odparła. Dodała szczerze cukru i śmietanki do herbaty hrabiego, po czym podała mu spodek z filiżanką.

Podszedł, biorąc od niej napój.

– Opowiedz, co się wydarzyło.

Lysette zmroziło. Jej ostatnia misja potoczyła się fatalnie, mimo że plan był z pozoru prosty. Colin Mitchell, najbliższy współpracownik Quinna, odszedł z zamiarem powrotu do Anglii. Jacques miał zaprzyjaźnić się z Mitchellem i odkryć tożsamość przełożonego Quinna, który to przekazywał tajemnice francuskie bezpośrednio królowi Anglii. Niestety, w noc, gdy Mitchell i Jacques mieli wsiąść na statek, inny współpracownik Quinna, Anglik o nazwisku Cartland, zamordował człowieka powiązanego z agentem generalnym, Talleyrand-Perigordem. Cartlanda pojmano, a ten jako winnego tej zbrodni wskazał Mitchella. By uwiarygodnić te oskarżenia, zdradził nazwiska współpracowników Quinna, tym samym demaskując siatkę angielskich szpiegów.

W tamtym momencie powinni byli zostawić Mitchella i czekać na inną sposobność. Jednakże Lysette desperacko pragnąc wyzwolić się od zobowiązań wobec Desjardins'a, podjęła zuchwałą próbę zbliżenia się do Quinna i uratowania misji. W zamian za to Desjardins miał zwolnić ją z dalszej służby.

– Zaraz po przybyciu do Anglii – powiedziała – zostaliśmy odkryci przez pana Mitchella, co pozwoliło nam rzucać mu przeszkody na drodze. Mieliśmy nadzieję, że zmusi go to do zwrócenia się po pomoc, a w rezultacie doprowadzi nas do człowieka, którego tożsamość mieliśmy ustalić.

Hrabia siedział obok w fotelu pokrytym złotym welurem.

– Brzmi jak plan doskonały – podsumował.

– I taki by był, gdyby Mitchell nie miał aż tak doskonałych powiązań. W ogóle nie musiał zwracać się o radę do swojego przełożonego.

– Hmm... – Desjardins spojrział na nią znad filiżanki, po czym opuścił dłonie, a jej oczom ukazał się uśmiech mrozący krew w żyłach. – Cóż za interesująca opowieść.

Wzruszyła ramionami.

– To cała prawda. Nic ponad to.

– Czyżby?

– Naturalnie. – Starła się, by jej głos brzmiał beztrosko, ale dreszcz niepokoju przebiegł jej po plecach. – A cóż innego?

– Może to wyszukany fortel?

– *Absurde* – prychnęła. – Czemu miałby służyć?

– Nie mam pojęcia, *ma petite*. – Twarz hrabiego stężała. – Spędziłaś w towarzystwie pana Quinna sporo czasu, a jest on znany ze swego daru uwodzenia kobiet. Może i ty uległaś jego urokowi.

Lysette wstała ze złością, szeleszcząc kwiecistą suknią.

– I teraz miałabym cię zdradzić?

– A masz taki zamiar? Podalaś mu swoje prawdziwe nazwisko.

Dlaczego?

– Bo miała to być moja ostatnia przysługa dla ciebie.

– Interesujący sposób na zdobycie niezależności.

– Zabij mnie więc – powiedziała, jakby rzucając mu wyzwanie podkreślone uniesieniem brody. – I tak nikt ci się nie sprzeciwi.

Desjardins wstał z irytującą nonszalancją i odstawił filiżankę na stolik.

– Tak jak ty zabiłaś François Depardue pracującego dla agenta generalnego?

Lysette poczuła znajomy chłód w żołądku.

– Wiesz dobrze, że sobie na to zasłużył.

– Tak, był zwierzęciem. Niezaspokojoną bestią bratającą się z podobnymi sobie. – Hrabia podszedł do niej i zamknął ją w kościstym uścisku. Wzdrygnęła się, ale nie próbowała się uwolnić. Desjardins zabrał ją od Depardue, nakarmił i przyodział. Wyszkolił, by przeżyć. – Pomogę ci – powiedział, gładząc ją po plecach jak troskliwy ojciec. – Nikt nigdy nie pozna prawdy. W zamian ty pomożesz mnie. Ten ostatni raz.

Był to niekończący się koszmar jej życia.

– Czego chcesz? – zapytała niepewnie, opuszczając ramiona.

– Chcę cię z kimś poznać.

– Kogo tym razem mam zabić?

Odsunął się i obdarzył ją łagodnym uśmiechem.

– Tym razem potrzebna jest mi inna usługa *femme fatale*.

Te słowa przeraziły ją znacznie bardziej niż rozkaz popełnienia zbrodni.

– Ogromnie się o nią martwię, Solange – stwierdziła smutno Marguerite, a jej palce same prowadziły igłę przez wyszywany materiał. – Bardzo się zmieniła od śmierci Lysette.

– Zauważyłam.

Marguerite spojrzała na swą drogą przyjaciółkę. Była kurtyzaną. Poznały się lata temu pewnego popołudnia podczas zakupów. Solange Tremblay była uroczą brunetką obdarzoną dziewczęcym śmiechem i uśmiechem – cechami, które sprawiały, że zawsze była w centrum męskiego zainteresowania. Z pozoru niewiele je łączyło. Solange wspięła się po drabinie społecznej z nizin, a Marguerite spadła z wysokiego szczebla arystokracji. Solange była brunetką, Marguerite blondynką. Połączyła je jednak głęboka przyjaźń. Obie nosiły piętno tego świata, by żyć tak, jak chciały.

Po tragicznym końcu jej romansu z Philippe'em, Marguerite wyszła za silnego de Greniera i wyjechała z nim do Polski, żeby już nigdy nie wrócić do Francji... aż do teraz. Jej przyjaźń z Solange przetrwała dzięki korespondencji, a nawet wzmocniła się i urosła

w siłę przez lata. Teraz, gdy znów siedziały razem w jednym pokoju, wydawało się, jakby minęła ledwie chwila.

– Opisywałaś ją jako pełną życia – powiedziała Solange, upijając delikatnie łyk z napełnionego do połowy kieliszka brandy. Siedziała w swoim buduarze, z podciągniętymi nogami, na sofie pokrytej rubinowym atlasem. Lekko rozchylony satynowy szlafrok w kolorze kości słoniowej odsłaniał jej zgrabne, długie nogi. – Wszystkie historie o twoich córkach, które opisywałaś, pokazywały, jak bardzo różniły się od siebie, mimo że były bliźniaczkami. Starsza, nieujarzmiona i dzika, a młodsza refleksyjna intelektualistka. Gdybym nie wiedziała, pomyślałabym, że to Lysette przyjechała z tobą, a nie Lynette.

– Otóż to – odparła Marguerite, odkładając robótkę na bok. – Czasem mam wrażenie, jakby starała się być Lysette.

– Może nie chce cię dodatkowo obciążać. Może stara się w ten sposób zapewnić ci spokój.

Marguerite odchyliła głowę do tyłu, zamknęła oczy i odczuła ciężar depresji i niepokoju narastający w niej z każdym dniem od pamiętnej nocy dwadzieścia trzy lata temu, gdy z de Grenierem opuściła Paryż.

– Widok mojej córki przygnębionej i smutnej z pewnością nie napawa mnie spokojem. To tak, jakby wraz ze śmiercią Lysette umarło w niej życie. Powinna już być żoną i matką. Ale zupełnie nie interesują ją zaloty mężczyzn, którzy wkrótce skierują swoje wysiłki gdzie indziej.

– Kiedyś była skora do flirtów, *oui*?

– Bardzo. Ale to się zmieniło. Kiedyś martwiłam się o jej przyszłość, bo niczego nie traktowała poważnie. Teraz do wszystkiego podchodzi ze śmiertelną powagą.

– Nie wyobrażam sobie nawet, jak to jest stracić kogoś, z kim spędziło się całe życie. Kogoś, kto jest identyczny jak ty. Możliwe, że faktycznie jakaś jej część umarła na zawsze.

Łzy wypłynęły spod zamkniętych powiek Marguerite.

– Nie mogę stracić obu moich córek. Nie zniosę tego.

– *Mon amie*^[****]...

Marguerite słyszała brzęk odstawianego kieliszka i szelest satyny, gdy przyjaciółka zbliżyła się do niej. Z wdzięcznością zatonała w jej troskliwych objęciach. Od tak dawna czuła się samotna. Narodziny córek zniszczyły jej łono, uniemożliwiając poczęcie kolejnych dzieci. Jałowość jej ciała wyrzyła rysę na jej małżeństwie, która z każdym rokiem tylko się pogłębiała.

– Nadal jesteś w głębokiej żałobie. Nie ma co się dziwić, że i Lynette pogrążona jest w żalu. – Solange delikatnie pogładziła ją po rozpuszczonych włosach. – Jedna z was musi wrócić do świata żywych, by druga mogła pójść w jej ślady.

– Jakże mogę to być ja? – spytała Marguerite, ocierając łzy. – Przestałam żyć lata temu.

– Wróciłaś do Paryża. To dobry początek.

Ale wcale nie był łatwy. Marguerite była zadowolona z życia w Polsce mimo przepaści dzielącej ją z de Grenierem. Nie prześladowały jej tam widma przeszłości, nie było pokus ani żalu. Tu było inaczej. Wyprostowała się, sięgnęła po kieliszek przyjaciółki i wypila jednym haustem jego szlachetną zawartość. Odetchnęła głęboko, odczuwając gorąco wywołane alkoholem. Spojrzała przez ramię na przyjaciółkę.

– Powiedz mi, jak to zrobić.

– Przyjęcie. – Na pięknej twarzy Solange zagościł łobuzerski uśmiech. Matka Francuzka i ojciec Włoch dali jej egzotyczną urodę. Była niezwykle atrakcyjną kobietą. – I to nie byle jakie. Baronowa Orlinda lubuje się w sprośnych, skandalicznych przyjęciach.

– Nie zabiorę córki na orgię! – sprzeciwiła się ostro Marguerite.

– *Mon Dieu*. – Solange zachichotała swym dźwięcznym śmiechem. – Nie jest aż tak sprośne!

– Nie wierzę. Zresztą, i tak nie możemy pozwolić sobie na zdemaskowanie. To zbyt niebezpieczne.

– Nadal się boisz? Po tylu latach?

– Gdybyś widziała okropieństwa tamtego dnia, też nigdy byś nie zapomniała.

– Nadal go kochasz?

– Wszystko, co zrobiłam w życiu od tamtego dnia aż po dzisiejszy, robiłam z miłości do Philippe’a.

Marguerite wstała, przebiegła spojrzeniem po ścianach obitych czerwonym adamaszkiem. Wszystko w tym pokoju miało wprawiać w osłupienie i podniecenie: pokryte złotem ozdoby i egzotycznie pachnące świece. Co dziwne, mieszkanie w nim wpływało na Marguerite uspokajająco. Nic nie było tu udawane. Wszystko było jasne, tak jak i sama Solange.

Marguerite ujęła pusty kieliszek i podeszła do konsoli zastawionej kilkoma karafkami.

– Myślę, że on wciąż tęskni za tobą – powiedziała Solange.

Ręka Marguerite nalewająca napój zadrżała mocno, ujawniając targającą nią od wewnątrz burzę uczuć, którą wznieciła ta wiadomość.

– Jaką byłabym kobietą – wyszeptała – gdybym przyznała, że chciałabym, by tak było?

– Uczciwą.

Marguerite głośno wypuściła powietrze i dokończyła nalewanie.

– Jestem mężatką. Szanuję przysięgę małżeńską i mojego męża. Dlatego de Grenier nigdy nie może dowiedzieć się o naszej wizycie w Paryżu. Poświęcił dla mnie wiele. Nie chcę, by zamartwiał się, że przyprowadziłam mu rogi z dawnym kochankiem.

– Rozumiem. Dlatego proponuję przyjęcie u baronowej. Zapewniam cię, że nie będzie bardziej szokujące niż ten buduar i bardzo wątpię, byś miała spotkać tam kogokolwiek ze swej przeszłości. Dodatkowo, dla ostrożności możesz założyć maskę i wystąpić pod fałszywym nazwiskiem.

– Nadal jednak uważam, że to nie jest dobry pomysł, by zabierać moją córkę na spotkanie z rozpustnym towarzystwem! –

Marguerite podała Solange napełniony kieliszek, po czym stanęła z rękoma opartymi na biodrach.

– Ta dziewczyna od dwóch lat jest obojętna na wszystko i pogrążona w żałobie. Myślisz, że wizyta w muzeum wyrwie ją z tego stanu? – Solange wyciągnęła ozdobioną klejnotami rękę, by powstrzymać dalszy protest ze strony Marguerite. – Zresztą, dlaczego nie zapytasz jej o zdanie?

– To śmieszne.

– Doprawdy? Jeśli się nie zgodzi, to żadna strata. Ale jeśli będzie chciała pójść, to znaczy, że jest w niej jeszcze jakaś część dawnej Lynette. Czyż jeden nieprzyzwoity wieczór nie jest tego wart?

Marguerite pokręciła głową.

– Prześpij się z tym – zasugerowała Solange. – Być może zmienisz zdanie, gdy wypoczniesz.

– Tak, będę myśleć rozsądniej.

– Rozsądek, w rozumieniu socjety, jest przeceniany. *Non?*

Przez chwilę Marguerite rozważała dalszą dyskusję, ale zamiast tego nałała sobie kolejny kieliszek.

[*] Jak się czujesz?

[**] Dobrze, dziękuję.

[***] Do widzenia, ukochany.

[****] Moja przyjaciółko...

ROZDZIAŁ 5

– Panie Quinn.

Chłodna, niepewna dłoń dotknęła jego ramienia. Lata spędzone pod jarzmem sprawiły, że od razu dostrzegł podchodzącego ostrożnie kamerdynera. Zbyt jednak wykończony, Simon pozostał w łóżu bez ruchu.

Otworzył jedno oko i ujrzał zmartwione spojrzenie zawstydzonego służącego. Pewnie wprawił go w ten stan widok kobiety leżącej u boku Simona. Leżał do niej tyłem, ale nie zdziwiłby się, gdyby ta urocza brunetka była znacznie bardziej roznegliżowana, niż pozwoliłaby sobie na to w normalnej sytuacji.

– Ma pan gościa, panie Quinn.

– Która godzina?

– Siódma rano.

– Jasna cholera. – Zamknął oko, ale był już całkiem obudzony. Nie należał do ludzi, których niepokojono by bez powodu. – Jeśli nie jest śmiertelnie ranny lub na skraju śmierci z innego powodu, niech przyjdzie o bardziej przyzwoitej porze.

– Próbowałem mu to powiedzieć. Niestety zareagował, wnosząc duże ilości kufrów i bagażu do pokoju gościnnego.

Simon uniósł powieki i głowę.

– Słucham?

– Lord Eddington już się rozgościł. Powiedział, że na nic innego by się pan nie zgodził.

– Eddington? Co on u diabła robi w Paryżu?

Simon wyplątał się ostrożnie z prześcieradeł, nie chcąc obudzić swej towarzyszki. Usiadł na krawędzi łóżka, czekając, aż pokój przestanie mu wirować przed oczami. Noc ostrego picia i jeszcze ostrzejszego seksu pozwoliła mu na jakieś dwie godziny snu.

Kamerdyner potrząsnął głową, starając się odwrócić wzrok od ramienia Simona. Gdy ten się obejrzał, ujrzał swoją partnerkę w pozycji, w jakiej ją zostawił – leżała na plecach, z szeroko rozłożonymi nogami i dłońmi ucepionymi pościeli.

Najwyraźniej nie tylko on był wykończony.

Wstał i podniósł kołdrę, która spadła z łóżka na drewnianą skrzynię stojącą w nogach.

– Muszę się umyć – powiedział, przykrywając kobietę kołdrą.

– Oczywiście, już się tym zajmuję – kłaniając się, powiedział kamerdyner. Po czym zapytał: – Co mam powiedzieć jego lordowskiej mości?

Simon wyprostował się.

– Powiedz mu, że jest cholernie wcześnie i mój nastrój jest odpowiedni do ilości snu. Został ostrzeżony.

Służący przełknął ślinę i pośpiesznie opuścił pokój.

Godzinę później wykąpany i odziany w jedwabny szafirowy szlafrok Simon opuścił swe prywatne pokoje i udał się do holu.

Wczesne światło poranka wpadało do wewnątrz przez ozdobne okno nad frontowymi drzwiami, odbijało się tęczą w kryształowym żyrandolu. Miał wilgotne włosy i czuł chłód od gołych stóp, mimo że stąpał po abisyńskim chodniku pokrywanym schody. Ta drobna niedogodność była celowa. Podtrzymywała czujność. Ed-dington nie był przyjacielem i nie miał powodu, by odwiedzać go rano, bez zapowiedzi i w tak krótkim czasie po odejściu Simona ze służby.

W każdym razie, nie miał żadnego przyjemnego powodu.

Do jego uszu dobiegł brzęk srebrnych sztućców na porcelanowej zastawie. W tym samym momencie lokaj przy drzwiach pokłonił mu się i gestem ręki wskazał na jadalnię.

– Panie – powitał Quinn gościa, wchodząc.

Lord spojrział na niego i się uśmiechnął.

– Dzień dobry, Quinn.

– Czyżby? – Simon podszedł do bufetu w kolorze orzecha, na którym stały tace z ciepłym jedzeniem. Przez chwilę zastanawiał się, jaka była reakcja kucharza na takie zamówienie, bo zwykle zaczął od popołudniowego posiłku. – Zazwyczaj śpię o tej porze, więc nie wiem, co sprawia, że dzień jest „dobry” lub nie.

Eddington uśmiechnął się tylko i powrócił do jedzenia posiłku z taką bez troską i nieskrępowaniem, jak gdyby znajdował się we własnym domu.

– Jeżeli chodzi o mnie – kontynuował lord – to jeśli budzę się u boku pięknej kobiety, uważam taki poranek za udany.

Simon zaśmiał się i usiadł przy stole. Unoszący się w powietrzu zapach jajek i wędzonych śledzi przyprawiał go o mdłości. Gestem poprosił o herbatę.

– Co tu robisz?

– Pozwolisz, że najpierw skończę posiłek? Jedzenie na statku pozostawiało wiele do życzenia.

Zastanawiając się nad powodem wizyty lorda akurat w jego domu, Simon przebiegł spojrzeniem po stole przykrytym obrusem, a następnie po całym pomieszczeniu. Zmarszczył brwi, dojrzawszy drobny kwiatowy wzór na złotym adamaszku ścian. Nigdy wcześniej go nie zauważył, a teraz nie był przekonany, czy mu się on podoba.

– A nie możesz jeść i mówić?

– Nie, jeśli chcę zachować przy tym godność – odparł lord.

Badawczy wzrok Simona spoczął tym razem na gościu. Lord cieszył się w Anglii pewnym rozgłosem, głównie za sprawą mrocznej urody i wyrafinowanej garderoby. Kobiety lgnęły do

niego, a on z lubością podsyczał swą reputację jurnego kochanka. Ten wymuskany wizerunek był genialnym wybiegiem, odsuwającym od niego wszelkie podejrzenia. Któż mógłby uwierzyć, że mężczyzna tak skupiony na dobrym wyglądzie miałby czas przewodzić elicie angielskich szpiegów.

– W takim razie, wracam do łóżka – stwierdził Simon z wyraźną nutą irytacji w głosie. Nie musiał już liczyć się z niczym zdaniem.

– Dobrze więc. – Eddington westchnął i odłożył sztućce. – Potrzebne nam będzie więcej prywatności.

Simon skinął na służącego, który nalewał mu herbatę, i odesłał go machnięciem ręki. Dwóch lokajów przy drzwiach również opuściło jadalnię, zamykając za sobą drzwi.

– Od kiedy zostawiłeś Jacques’a i Cartlanda pod moją opieką – zaczął lord – mieliśmy sposobność gruntownie ich przesłuchać. Obaj byli bardzo skłonni do współpracy. Szczególnie Jacques ma wiele cennych informacji, którymi się z nami podzielił.

– Czyli wszystko potoczyło się po twojej myśli – stwierdził Simon sucho.

– Tak, ale wzbudziły one wiele nowych pytań. *Mademoiselle Rousseau* wymieniono za dwunastu ludzi. Do tego Jacques i Cartland. Musimy dowiedzieć się, dlaczego jest ona tak cenna dla *Illumines*.

Lysette.

Simon uniósł brew. Ta kobieta zawsze już będzie wpadać z nowych kłopotów w kolejne.

– Musisz jednak wiedzieć – powiedział – że nie dbam już o to.

– Zacznesz – powiedział lord – gdy dowiesz się, co jest stawką w tej grze.

– Bardzo wątpię. Niemniej rozsądniej byłoby zatrzymać się u kogoś innego. Kogoś, kto nie jest znany ze swojej służby dla Korony Brytyjskiej.

– Możesz potrzebować mojej pomocy. – Eddington rozsiadł się beczelnie na krześle z wysokim oparciem.

– W czym? – wypalił Simon. Palce wpił w oparcie krzesła. – Jedynie zajęcie, jakiemu się obecnie oddaję, to uciechy cielesne i zapewniam cię, nie potrzebuję do tego niczyjej pomocy.

Eddington zignorował zupełnie te słowa.

– Spędziłeś z *mademoiselle* Rousseau sporo czasu, nieprawdaż?

– Aż zanadto.

– Znużyła cię już?

– Nigdy nie byliśmy kochankami, jeśli o to pytasz.

– Podobno jest dość urocza.

– Piękna – zgodził się lekko urażony Simon. – Lubię dzikie, ale poczytalne kochanki.

– Ciekawe. – Błękitne oczy się zwięzły. – Może mógłbyś zignorować jej umysł i skupić się na ciele?

– Może mógłbyś odpieprzyć się, panie – ze złością krzyknął Simon. – Zapomniałeś, że już dla ciebie nie pracuję.

Lord uśmiechnął się.

– Nie, nie zapomniałem.

– To dobrze. – W znacznie gorszym nastroju Simon wstał od stołu. Nagle poczuł potrzebę stworzenia dystansu między nim a Eddingtonem. Niewiele było rzeczy równie niebezpiecznych, jak mężczyzna ogarnięty ambicjami politycznymi. – Udanego pobytu. Ja niebawem opuszczę Francję na rzecz Hiszpanii.

– Zostałbyś hojnie wynagrodzony – zaproponował Eddington.

– Nie rozumiesz. – Simon oparł obie dłonie o blat stołu. –

Lysette nie jest głupia. Wie, że nią gardzę. Jeśli nagle zacznę z nią romansować, domyśli się, że mam ukryty motyw. Nie ma szans, by mi zaufała.

– Może zrobi to, jeśli powiesz, że zostałeś zdradzony przez swoich pracodawców. Że twoje konto zostało zablokowane i jesteś żądny zemsty i wyrównania rachunków.

Simon prychnął.

– Dlaczegoż, u diabła, miałaby w coś takiego uwierzyć?

– Bo to prawda?

Szok zmroził Simona od stóp do głów. Po chwili wycedził:

– Nie ośmieliłbyś się.

– Cóż, w tych desperackich czasach potrzebne są desperackie rozwiązania. – Lord zachował swą niefrasobliwą postawę, ale Simon wyczuwał w nim napięcie. Wiedział, że wywołał niebezpieczną wrogość. – Anglia jest osaczona, a ja zrobię wszystko, by ją chronić.

– Oszczędź mi tego. Tu nie chodzi o Anglię, ale o twoje ambicje.

– Jeśli moje ambicje mają pomóc ojczyźnie, cóż w tym złego?

Simon rozwścieczony uderzył pięścią w stół, zrzucając wszystko, co na nim stało. Eddington cofnął się nieco.

– Cóż w tym złego? – krzyknął Simon. – Zmuszasz mnie, bym ryzykował życie, żeby zrobić coś, co mógłbyś równie dobrze zrobić sam! Twego uroku wystarczyłoby aż nadto. Dlaczego sam się tym nie zajmiesz?

– Masz tę przewagę nade mną i każdym innym kandydatem do tego zlecenia, że poznałeś już dobrze *mademoiselle* Rousseau. Nie potrzebujesz więc miesięcy, by wedrzeć się w jej łaski, co nie pozostawia mi innego wyboru, jak tylko optować za twoją osobą.

– Tak jak i mnie nie pozostawiono wyboru? – wypalił Simon. – Wciążasz mnie w swoje bagno z uśmiechem na ustach.

Eddington spowaźniał, ale było już na to za późno. Simon był wściekły jak nigdy przedtem. Przez całe życie musiał pracować pod czyjeś dyktando, by przetrwać. Dlatego tak bardzo rozkoszował się myślą o niezależności. O tym, że już nie musiał oglądać się za siebie, o życiu bez strachu przed zdemaskowaniem.

A teraz znowu został zmuszony do takiego życia... wbrew swojej woli.

Uzmysłowił sobie, że nigdy nie miał żadnej władzy.

Powinien był pójść w ślady Mitchella – zebrać pieniądze, zmienić nazwisko i wyruszyć do odległych krain. Choć ten pomysł przyszedł zbyt późno, Simon uczył się na błędach i nigdy żadnego nie powtarzał. Eddington miał go teraz w szachu, ale kiedy to

wszystko się skończy, miał zamiar zadbać o to, by już nikt nigdy nie miał nad nim takiej kontroli. A Eddington jeszcze pożałuje tego ruchu.

Simon przystawił sobie krzesło i usiadł.

– Powiedz mi wszystko.

Lynette przeglądała się w lustrze z szeroko otwartymi oczami.

– Nie jestem przekonana, czy mam wystarczająco pewności siebie na ten strój – powiedziała, łapiąc w lustrze spojrzenie Solange.

– *Absurde*. Wyglądasz zjawiskowo. – Solange stała za nią i poprawiała liczne warstwy koronek i mieniącego się na niebiesko i zielono jedwabiu. – Przypominasz mi swoją matkę, gdy ją poznałam.

Wydawało się, że jeszcze wczoraj ulubionym zajęciem Lynette, poza flirtowaniem, były zakupy. Jej niebotyczne rachunki od modystki często były powodem ojcowskich wymówek. Tłumaczyła mu, że było to nie do uniknięcia, bo tkaniny w żywych kolorach, które tak kochała, były znacznie droższe niż ulubione pastele Lysette.

Suknia, którą właśnie przymierzała, kiedyś wzbudziłaby w niej zachwyty. Piękny kolor, warstwy złotej koronki i satyny, oraz krój podkreślający jej zgrabną kibić. Gdy poruszała się w niej, niebezpiecznie obniżony gorset ukazywał kawałek różowej aureoli. Była to suknia prawdziwej uwodzicielki, za jaką kiedyś z dumą się uważała.

Teraz czuła, że policzki jej płoną, a rękoma co chwila poprawiała materiał. W głowie cały czas słyszała głos Lysette powtarzający, że umysł jest równie seksowny jak biodra i piersi.

– Nie jesteś tylko piękną buzią – mówiła jej.

– Ale ty jesteś geniuszem – odpowiadała bez cienia zazdrości. Kochała ją zbyt mocno, by z nią rywalizować. Tak po prostu było,

Lysette była rozważna, a Lynette znacznie bardziej emocjonalna i wszystko musiała sprawdzić na własnej skórze.

Przynajmniej tak było kiedyś. Teraz nie była już tą samą dziewczyną.

Od czasu śmierci Lysette, Lynette zajmowała lektura licznych książek, które jej po niej zostały. Znajdowała w tym zajęciu pocieszenie i wrażenie bliskości z siostrą. Co więcej, nowe poczucie moralności było dla niej kojące. Tak wiele rzeczy Lysette nie zdążyła zrealizować. Lynette zbyt długo prowadziła frywolne, pozbawione celu życie. Uświadomiła sobie, jak krótkie jest życie i chciała, żeby jej było wypełnione czymś więcej niż mało znaczącymi flirtami i przyjęciami.

– Poznałaś *maman* u modystki, prawda? – zapytała Lynette, przywołując gestem służącą matki, Celie, by zdjęła z niej suknię.

– Przeglądała się w lustrze dokładnie tak, jak ty teraz – odparła Solange. Podeszła do swej otwartej szafy, by wyszperać kolejną suknię. – Ale strój, który wtedy przymierzała, przeznaczony był jedynie dla oczu kochanka.

Lysette już miała dopytać się więcej, ale odsunęła od siebie te myśli. Nie chciała myśleć o swoich rodzicach w kontekście uciech cielesnych.

– A ta? – zapytała Solange, wyjmując całkiem białą suknię. Była piękna i nazbyt skromna, z rękawami do łokcia i kremowymi, satynowymi kokardami. – Kupiłam ją dla żartu.

– Żartu?

– Kiedyś mój kochanek sprzeciwił się kosztom moich sukien i powiedział, że skoro woli oglądać mnie nagą, to dlaczego miałby płacić za moje stroje. – Solange podała suknię Lynette. – Włożyłam ją, żeby mu udowodnić, że ubiorem można osiągnąć różny efekt. Zależnie od osoby i okazji.

Lynette włożyła suknię, oglądając ją dokładnie. Podziwiała kosztowne perłowe akcenty.

– Jest piękna.

- Też tak myślę, chociaż miałam ją na sobie tylko ten jeden raz.
- Solange podeszła do Lynette i położyła jej dłonie na ramionach.
- Wspaniale ci w bieli. Wiele kobiet o twoim kolorze włosów wyglądałoby w niej blado, ale twoja skóra ma uroczy różany odcień.
- Dziękuję.

Lynette pomyślała, że taką właśnie suknię włożyłaby jej siostra. Głośne westchnięcie Marguerite, która stała w drzwiach, tylko ją w tej myśli utwierdziło. Odwróciła się do matki i drgnęła na widok jej pobladłej twarzy. Wicehrabina zdobyła się na błądy uśmiech.

- Wyglądasz uroczo, Lynette.
- Wyglądam jak Lysette.
- *Oui*. To też. – Marguerite podeszła spowita w elegancką chmurę błękitnej satyny i przyjrzała się uważnie córce. – Podoba ci się ta suknia?

- Oczywiście, *maman*. Inaczej nie zdecydowałabym się na nią.
- Skoro to cię uszczęśliwia – powiedziała Marguerite i roześmiała się lekko drżącym głosem. – Powoli zaczynam przyzwyczajając się do tej nowej kobiety, którą się stałaś.

– Nie zmieniła się tak zupełnie – zauważyła ostrożnie Solange. – Z niecierpliwością czeka na przyjęcie u baronowej.

Lynette uśmiechnęła się szeroko, licząc, że wyrwie to matkę z melancholii.

- Za nic nie przegapiłabym takiej okazji. Słyszałam opowieści o takich przyjęciach, ale nie sądziłam, że kiedyś zostanę zaproszona na jedno z nich.

– *Mon Dieu* – wzdrygnęła się Marguerite. – Jeśli de Grenier się dowie, pomyśli, że postradałam rozum.

– Nie dowie się – uspokoiła ją Lynette. Podeszła do łóżka Solange, na którym leżały maski. Ilość barw, wstążek i piór była imponująca. Jej spojrzenie padło na półmaskę pokrytą purpurową satyną. Podniosła ją i powiedziała: – Moja twarz będzie schowana pod nią.

Przez ułamek sekundy zapanowała cisza, po czym twarz wicehrabiny pojaśniała w szczerym uśmiechu.

– Dokładnie ten kolor wybrałabym dla ciebie!

Solange ścisnęła dłoń Marguerite.

– Będziemy się świetnie bawić. A baronowa ma doskonały gust, jeżeli chodzi o męskie towarzystwo.

– Żaden mężczyzna bywający na tego typu przyjęciach nie jest odpowiedni dla mojej córki – parsnęła Marguerite.

Lynette skryła uśmiech na myśl o mężczyźnie na koniu i innych jemu podobnych, w których towarzystwie obracała się przez lata. Mroczni i niebezpieczni. Seksowni. Choć żałoba tak bardzo ją zmieniła, to jedno pozostało niezmiennie.

– Widzę ten uśmiech – powiedziała z wyrzutem matka. Ale w oczach Marguerite zamigotała niewidziana od lat iskra. Nie umknęło to uwagi Lynette. Być może w końcu rany zaczynały się goić.

Ukryta w mrocznym wnętrzu powozu, Lysette obserwowała mężczyznę, który szedł rażnym krokiem. Na ulicach było dużo pieszych i powozów przesłaniających jej niekiedy widok. Ale Edwarda Jamesa trudno było przeoczyć ze względu na zdecydowanie w jego ruchach. Z gracją mijał przechodniów, co i raz dotykając ręką ronda kapelusza w geście pozdrowienia mijanych ludzi. Wysoki i niemal patykowaty, James był ciekawym przypadkiem mężczyzny. Był pewny. Miał ciemne, lśniące włosy – nic nadzwyczajnego, ale też nic straszego. Jego ubiór był koloru ciemnej zieleni i raczej należał do tych rozsądnych, niż godnych uwagi. Wszystkie ubrania miał dobrze uszyte i zadbane, ale niedrogie. Innymi słowy, Edward James byłby przeciętnym mężczyzną, prowadzącym przeciętne życie... gdyby nie jego nieprzeciętny pracodawca.

– Przeczytałaś notatki, które ci dałem? – Zapytał Desjardins zajmujący siedzenie naprzeciwko niej.

– *Naturellement.*

James prowadził ciche i skromne życie. Czas wolny upływał mu na lekturze lub spotkaniach z przyjaciółmi. Czasem towarzyszył panu Franklinowi w wystawnych uroczystościach, na których uchodził za wyciszonego, czarującego człowieka. Nie okazywał chciwości ani rozbuchanych ambicji.

– James nie wykazuje żadnych aspiracji – stwierdził hrabia z nieukrywaną pogardą. – Trudno namówić do występku kogoś, kogo motywacji nie znamy.

– Zgadzam się.

– Dlatego musimy dać mu odpowiednią motywację.

Lysette patrzyła, jak James znika w sklepie.

– I cóż by to miało być?

– Miłość.

Uniosła brwi i spojrzała ze zdziwieniem na hrabiego.

– Do mnie?

– Oczywiście.

– Twoja wiara we mnie jest wzruszająca, ale chybiona. Nikt nigdy mnie nie kochał.

– Ja cię kocham. – Desjardins uśmiechnął się na jej parsknięcie.

– Poza tym, nie wiesz tego na pewno, bo nie masz wspomnień.

– Gdyby ktoś mnie kochał, odszukałby mnie. – Zaciśnęła pięści.

– Nie ustawałby w wysiłkach, by mnie odnaleźć.

– Oddałem za ciebie czterestu ludzi, *ma petite*. Czyż to nie miłość?

Chyba do siebie samego. Miała przysłużyć się osiągnięciu celu, to wszystko.

– Jesteśmy tu w jakimś konkretnym celu, czy tylko szpiegujemy?

– zapytała, poirytowana wrażeniem, że jest tylko pionkiem w cudzej grze.

– Chcę, żebyś na niego wpadła przypadkiem. – Desjardins zasłukał w sufit, dając woźnicy sygnał, że chcą wysiąść.

– I co dalej? – Często fascynował ją sposób myślenia hrabiego. Była to jedna z tych rzeczy, za które go podziwiała.

– Pójdiesz w swoją stronę i pojawię się ja, oferując pomoc w zbliżeniu się do obiektu jego fascynacji.

Drzwi powozu się otworzyły. Hrabia wysiadł pierwszy i podał jej rękę.

– Obiektu fascynacji? – zapytała, zatrzymując się w pół kroku.

– Ciebie. Po tym jak cię ujrzy, myśli o tobie będą dręczyć go cały dzień. Będzie zdesperowany, by cię znów zobaczyć.

– I jaką to okazję do poznania mnie masz na myśli?

– Baronowa Orlinda wydaje dziś wieczór przyjęcie.

– Ale... – otworzyła szerzej oczy. – Co z ludźmi Depardue? Wiesz, że nie powinnam teraz być nadto widoczna!

– To będzie małe spotkanie, a pokazywanie ciebie nie jest naszym celem. Chcemy, by cię pragnął i szukał, a nie znalazł z łatwością.

– Jeśli twoje uwagi na jego temat są trafne, tam mu się nie spodoba.

Poprawiając suknię, Lysette próbowała wyobrazić sobie skromnego Jamesa bawiącego się na skandalizującym przyjęciu Orlindy. Bez powodzenia. Starła się też znaleźć w sobie poczucie winy, ale jedyne, co czuła to determinacja. James był ostatnim krokiem na jej drodze do wolności. Desjardins obiecał jej wyzwolenie, jeśli wydobędzie od Jamesa informacje o Franklinie.

– Z pewnością nie – odparł Desjardins z uśmiechem. – Będzie równie zmieszany, jak ty. A ponieważ po dzisiejszym spotkaniu będzie ogarnięty miłością do ciebie, zaproponuje wspólne opuszczenie domu baronowej. Będzie to początek waszego romansu.

– W każdym razie, taką masz nadzieję.

– Zaufaj mi. – Hrabia pocałował ją w skroń i lekko popchnął naprzód. – Niebawem do ciebie dołączę.

Lysette wyprostowała się, odzyskując animusz. Rozejrzała się w obie strony, po czym machnąwszy ręką na powozy, przeszła przez ruchliwą ulicę. Spojrzenie jej skoncentrowało się na jednym celu. Łowczyni skupiła całą uwagę na ofierze. To zadanie pochłonęło ją tak bardzo, że nie zauważyła stojącego w drzwiach sklepu Irlandczyka. Ale też Simon Quinn do perfekcji opanował sztukę wtapiania się w otoczenie. Ta umiejętność niejednokrotnie uratowała mu życie.

– Biedny sukinsyn – stwierdził Simon, myśląc o nieszczęsnym panie Jamesie.

Patrzył, jak Lysette przyjmuje niezobowiązującą pozę przed witryną sklepu. Wtem wyprostował się, przypomniawszy sobie, że pora rozpocząć własne łowy. Nałożył swój trójgraniasty kapelusz, minął nieoznaczony powóz Desjardins'a i udał się w kierunku rezydencji baronowej Orlindy. Kilka miesięcy temu poznał uroczą baronową przy okazji gry w karty i nawiązał z nią przyjemny flirt. Na pewno z radością powita go znów we Francji. A on z radością przyjdzie na jej przyjęcie.

Lysette obserwowała odbicie Jamesa w szybie sklepu. Wydawał się roztargniony – głowę miał opuszczoną i poruszał ustami, jakby mówił sam do siebie. Pod ręką niósł jakieś zawiniątko, drugą poprawił sobie okulary.

Odczekała, aż znalazł się tuż za nią, i cofnęła się nagle. Wpadł na nią z dużą siłą, nie do odparcia. Krzyknęła, zaskoczona, zachwiała się i niemal upadła. Usłyszała, jak przeklął pod nosem, po czym złapał ją mocno z siłą i szybkością zapierającą dech w piersiach.

– Nic się pani nie stało, *mademoiselle*? – Ponownie zaskoczył ją, tym razem brzmieniem swego głosu. Był głęboki i niski.

Uczepiona jego muskularnych ramion, Lysette uniosła dłoń, by poprawić przekrzywiony kapelusz, i mimowolnie spojrzała mu prosto w twarz.

Rozglądał się gniewnie wokół. Jego profil wprawił ją jednak w osłupienie. Miał mocną, kwadratową szczękę i muśniętą słońcem skórę. Krawat był zawiązany dość prosto, lecz nienagannie.

Przygniatające uczucie zadziwienia potęgowało dodatkowo to, że James zdawał się zupełnie nie przejmować faktem, że trzymał ją publicznie w objęciach. Co więcej, sprawiał wrażenie, jakby zapomniał o jej istnieniu. Zrobił krok w tył, zwalniając uścisk. Spozrzęła, że upuścił zakupy, żeby ją złapać.

Lysette wyczuła, że chwila, w której mogła zdobyć jego uwagę, mija, więc zadziałała instynktownie. Wyciągnęła rękę i sięgając między płaszczem i kamizelką, położyła mu ją mocno na sercu.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziała, oddychając głęboko. – Taka ze mnie niezdara.

Ręka Jamesa uchwyciła jej nadgarstek z prędkością światła. Zwrócił twarz w jej kierunku, ukazując zdziwione brązowe oczy zza okularów w metalowych oprawkach. Dokładnie widziała moment, w którym dojrzał w niej konkretną kobietę, a nie tylko przechodnia stojącego na jego drodze.

Patrząc mu w oczy okolone gęstymi rzęsami, Lysette uświadomiła sobie, jak muskularne ciało miał pod jej dłonią. Lekko ją zacisnęła i poczuła jego walące serce.

– Nie patrzyłem przed siebie – powiedział, chwytając jej dłoń. Następnie uniósł ją do ust i ucałował. – Edward James.

– Corinne Marchant. – Uśmiechnęła się, a na jego policzkach rozlał się rumieniec.

Ta reakcja uspokoiła nieco jej napięte nerwy.

– To przyjemność poznać panią – powiedział James. – Choć wolałbym przedstawić się w bardziej wyszukanych okolicznościach.

W każdym innym wypadku Lysette flirtowałaby bardziej otwarcie. Być może powiedziałyby, że to zderzenie było warte poznania go. Ale James nie był typem mężczyzny, którego w ten sposób adorowałyby kobiety. Był na to zbyt... intensywny. Nie posiadał też

cech, które by przyciągały kobiety. Był człowiekiem pracy, a do tego nie należał do przystojnych.

Cofnęła się więc na bardziej odpowiednią odległość i zaczęła ponownie poprawiać kapelusz.

– Straciłam głowę dla pary butów.

Jego wzrok spoczął na pantofelkach z wystawy. Bładoróżowe, wysadzone diamentami buciki miały niewątpliwie niebotycznie wysoką cenę.

– Nikt nie zauważyłby takiej ekstrawagancji, noszonej przez kobietę tak urocą jak pani – powiedział szorstkim tonem. – Nikt nie patrzyłby na pani stopy.

Lysette się uśmiechnęła. Wypowiedzenie na głos tego komplementu przyszło mu z trudem. Tym bardziej był on czarujący.

– Dziękuję.

Nie była pewna, dlaczego jeszcze nie odszedł. W jego oczach nie było typowego męskiego zachwyty, do którego przywykła. Przyglądał jej się raczej z ciekawością, jak czemuś wyjątkowemu, co chciał sklasyfikować. Upuszczona przez niego paczka nadal leżała koło jego nóg. Nie przeszkadzało mu to jednak. Tak samo, jak zdawał się nie widzieć mijających ich w codziennym pośpiechu przechodniów. Obawiając się, że dalsze nieskrępowane przyglądanie mu się może wzbudzić podejrzenia, Lysette przekrzywiła głowę i powiedziała:

– Mam nadzieję, że dalsza część dnia upłynie panu bez niespodzianek.

– Jak i pani. – James pokłonił się lekko.

Rozeszli się każde w swoją stronę. Odchodząc, nie czuła na sobie jego wzroku. Ciekawa i pełna nadziei, że rozbudzi to jego zainteresowanie, przystanęła i obejrzała się. Edward James oddalał się pośpiesznie.

Wzruszywszy ramionami wróciła do powozu Desjardins'a.

ROZDZIAŁ 6

Baronowa Orlinda słynęła ze swojego zamiłowania do hucznych i hulaszczyczych przyjęć. Simon był jednak przekonany, że trudno będzie przebić zuchwalstwo i bezwstydnosc dzisiejszego balu, którego idea przewodnia byla mitologia.

Ogromna sala balowa zastawiona byla drzewami i krzewami w donicach, co przywodziło na myśl mityczne lasy. Cztery pary francuskich drzwi prowadzacych na taras byly szeroko otwarte, wpuszczajac rzeskie wieczorne powietrze i odglos plusku tryskajacej fontanny. Między filarami zamontowano przeswitujace blykitne panele, zeby stworzyc wrazenie popoludniowego nieba i dyskretne miejsca do ewentualnych schadzek. Nawet sluzacy ubrani byli w plocienne szaty zgodnie z motywem przyjecia, a na glowach mieli wieńce laurowe. W powietrzu unosil sie zapach egzotycznych swiec i zalotny smiech biesiadujacych gości.

Dla Simona cala ta otoczka byla rozpraszajaca. Nie czerpal przyjemnosci z podgladania innych i nadal nie opuszczal go posępny nastrój dzisiejszego poranka. Świadomosc bycia marionetka w rękach Eddingtona nie nalezala do najprzyjemniejszych. Bardziej niz kiedykolwiek pragnal zaczac wszystko od nowa i znalezc cel, który ukoilby jego niespokojnego ducha.

Byc moze zaczynal odczuwac swoje lata. Kiedyś brak zakotwiczenia, zakorzenienia uwazal za oznake wolnosci. Dzis przyprawialo go to o dusznosci. Nie mial domu ani rodziny. Co do ostatniego, nie mogl nic na to poradzić, ale mogl chociaz kupic dom. Irlandia wzywala go do siebie, tak jak wszystkich swoich

synów. Gdyby odzyskał majątek i uwolnił się od Eddingtona, mógłby wrócić do jej zielonych brzegów i osiąść na stałe. Odzyskać to, czego odmówiono mu z racji jego pochodzenia.

Z zamyślenia wyrwał go donośny śmiech kobiet, obserwujących miłosne igraszki pary robiącej użytek z dogodnej kryjówki. Następnie jego wzrok powędrował po całej sali w poszukiwaniu Lysette, Desjardins'a i nieszczęsnego pana Jamesa. Feeria kolorów była równie niezwykła, co kreatywność wyrażona przez maski gości. Zdumiewające, że tak niewielki fragment ubioru dawał tak potężne poczucie anonimowości. Wielu z obecnych gości wykazywałoby znacznie większą powściągliwość, gdyby mieli ujawnić swoją twarz.

Obserwując główne wejście do sali balowej, Simon zamarł. Zza wielkiej paproci spoglądał na niego anioł w sukni połyskującej blaskiem pereł.

Anioł patrzył wprost na niego.

Kobieta wyprostowała się, zorientowawszy się, że ją dostrzegł. Po czym zrobiła krok w przód, żeby stanąć na widoku. Było to jak nieme wyzwanie.

– Może i mnie przyłapałeś – zdawała się mówić jej poza – ale nie wstydzę się patrzeć dalej.

Simon uśmiechnął się.

Lysette.

Bez peruki od razu rozpoznał jej charakterystyczne loki i bujne, zachęcające kształty.

Zmarszczył brwi, skonfundowany.

Była jakaś... inna. Od razu to zauważył. Było w niej coś zachęcającego, podniecającego, co wyczuł przez całą dzielącą ich odległość. Widział, jak ożywiają ją tylko dwie rzeczy: śmierć i dramat. I przypominało to niezdrową fascynację.

I ta maska... Purpurowa, wibrująca czerwienią. Nigdy nie pomyślałby o tym kolorze dla niej. W ciągu wspólnie spędzonych miesięcy nosiła jedynie pastele i ciemne kolory. Lysette nie lubiła

przykuwać uwagi; mądre posunięcie, gdy prowadzi się życie pełne tajemnic i kłamstw.

Zaintrygowany, Simon podszedł do najbliższego filaru i oparł się o niego ramieniem. Uśmiechnął się. Znieruchomiała. Wyobraził sobie, że wstrzymała oddech. Upewniły go w tym jej rozchyłone wargi łapiące powietrze. Jej reakcja i subtelna zmiana postawy były dla niego niezwykle intrygujące.

Pożądała go.

Patrzył, jak przygląda mu się dalej, nieskrępowanie. Nie było to zaskakujące. Zawsze prowokowała go i naumyślnie irytowała. Ale tym razem nie taki miała cel. Dłonie Lysette pocierały nerwowo suknię, piersi unosiły się i opadały raptownie, a język muskał ponętne usta jak wargi kochanka. Przez cały ten czas nie odrywała od niego wzroku, nie mrugała. Jakby była w transie.

Upływały długie minuty, ale nie mógł przestać na nią patrzeć. Była jak wizja nieba i piekła, diabelski anioł, który najwyraźniej potrafił omotać mężczyznę samą siłą woli.

Pytanie tylko, dlaczego teraz postanowiła omotać właśnie jego? Bo, ponad wszelką wątpliwość, był omotany. Uśmiech na jego ustach zbladł. Simon wyprostował sylwetkę. Cholera jasna. Co ona wyprawia? A raczej, co ona z nim wyprawia? Ta kobieta już kiedyś otwarcie zaproponowała mu seks, ale wówczas nie miał na to najmniejszej ochoty. A teraz walczył z usilną chęcią, by przyciągnąć ją blisko i oddać się żądzy, wpijając się w te ponętne usta, które dotąd jedynie go irytowały.

Wokół niej unosiła się zawsze aura chroniąca ją przed obcymi. Tak jakby mówiła „nie zbliżaj się”, co z chęcią czynił. Teraz było to zaproszenie. „Zaskocz mnie”, szeptała, „przypraw mnie o dreszcze”. Była to drastyczna zmiana. Niepokój zmienił się w ekscytację oczekiwania.

Uwodziło go to. Ona go uwodziła.

Jej zabiegi rozgrzały mu skórę, odczuł potrzebę zmiany pozycji. Oparł się jej jednak.

Przecież miała za zadanie uwieść Jamesa. Niech ją szlag. Dlaczego w takim razie uwodziła jego? Był tylko jeden sposób, by się dowiedzieć – zapytać ją.

Wyprostował się nagle i ruszył w jej stronę krokiem tak zdecydowanym, że inni goście schodzili mu z drogi.

– *Mademoiselle*.

Jego głos zabrzmiał znacznie intensywniej i bardziej gardłowo niż zamierzał. Zadrżała lekko, jasny znak świadomości narastającego między nimi zmysłowego napięcia.

– Panie Quinn – odparła lekko ochryplym głosem. Jej ton był życzliwy.

Krew w nim zawrzała. Ujął ją mocno pod łokieć i pociągnął za sobą w kierunku wyjścia. Rozsądnie, nie protestowała.

Poprowadził ją przez tłum i hol, otworzył drzwi i wepchnął ją do pokoju przed sobą.

W środku było ciemno. Biel jej sukni mocno kontrastowała z mrokiem, przez co jeszcze bardziej przypominała anioła.

Lysette weszła dalej do biblioteki. Simon wszedł za nią, podniecony egzotycznym zapachem jej skóry. Nigdy wcześniej go nie czuł.

Wściekał się na myśl o tym, jak na niego działała. Mimo wątpliwości co do własnej poczytalności oraz do natury jej intencji, gorąco jej pożądał. Uczucie postępowania wbrew własnej woli było podobne do tego, które odczuwał w sytuacji z Eddingtonem.

Zamknął za sobą drzwi. Byli sami, bezpieczni.

– W co ty pogrywasz? – spytał szorstko.

Do uszu Lysette dotarły odgłosy seksualnej uczty, nie do pomylenia z niczym innym. Lysette znowu użyła wachlarza zgodnie z jego przeznaczeniem, nie jako zasłonę, ale by schłodzić rozpalone policzki.

Stała w dalekim rogu sali balowej Orlindy, oparta plecami o ścianę, zasłonięta paprocią. Była to znakomita kryjówka, miała

z niej doskonały widok na wejście, ale sama była niewidoczna. Jedynym powodem, dla którego Edward James mógłby się pojawić, była chęć ponownego spotkania jej. Będzie jej szukać. Jeśli się pojawi.

Lysette bardzo w to wątpiła. Gdy Desjardins relacjonował rozmowę z Jamesem po ich porannym spotkaniu, nie wyglądało to zbyt obiecująco. James miał lekceważący stosunek do tego typu fet i twierdził, że jest zbyt zajęty, by w nich uczestniczyć. Hrabia z kolei przekonany był, że to tylko czcze gadanie. Według niego James wyglądał na rozpalonego i rozkojarzonego.

– Myślę, że on zawsze sprawia takie wrażenie – argumentowała Lysette. – Zauważył mnie tak, jak zauważa się ładnego motyla – przelotnie i bez większej uwagi.

– Zobaczymy – stwierdził Desjardins z zadowoleniem. – Bardzo rzadko myślę się w tych sprawach.

I tak stała ukryta przed ciekawskimi spojrzeciami, w pełniej gości sali balowej, zmuszona przysłuchiwać się odgłosom miłosnych igraszek.

Choć wiedziała, że wiele ludzi uważa uprawianie miłości za przyjemne, sama miała odmienne zdanie. W najgorszym wypadku było to dla niej bolesne i upokarzające. W najlepszym, po prostu nieprzyjemne. Był to inwazyjny akt. Akt dominacji. Nie mogła zrozumieć, jak kobietom może się to podobać. Zakładała, że chodzi o korzyści majątkowe, bo zadowolony mężczyzna, to często hojny mężczyzna.

Wraz z narastającymi jękami, rosło poczucie skrępowania Lysette. Mimo że ubrana była w swoją ulubioną bladuróżową suknię. Rękawy były trochę dłuższe, a gorset nieznacznie wyższy niż dyktowała to obowiązująca moda. Niemniej była to bardzo piękna suknia. Miała nadzieję, że będzie zniechęcać potencjalnych zalotników, ale okazało się, że już sama obecność na tym balu była wyrażeniem zainteresowania.

– *Mademoiselle Marchant.*

Głęboki, szorstki głos Jamesa przeszył ją na wskroś jak gorąca woda, zmysłowa i sycąca.

Odwróciła się, zaskoczona. Dawno nikomu nie udało się jej tak podejść.

Uśmiechnęła się szczerze.

– Pan James, co za miła niespodzianka.

Ubrany był w komplet z ciemnego, prawie czarnego weluru.

Stroju dopełniał krawat i tym razem zawiązany w skromny, lecz nieaganny węzeł. Na głowie miał perukę, ale bardzo prostą. Usta zaciśnięte, spojrzenie twarde. Powinna czuć się onieśmielona jego hardością lub wystraszona intensywnością spojrzenia. Poczula jednak coś zupełnie innego. Coś gorącego i niepokojącego.

– Dlaczego pani tu jest?

– Proszę?

– Widać, że nie chce tu pani być.

– Po czym pan tak wnosi?

– Przez ostatnie dziesięć minut obserwowałem, jak pani się tu ukrywa.

Wyrwał jej się śmiech.

– To dlaczego pan nie podszedł się przywitać?

– Proszę najpierw odpowiedzieć na moje pytanie.

– Czulaam, że muszę tu dziś przyjść.

Zmrużył nieznacznie ciemne oczy, przyglądając się jej zza okularów. Uśmiechnęła się. Te badawcze spojrzenia zaczynały sprawiać jej przyjemność. Fascynacja, którą do niej odczuwał, wprawiała go w zakłopotanie. Podejrzewała, że to mu się nie podoba.

– Nie mam pojęcia, po co tu przyszedłem – mruknął.

– Może wyjdziemy? – zasugerowała, zastanawiając się, czy jej zadanie miało być tak proste, jak podejrzewał Desjardins. Być może właściwie ocenił pana Jamesa.

– I co mielibyśmy robić? – W jego głosie zabrzmiało niebezpieczeństwo. Ostrzeżenie.

– Zakłada pan, że miałam na myśli, iż wyjdziemy stąd razem.

Rumieniec oblał mu policzki.

– Co łączy panią z hrabią?

– Czy to przesłuchanie?

– Jesteście kochankami?

Lysette wyprostowała się.

– Jest pan bezczelny. – Odwróciła się. Serce waliło jej jak oszalałe, przepełnione nadzieją, że pobiegnie za nią.

Nie rozczarowała się.

Stukot jego obcasów o marmurową posadzkę był niecierpliwym, porywczym. Złapał ją za ramię i pociągnął w tył, chowając ją za paprocią. Gdy podniosła wzrok, ujrzała jego pobladłe, zaciśnięte usta.

– Dlaczego hrabia zadał sobie tyle trudu, byśmy się tu spotkali?

Lysette uniosła brwi.

– Być może uznał, że potrzebuję towarzystwa mężczyzny, skoro mój mąż nie żyje.

Oczy Jamesa zapłonęły.

– Nie jestem na sprzedaż.

– Cóż za dziwaczne słowa. – Serce waliło jej jak oszalałe. Żadne notatki i informacje od Desjardins'a nie mogły przygotować jej na Edwarda Jamesa.

– Niemniej to prawda – powiedział dobitnie. Zaciśnął dłonie na jej ramionach.

– Co za ulga, że wyjaśnił pan to nieporozumienie – wyszeptała głosem zachrypniętym od gorącego powietrza wokół nich.

– Mam inną teorię – wycedził James – która znacznie bardziej pasuje do charakteru tego miejsca.

– Nie wiem, czy chcę ją poznać. – Zaczęło brakować jej tchu, więc spróbowała się cofnąć. Obawiała się, że jej na to nie pozwoli. Była w nim frustracja i determinacja, które zdawały się mówić, że nie przyjmuje odmowy. Ale jej obawy okazały się bezpodstawne. Gdy tylko się poruszyła, zwolnił uścisk.

– Nie jestem tym, kim byś chciała, żebym był.

Lysette zmusiła się do beztroskiego uśmiechu.

– Z każdą chwilą robi się coraz ciekawiej.

– Nie jestem ogierem rozplodowym – wypalił.

– Cóż – przełknęła z trudem – i słusznie, bo pański urok jest nader wątpliwy. Mógłby pan umrzeć z głodu, gdyby miał pan w ten sposób zarabiać na życie.

Błysk w jego ciemnych oczach powinien być ją ostrzec, ale szczerze powiedziawszy, nawet przez chwilę nie sądziła, że jest zdolny do tego, by porwać ją w ramiona i namiętnie pocałować. Gdy to uczynił, wyginając jej ciało w łuk i przygniatając je swoim, pozostała bez ruchu przez długą chwilę, zszokowana dotykiem jego zdecydowanych ust na jej wargach. Jego pocałunek był równie perfekcyjny i przemyślany, jak jego ubiór.

Nagle szok zastąpiło uczucie strachu. Do jej płuc nie docierało powietrze. Zaczęła się szamotać i odpychać Jamesa. W końcu ugryzła go w dolną wargę.

Klnąc, puścił ją. Nozdrza drgały mu nerwowo, a warga krwawiła. Emanowało z niego pożądanie i potrzeba dominacji – dwie rzeczy, które w połączeniu były skrajnie niebezpieczne. Wiedziała o tym nazbyt dobrze.

Lysette spoliczkowała go z całej siły.

– Jeśli jeszcze raz podniesiesz na mnie rękę – wycedziła – stracisz ją.

Choć jego głowa nawet nie drgnęła od uderzenia, to zaczerwieniony policzek i przekrzywione okulary zdradzały siłę ciosu. Ruszyła, niemal biegiem, na ukos przez salę w kierunku wyjścia, odpychając ludzi, którzy znaleźli się na jej drodze.

Tym razem nie usłyszała za sobą stukotu obcasów i odetchnęła z ulgą, gdy znalazła się na galerii. Poszła w kierunku głównego holu, zdecydowana, by posłać lokaja po dorożkę. W holu oświetlenie było przyciemnione, kolejny zabieg dla uzyskania zmysłowego

nastroju. Półmrok napawał ją spokojem, cieszyła się z anonimowości, jaką jej dawał.

– Lysette.

Zatrzymała się na dźwięk swojego imienia. Wypowiedziane zostało szeptem, ale na tyle głośnym, by przebił się przez jej ciężki oddech.

Odwróciwszy się, dojrzała Desjardins'a wychodzącego z sali balowej. Jego smukła sylwetka odcinała się na tle świateł za plecami.

– Dokąd się wybierasz?

– Do domu. Musisz znaleźć kogoś innego, żeby oczarował pana Jamesa. Kogoś, komu nie przeszkadza chamstwo i brak finezji.

Ku jej niezadowoleniu, hrabia odchylił głowę i zaniósł się głośnym śmiechem.

– *Ma petite* – powiedział, podchodząc do niej z szerokim uśmiechem na ustach – doprawdy, jesteś urocza.

Zrównali się ramionami.

– Stanowczo za bardzo się przejmujesz. Powinnaś poświęcić chwilkę na zebranie się w sobie. Ja w tym czasie wezwę powóz.

Lysette stała nieruchomo. Nie mogła uwierzyć, że Desjardins nie nalega, by wróciła do sali balowej.

– No chodź już – powiedział, otaczając ją ramieniem i prowadząc z powrotem przez ciemny hol w kierunku ustronnych saloników. – Wiesz przecież, że mój powóz jest znacznie wygodniejszy i czystszy niż bryczka.

Nie mogła odmówić. W końcu nie wykonała powierzonego jej zadania. Oddychając szybko, przytaknęła na znak zgody, rezygnując z wdawania się z nim w dyskusję. Nerwy miała napięte do granic wytrzymałości, a szybkim krokiem zbliżała się do kolejnej stojącej w holu pary. Nie chciała znowu być mimowolnym świadkiem miłosnych igraszek i skrzyła do alkowy.

Zdażyła jedynie dostrzec piękną suknię kobiety. Była całkiem biała i mieniła się cudownie w delikatnym świetle. Skromny krój i ozdobne kokardy idealnie wpisywały się w gust Lysette.

Mężczyzna ubrany był w ciemny strój i jego sylwetka niknęła w półmroku. Lysette była pełna podziwu dla tej kobiety, która nie obawiała się zostać sam na sam z tak postawnym mężczyzną. Bóg jej świadkiem, że sama nigdy by się na to nie odważyła. Zwykły pocałunek był dla niej powodem do ucieczki.

Gdy znów była sama, z ulgą pozbyła się maski i przeszła do saloniku. Nie mogła się doczekać, aż znajdzie się w bezpiecznym zaciszu swego domu.

Desjardins z rozbawieniem obserwował odchodzącą Lysette. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz była tak poruszona. A pan James... Któż by pomyślał, że dystygowana aparycja skrywa taką namiętność? Oczywiście, to właśnie dlatego hrabia tak bardzo lubował się w szpiegostwie. Ludzie ukrywali przed światem tak wiele.

Niestety, za sprawą Depardue Lysette już nigdy nie miała czerpać przyjemności z miłosnych załotów mężczyzny. Szczególnie, gdy były one czynione z taką gorliwością, jak w przypadku pana Jamesa.

Ale i na to znalazło się rozwiązanie. Lysette odczuwała głęboką wdzięczność za okazaną jej dobroć. Wszelkie nieprzyjemne zadania powierzone jej w ciągu minionych dwóch lat wykonywała z wdzięczności za to, że uwolnił ją od Depardue i jego ludzi. Gdyby tylko udało mu się sprawić, by James wyratował ją z jakiejś opresji, czułaby podobną wdzięczność w stosunku do niego i wybaczyła jego drobne słabostki. Musiałoby to być jednak coś wielkiego, ważnego. Inaczej nigdy nie dojdzie do schadzki.

Skoro stawką w grze o skorumpowanie Jamesa było również życie hrabiego, uznał, że cel uświęca drastyczne środki podjęte przez niego po chwili.

Przeszedł przez hol w kierunku saloników. Na ścianie, za jego plecami wisiała lampa naftowa, dająca słabe, przytłumione światło. Hrabia upewnił się, że nikogo nie ma w pobliżu i wylał naftę z lampy na listwy ze szlachetnie barwionego drewna i złoto-

burgundowy chodnik. Następnie podpalił róg swojej chusteczki i rzucił ją w rozlewającą się kałużę nafty.

Desjardins odszedł, pogwizdując i gratulując sobie w myślach genialnego posunięcia. Podskoczył, gdy nafta zajęła się ogniem z głośnym świstem. Pośpieszył ku sali balowej, by znaleźć Jamesa. Drogę oświetlały mu pomarańczowe płomienie rosnące za jego plecami.

Simon nie pojmował, jak to się stało – w jednej chwili Lysette stała po drugiej stronie sali balowej, by już po chwili wić się między jego nogami i całować się z nim namiętnie. Nie rozumiał, co ją tak odmieniło ani dlaczego ta zmiana tak bardzo na niego działała.

Wiedział jedynie, że jest twardy i obolały z pożądania, serce mało nie wyskoczyło mu z piersi, a skóra pokryła się potem. Potrzebował jej i był to instynkt tak pierwotny, jak pragnienie czy głód.

– Dlaczego teraz? – zapytał, znajdując ustami jej ucho.

Oplotła rękoma jego ramiona, odsłoniwszy szyję. Przywarł ustami do jej delikatnej skóry i zaczął lekko ssać.

W odpowiedzi, otarła się o jego nabrzmiały członek, doprowadzając go do granic podniecenia.

– Och, panie Quinn...

Zaśmiał się. Podobała mu się ta gra.

– Kto by pomyślał, że pod warstwą lodu, płonie taki żar?

– Pocałuj mnie jeszcze – błagała, a jej gardłowy ton podsunął mu myśli o jej nagim ciele wijącym się i wyginającym pod jego ciałem w łóżku. Prosiłaby o pocałunek, ale złożony na bardziej intymnych wargach.

– Chodźmy, zanim podwinę ci suknię i wezmę tu i teraz.

Gdyby płonący w nim żar pożądania był odrobinę mniejszy, wzięłby ją od razu, by oczyścić umysł, i dopiero potem zabrał do domu. Ale stan, w którym się znajdował, choć zdarzało się to niezwykle rzadko, był mu dobrze znany.

Gdyby teraz zaczął, nie schodziłby z niej przez całą noc.

– Nie...

Zaczął ssać jej dolną wargę, żeby ukrócić wszelki sprzeciw, a jej bujne ciało jeszcze bardziej do niego przywarło.

– W takim razie, udajmy się w bardziej ustronne miejsce, zanim zupełnie stracę rozum, Lysette.

Zesztywniała. Najwyraźniej zrozumiała, jak bardzo był niecierpliwy. Odsunęła się, zmarszczyła brwi. Oczy miała szeroko otwarte i lśniące, mimo ciemności. Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale jej spojrzenie powędrowało w stronę drzwi.

– Czujesz? – zapytała, odpychając go od siebie.

Simon mocno wciągnął powietrze, spodziewając się zapachu wonnych świec. Zamiast tego poczuł drażniący dym. W ułamku sekundy żądza ustąpiła miejsca poczuciu zagrożenia. W tym samym momencie dobiegł ich krzyk z sali balowej.

– Szlag! – wycedził przez zęby, pomagając Lysette odzyskać równowagę, zanim doskoczył do drzwi.

Przez szpary przezierał złowrogi, pomarańczowy blask. Simon chwycił klamkę i natychmiast odskoczył, ponownie przeklinając.

– Gdyby nie rękawiczka, spaliliby mi dłoń. – Spojrzał na Lysette, która z powrotem nakładała maskę na twarz. – Ogień jest dokładnie przed drzwiami.

– *Mon Dieu*. Co teraz zrobimy?

To pytanie wydało mu się dziwne w ustach kobiety tak bieglej we wszelkich fortelach, ale nie miał czasu, by się nad tym zastanowić.

– Okno – powiedział.

– A co z innymi? – Posłuchała go bez chwili wahania.

– Wyjdą drzwiami balkonowymi do ogrodu. – Liczne głosy, dochodzące z sali balowej mówiły mu, że goście zauważyli już pożar.

Simon otworzył zatrzask okienny i wyjrzał, by upewnić się, że droga wolna. Wyrośnięta mięta okalająca rabaty wokół rezydencji zapewni im miękkie lądowanie. Powietrze było rześkie i czyste,

w przeciwieństwie do gryzącego dymu, który szybko wypełniał bibliotekę.

– Daj rękę.

Spojrzał za siebie i zaskoczony stwierdził, że Lysette sięga pod suknię obiema rękoma. Uśmiechnął się, widząc, jak zrzuca turniurę i halkę. Pragmatyczna Lysette. Ale nagle cecha ta wydała mu się raczej urocza, niż wyrachowana.

Podawała mu dłoń i uśmiechnęła się ze skrepowaniem.

– Czy uznasz to za dziwne, że cieszę się, że jestem w tej sytuacji z tobą?

Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował w usta.

– Później pokażesz mi, jak bardzo się cieszysz.

Pomógł jej opuścić się na dół i trzymał za ręce, dopóki nie miał pewności, że stoi mocno na ziemi. Następnie przerzucił nogę przez parapet, gotów do skoku.

Paniczny krzyk kobiety zatrzymał go jednak w pół ruchu.

Przeszyło go uczucie współczucia i strachu. Ten krzyk brzmiał, jakby dochodził skądś bliżej niż sala balowa. Znacznie bliżej. Simon spojrzał na drzwi, gorączkowo myśląc, jak miałby dotrzeć do osoby, którą usłyszał.

Nie było takiej możliwości. Z pomieszczenia były tylko dwa wyjścia – drzwi, które wykrzywiały się już od żaru, i dwa okna. Z jednego z nich miał właśnie skoczyć. Musiałby szukać jej od zewnątrz.

Z tą myślą skoczył i wylądował w kucki w gęstej i miękkiej mięcie. Jej świeży zapach przyniósł ulgę nadwyrężonym dymem płucom.

Rozejrzał się w poszukiwaniu Lysette, ale nigdzie jej nie było. Najprawdopodobniej dołączyła do pozostałych gości. Ulżyło mu na myśl, że jest bezpieczna.

Uwolniony od zmartwienia o Lysette, Simon pobiegł wzdłuż ściany, w poszukiwaniu pozostałych, którym należało pomóc.

ROZDZIAŁ 7

– Dokuczliwa kobieta – wymamrotał Edward pod nosem, schodząc po schodach wejściowych rezydencji Orlinda. Miał nadzieję zostawić tam Corinne Marchant, ale była ona wciąż przy nim. To uczucie, gdy trzymał ją w objęciach; jej słodki, kwiatowy zapach i piekący ból od uderzenia jej dłoni.

I ton, którym z nim rozmawiała...

– Oporna niewiasta. – Zacisnął jednocześnie pięść i szczękę. Niemal wygrała w nim chęć, by zawołać bryczkę, zamiast iść na piechotę. Spacer dobrze by mu zrobił, oczyścił umysł i uspokoił żądzę, ale bryczka zabrałaby go dalej od Corinne w krótszym czasie. Musiał znaleźć się daleko od niej, by opanować pokusę powrotu i przeproszenia za swoje zachowanie. Korciło go, by adorować ją jak należy i zdobyć jej względy.

Wiedział przecież, że jej intencje nie są czyste, ale i tak tego pragnął.

Niemożliwe, żeby naprawdę się nim zainteresowała. Była zbyt piękna, zbyt zamożna i zbyt dobrze spowinowacana, by dostrzec w nim coś godnego uwagi, poza jego pracą dla pana Franklina.

Nie po raz pierwszy próbowano się do niego zbliżyć ze względu na jego pracodawcę, ale po raz pierwszy miał ochotę na to pozwolić z osobistych powodów.

Gdy tylko poczuł twarde podłoże podjazdu pod stopami, przyśpieszył kroku. Sumienie podpowiadało mu, by odrzucił wszelkie myśli o romansie z Corinne. Był przekonany, że jeżeli sam

nic nie robi, nie będzie próbowała ponownie się z nim skontaktować. Poczul bolesne ukłucie żalu na tę myśl.

– Niech cię.

Nigdy nawet nie widział kobiety równie pięknej. Miała twarz niczym anioł, a ciało stworzone do grzechu. Gdyby miał wskazać uosobienie perfekcji, byłaby to Corinne Marchant. Ale nie to było najgorsze. Potrafił oprzeć się cielesnym pokusom. Jego penis nie miał kontroli nad głową.

Nie, nie chodziło o chęć pieprzenia tej piękności. Ale o jej oczy. Jej spojrzenie było chwilami tak twarde, jakby opuściły ją wszelkie ludzkie uczucia, ale po chwili pojawiała się w nim ciepło i rozjaśniało się dziwnym rozbawieniem. Jakaś jego część wierzyła, że to on był sprawcą tych przebłysków ukrytej natury. Pragnął zobaczyć więcej, ją całą.

Edward warknął. Przyzwyczajony był zawsze dostawać to, czego chce. A że był skromnym człowiekiem, rzadko pragnął wiele i zazwyczaj nie przekraczało to jego możliwości. Ale pożądanie, jakie odczuwał do Corinne, wykraczało poza ramy rozumu. Przecież nie mieli ze sobą nic wspólnego. Co go tak do niej ciągnęło?

Była pokiereszowana wewnątrz. Poranione i przerażone spojrzenie, które zdeformowało jej piękne rysy po tym, jak ją pocałował, zdradzało głębokie rany.

Ktoś straszliwie ją skrzywdził.

Poczul narastającą furię. Jej przeszłość wcale nie ochłodziła jego zapędów. Przeciwnie, pragnął jej jeszcze bardziej. Pragnienie otoczenia jej ochroną nie ustępowało pragnieniu połączenia ich ciał. Chciał mieć do niej prawo. A dokładniej, chciał mieć prawo do odnalezienia jej kata i wyrównania rachunków za wyrządzone krzywdy.

Niebezpieczne myśli, niebezpieczne emocje. W jego uporządkowanym i zdyscyplinowanym życiu nie było na nie miejsca. Tak samo, jak nie było w nim miejsca na Corinne.

Nagle spokój nocy przeciął przerażający krzyk, który zatrzymał go w pół kroku.

Odwrocił się i spojrzął na rezydencję. Od frontu nie dostrzegł nic niepokojącego, ale przekonany był, że to stamtąd dochodził krzyk. Obserwował fasadę ozdobioną kolumnami spod ściągniętych brwi, gdy w powietrzu rozległy się liczne krzyki. Rzucił się biegiem z powrotem.

Wystrojeni lokaje i stajenni stojący na podjeździe rzucili się do wejścia. Gdy otworzyli drzwi, ze środka buchnął gęsty, czarny dym. Czterej służący stali oniemiałi.

– Biegnijcie po wiadra do stajni! – rozkazał Edward.

– Tak jest. – Dwóch z nich zbiegło po schodach.

Przepchnął się między pozostałymi dwoma.

– Wy dwaj, idźcie ze mną. Musimy wyprowadzić wszystkich na zewnątrz.

Wspólnie zaczęli przedzierać się przez gęsty dym. Ogarnął ich żar nie do wytrzymania. Płomienie przybrały na sile po otwarciu drzwi. Prawie nic nie widząc przez łzawiące oczy, Edward nabral powietrza i potknął się, gdy piekące, przepelnione sadzą powietrze poparzyło mu gardło i płuca. Szedł po omacku, trzymając się ścian, by znaleźć drogę. Gdy dotarł do sali balowej, zaczął się dusić. Rozdzielili się, szukając ofiar między filarami i donicami. Kłęby czarnego dymu narastały nieustannie za ich plecami. Płomienie wspinały się po suficie, po czym zaczęły obniżać się złowrogim kłębowiskiem dymu. Serce Edwarda waliło jak szalone, dłonie co chwila ocierały łzy z poparzonych policzków.

Corinne z pewnością była już bezpieczna. Wyszła zaraz po nim. Pewnie była już w domu, posyłając go do diabła. Dzięki Bogu. Oszalałby, gdyby nadal tu była.

– Panie James! Panie James!

Edward zaczął przemieszczać się w kierunku zmienionego, nierozpoznawalnego głosu. Po chwili dojrzał hrabiego Desjardins, wyłaniającego się z kłębow piekielnego ognia. Jego szczupłą

sylwetką targał dławiący kaszel i rzucił się na Edwarda, łapiąc go za ramiona.

– Corinne – wydusił z siebie hrabia. Jego przekrwione oczy wyrażały stan bliski hysterii. – Czy jest z tobą?

Mimo straszliwego gorąca, Edwarda zmroził zimny dreszcz przerażenia.

– Nie, wyszła.

– Jesteś pewny? M-miała... jechać ze mną... – Desjardins zaniósł się kaszlem tak gwałtownym, że na jego ustach pojawiły się czarne wybroczyny.

– ...salonik... – wycharczał. – ...nie widziałem jej...

– Dobry Boże.

Edward chwycił hrabiego za ramię i wyprowadził na taras, gdzie zebrali się pozostali goście. Po czym rzucił się biegiem wzdłuż ścian budynku, wypatrując oświetlonych okien. Walczył z paraliżującą go paniką.

Pod oknem, z którego wydobywały się języki dymu, stała kobieta w białej sukni.

– Proszę dołączyć do reszty – nakazał. – Stoją z drugiej strony.

Zawahała się. Twarz zakryta maską, skierowana była w stronę okna nad nią.

– Już! – warknął tonem, którego nikt przy zdrowych zmysłach nie ośmieliłby się zignorować.

Przytaknęła z ociąganiem. Uniosła suknię i ruszyła na tyły rezydencji. Edward usłyszał z oddali krzyk dokładnie w chwili, gdy w oknie pojawiła się męska noga. Upewniwszy się, że kobieta w masce jest bezpieczna, ruszył w kierunku bocznej bramy.

Ani śladu Corinne. Gdzie ona jest, do diabła?!

Edward obiegnął front domu i przebiegł przez boczną bramę na drugą stronę, ledwo ominąwszy schody prowadzące w dół, do wejścia dla służby. Był w połowie długości rezydencji, gdy zauważył Desjardins'a, który machał jak szalony pod oknem.

– Jest tam? – wysapał Edward przez poparzone gardło, z trudem się zatrzymując.

Spojrzał przez osmalone dymem szyby.

Dym. Za dużo dymu. Nic nie było widać.

– Widziałem ruch – wychrypiał hrabia. – Może.

Nagły wybuch rozniósł szkło na kawałki i zmusił ich do zakrycia twarzy rękoma. Krzesło z trzaskiem spadło na ziemię, a dym buchnął przez świeżo utworzoną drogę ucieczki. Sekundę później płomień pełzające po suficie pomieszczenia wydarły się na świeże powietrze i smagały zewnętrzną ścianę rezydencji.

– Corinne! – wrzasnął Edward.

Jedyną odpowiedzią był trzask ognia, pożerającego wszystko na swojej drodze. Po początkowym wybuchu głodnych tlenu płomieni, ogień cofnął się znów do środka, torując Edwardowi drogę.

Edward chwycił roztrzaskane krzesło. Silnym ruchem wbił tylne nogi krzesła w rabatę, a z drugiej strony oparł adamaszkowe siedzisko o ścianę. Następnie zdjął płaszcz, owinał go wokół przedramienia i wspiął się po niestabilnym podeście.

– Corinne! – krzyknął, a poparzone płuca ścisnęły się z wysiłku.

Chroniąc twarz przed pokaleczeniem, Edward wybił pozostałe szkło zabezpieczoną ręką. Jeden gruby fragment szyby utkwiał w ramie okiennej zbyt mocno, przeciął sztywny materiał płaszcza i rękaw koszuli, by wbić się boleśnie w skórę.

Syknął z bólu, ale się nie cofnął.

– Corinne!

Droga twarz wyłoniła się z dymu, pokryta sadzą i łzami. Pasma jasnych włosów oblepiły poczerwieniałą skórę.

Nigdy wcześniej nie widział czegoś równie pięknego.

– Chryste – westchnął. Prawie zakreśliło mu się w głowie od ogromnej ulgi. – Wychodź stamtąd.

– James – szepnęła. Wsparła się na ramionach, by wstać.

Przepełnił go podziw dla jej siły. Wiedział, jak bardzo musiało nadwyrężyć ją wybicie okna.

– Tak, kochana. Chodź do mnie. – Wyciągnął do niej rękę.

Zachwiała się niebezpiecznie i wypadła przez okno, tracąc przytomność. Obfite fałdy jej sukni zaczęły się o wystające kawałki szkła, które szarpały materiał z odrażającym odgłosem.

Edward złapał ją i spadł z rozpadającego się krzesła. Przekreślił się i całą siłą upadku przyjął na siebie. Impet uderzenia pozbawił tchu nadwyreżone płuca. Okulary spadły mu z nosa i teraz, o ile się nie mylił, pękły z trzaskiem pod naciskiem jego pleców. Ale Corinne była w jego ramionach. Żywa.

Na razie. Wymagała natychmiastowej pomocy lekarza. Każdy jej oddech charczał w płucach i czarna maź sączyła się z jej pobladłych ust.

Kaszłąc przez poparzone gardło, Edward pozwolił hrabiemu na minimum pomocy, by stanąć na nogi. Cały czas trzymał Corinne mocno w ramionach.

Poprawił szybko podarte strzępy jej sukni i ruszył w kierunku frontu rezydencji.

Simon biegł na tyły domu. Sprawdził każde okno, które mijał, szukając źródła krzyku, który słyszał przed chwilą. Nie mógł dotrzeć do niej wejściem, ale może i tak mógł ją odnaleźć. Musiał spróbować.

Bicie dzwonów niesło wieść o pożarze. Żar i woń spalenizny unosiły się w nocnym powietrzu, a szloch i płacz opowiadały o koszmarze, w który zamienił się wieczór uciech.

Dobiegł do tylnego ogrodu i dostrzegł służących biegających w tę i z powrotem z wiadrami wody ze stajni. Oszołomieni i przerażeni goście stali w mniejszych grupach, sparaliżowani strachem i bezużyteczni.

– Stać! – wrzasnął Simon. Jego głos poniósł się echem w noc.

Służący zatrzymali się zdyszani, z wiadrami na wpół pustymi od chlapania w czasie biegu od boksów do domu.

Simon wszedł na taras, po czym stanął na szerokim, marmurowym brzegu fontanny.

– Nie pokonają pożaru sami – krzyknął, wskazując na służących.
– Każdy zdolny do pracy mężczyzna musi pomóc, jeśli ma się nam udać! W środku są jeszcze uwięzieni ludzie, którzy potrzebują pomocy.

Z początku nikt się nie ruszył. Simon przyjrzał się tłumkowi i jego wzrok spoczął na młodym, wydawałoby się, fizycznie zdrowym mężczyźnie.

– Ty – powiedział, wskazując na niego palcem – podejdź tu.

Po chwili wahania mężczyzna podszedł. Jego strój był w nieładzie – koszula niedbale upchnięta w skórzane bryczesy, kamizelka i marynarka rozchełstane. Sądząc po kroju i jakości ubrań, Simon był pewny, że ma do czynienia z przedstawicielem arystokracji. Ale nie dbał o to. Ranga nie miała dla niego znaczenia, gdy w grę wchodziło ludzkie życie.

Chwyciwszy mężczyznę pod ramię, Simon ustawił go przy drzwiach balkonowych. Spojrzał ponownie w tłum i pod jego miążdżącym spojrzeniem zaczęli zgłaszać się kolejni. Z początku niechętnie i z ociąganiem, jednak w miarę tworzenia się linii od okna do fontanny, rósł entuzjazm wśród zebranych.

Simon chwycił wiadro z rąk służącego, nabrał wody z fontanny i podał je pierwszemu mężczyźnie w szeregu. Podawano je sobie następnie z rąk do rąk, aż dotarło do buchających ze środka płomieni.

Z własnej inicjatywy, mężczyźni zaczęli zamieniać się miejscami – osoba stojąca najbliżej bijącego żaru przechodziła z pustym wiadrem nabrać wody. Zastępował ją drugi mężczyzna w kolejce, po czym on też wracał, by napełnić wiadro i podać je dalej.

Gdy już praca szła sprawnie, Simon zaryzykował i spojrzał na Lysette. Stała w towarzystwie dwóch kobiet, obserwując go przez purpurową maskę. Poczul ulgę, widząc ją całą i zdrową w białej

sukni mieniającej się perlistym blaskiem w świetle księżyca. Wtem ulga ustąpiła przerażeniu.

Jej obecność bodła go jak bolesna ostroga w bok. Było tu niebezpieczeństwo, z którym nie mógł walczyć, jednocześnie martwiąc się o jej bezpieczeństwo.

Bez chwili namysłu opuścił swoje stanowisko i podszedł do niej, zaciskając szczęki.

– Musisz iść do domu – powiedział, zbliżywszy się do niej. Jej towarzyszkom skinął jedynie przelotnie. Jedna z nich miała perukę, druga była brunetką.

Kobieta w peruce chwyciła ją pod ramię i powiedziała:

– Właśnie jej to tłumaczyłam.

Lysette otworzyła usta z zamiarem odpowiedzi, ale ułożenie jej ramion ostrzegło go, że będzie chciała z nim dyskutować.

– Nie – uciał szorstko. – Nie mogę myśleć, gdy ty tu jesteś.

Simon poprowadził je wzdłuż rezydencji. Szedł krokiem tak szybkim i zdecydowanym, że trzy kobiety z trudem za nim nadążały.

Gdy dotarli na podjazd, Simon gwizdnął głośno i przywołał stangreta. Wówczas brunetka przejęła dowodzenie, skierowała je do bogato wyposażonego powozu i zagarnęła do środka.

Lysette wyciągnęła do niego rękę.

– Jedź z nami – poprosiła.

Simon ujął jej dłoń w rękawicze i ucałował.

– Jestem tu potrzebny. – Odsunął się, zamknął drzwi i wydał nieme polecenie odjazdu stangretowi. – Powodzenia.

Smgnięcie batem i powóz ruszył. Pozostałe powozy ustąpiły mu drogi i wkrótce zniknęły z pola widzenia.

Napięcie skumulowane w ramionach Simona zelżało. Teraz mógł skupić się na swoim posępnym zadaniu. Odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem.

– *Mon Dieu!* – westchnęła Marguerite, wyglądając przez okno na pogrążoną w dymie rezydencję Orlinda. – Kto to był?

– Simon Quinn – Lynette i Solange odpowiedziały jednocześnie.

Lynette spojrzała ze zdziwieniem na Solange.

– Byłabym nieprofesjonalna, gdybym nie знаła nazwiska tak przystojnego mężczyzny – stwierdziła z uśmiechem Solange.

Lynette poczuła ukłucie zazdrości.

Wiedziała z rozmów, że Quinn był obiektem pożądania niezliczonej liczby kobiet, ale teraz, gdy była z nim w tak intymnej sytuacji, nie miała ochoty dzielić się z nikim nawet jego kawaleczkiem. Jego namiętność była uzależniająca i chciała jej tylko dla siebie.

Marguerite oderwała wzrok od rezydencji.

– Kim on jest?

– Nikt tego nie wie na pewno. – Solange wzruszyła ramionami.

– Ale miałam kochanka, który współpracował z Talleyrandem i był przekonany, że to angielski szpieg.

– On jest Irlandczykiem! – wykrzyknęła Lynette.

– Jest najemnikiem – poprawiła ją Solange. – Jego lojalność jest na sprzedaż.

To powinno ostudzić fascynację Lynette. Ale tak się nie stało.

– Dlaczego zachowywał się, jakby cię znał? – W tonie Marguerite zabrzmiało oskarżenie.

Lynette pochyliła się ku niej.

– To nie mnie zna. Ale Lysette.

Matka pobladała.

– Co ty mówisz?

– Nazwał mnie Lysette, *maman*. I zachowywał się, jakby dobrze się znali.

– Niemożliwe.

– Czyżby? – Lynette zdjęła maskę. – Spojrzał mi prosto w twarz i nazwał Lysette. Czyżby to był przypadek?

– Zdjęłaś przy nim maskę? – wyszeptała Marguerite, z szeroko otwartymi oczami.

– Cóż... – Lynette poczuła gorąco na twarzy. – Sam mi ją zdjął.

– Lynette! Jak mogłaś? Powinnaś była zaciągnąć cię ze sobą do kuchni, gdy ta niezdara wylała na mnie wino. Ufałam, że będziesz się odpowiednio zachowywać pod moją nieobecność.

– Marguerite... – Solange próbowała ją uspokoić.

– A ty! – Marguerite spiorunowała spojrzeniem ukochaną przyjaciółkę. – Ten wieczór to był twój pomysł. Trzeba było jej lepiej pilnować.

– *Mon amie* – zaśmiała się Solange – nic nie powstrzyma prawdziwej determinacji.

– Kiepska wymówka za nieodpowiedni nadzór.

– A czy ciebie nadzór zdołał powstrzymać? Mam wrażenie, że córka odziedziczyła po tobie gust do mężczyzn.

Marguerite otworzyła usta, po czym zamknęła je z powrotem. Policzki jej spąsowiały.

Lynette patrzyła to na jedną, to na drugą, niczego nie rozumiejąc. Jej ojciec w najmniejszym stopniu nie przypominał Simona Quinna.

– Wracając do Lysette... – zaczęła ostrożnie.

– Skąd miałby ją znać? – warknęła matka, w pełni okazując swój zły nastrój.

– Dokładnie to pytanie zamierzam mu zadać – odparła Lynette.

– Nie. – Słowo to zostało wypowiedziane z taką stanowczością, że Lynette straciła rezon. – Będziesz trzymać się od niego z daleka.

– Musimy się dowiedzieć! Ja muszę się dowiedzieć.

– Powiedziałam nie, Lynette. Koniec dyskusji. Twoja siostra odeszła.

– Ale czyż Quinn nie był wspaniały, wyprowadzając nas stamtąd? – zapytała Solange.

Marguerite spojrzała na nią.

Lynette wiedziała, kiedy należy zaniechać dalszej dyskusji, i tak postąpiła. Ale ta nietypowo ostra dla jej matki reakcja pozostawiła w niej niepokój.

Skontaktuje się z Quinnem.

Nic nie mogło jej powstrzymać, musi dowiedzieć się, czy było coś, czego nie wiedziała o swojej bliźniaczce. Szczególnie, jeśli kluczem do tego sekretu był Simon Quinn.

Edward dotarł do bramy prowadzącej do podjazdu i się zatrzymał. Nieprzytomna Corinne była bezpieczna w jego ramionach. Ogarnęła go niecierpliwość i troska. Czekał, aż Desjardins dogoni go i otworzy bramę.

W chwili, gdy hrabia w końcu zrównał się z nimi, brama sama szeroko się otworzyła. Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna zatrzymał się w progu na ich widok.

– Panie – powitał ochryłym głosem hrabiego.

– Quinn – odparł Desjardins.

Edward wyczuł niespokojne napięcie emanujące od mężczyzny o nazwisku Quinn. Jeszcze mocniej przytrzymał w ramionach Corinne. Jej twarz zwrócona była do jego piersi. Quinn spojrzał na potargany tył głowy Corinne, potem na jej poszarpaną suknię.

– Potrzebna wam pomoc?

– W tej chwili tylko lekarz może nam pomóc.

Quinn skinął głową i usunął się, robiąc im miejsce.

Hrabia pośpieszył przodem, wymachując szaleńczo na swój powóz, który stał pośród tuzina innych, blokując podjazd.

Stangreci zauważyli Corinne w ramionach Edwarda i zaczęli torować im drogę. Gdy dotarli do powozu Desjardins'a, stangret otworzył im drzwi, a Edward ostatkiem sił wniósł Corinne do środka. Położył ją ostrożnie na skórzanym siedzisku. Bez słowa usiadł przy niej. Powóz ruszył. Edward zamknął oczy i oparł głowę o skórzany podglówek. Płytki, świszczący oddech każdego z nich odbijał się echem od ścian powozu. Myślał o dzisiejszym dniu.

O tym, jak wstał tego ranka i był w kompletnie innej sytuacji. Wolny. Skupiony.

Teraz, zaledwie kilkanaście godzin później, uwikłany był w życie kobiety, która miała mu przynieść jedynie cierpienie.

Ale nie było już odwrotu. Odczuwał głęboką fascynację tą kobietą, a nigdy nie potrafił odwrócić się od przedmiotu swojej fascynacji.

Tajemnice musiały zostać rozwiązane.

Simon obserwował, jak Desjardins i James układają w powozie ranną kobietę, i zastanawiał się, dlaczego plan hrabiego uległ tak radykalnej zmianie w ciągu dnia. Jeszcze rano Desjardins przydzielił Lysette zadanie uwiedzenia Jamesa, ale dziś w nocy Lysette była w jego ramionach, podczas gdy Desjardins i James zdawali sobie radzić bez niej.

Ta sytuacja przyprawiła go o dreszcz niepokoju. Włosy stanęły mu na karku, a kręgosłup zeszywniał od napięcia. Coś było nie tak, a nagła zmiana w Lysette była zdumiewająca. Pożądanie odebrało mu rozum i nie zastanawiał się nad jej intencjami. Myślał tylko, jak znaleźć się w niej i zostać tam tak długo, aż odzyska jasność myślenia.

Sfrustrowany podejrzeniami, że został potraktowany jak głupiec, ruszył na tyły rezydencji. Spoglądał w każde mijane okno, wypatrując jakiegoś ruchu. Miał nadzieję, że wszystkim udało się bezpiecznie wydostać z pożaru. Oczy rozbłysły mu, gdy ujrzał ślady rozbitego okna i roztrzaskane pod nim krzesło. Ślady szkła usypały ścieżkę i były świadectwem desperackiej chęci przetrwania.

Co tu się u diabła stało?

Simon dotarł do tarasu i z ulgą stwierdził, że szereg z wiadrami nadal funkcjonuje bez zarzutu. Dołączył do mężczyzn, pracując aż do świtu, myślami krążąc wokół tajemnicy Lysette, Desjardins'a i Jamesa.

ROZDZIAŁ 8

– Co ci się stało, do cholery? – zapytał zdumiony Eddington na widok Simona w drzwiach koło dziewiątej rano.

Zapach świeżości i czystości panujący w domu był miłą odmianą po całej nocy wdychania dymu. Simon spojrzał na swoje przepalone, pokryte sadzą ubranie. Było już nie do uratowania. Zapach spalenizny wżarł się w materiał na dobre. Przeciwnieństwem jego stanu był lord Eddington – świeżo wykąpany i pachnący, w wygodnym szlafroku.

– Kupujesz mi nowe ubranie – powiedział z niezadowolaniem Simon, ściągając płaszcz i rozsypując popiół na dywan.

Eddington zmarszczył nos.

– Dobry Boże, wyglądasz okropnie.

– Dom baronowej Orlindy stanął w płomieniach podczas balu. – Simon przemknął obok Eddingtona, kierując się na schody.

– Wypadek? – Eddington podążył za nim.

– Na to wygląda. Niezabezpieczona lampa w holu.

– Kto by pomyślał.

Simon prychnął tylko.

– Jacyś ranni?

– Lekkie zatrucia dymem i niewielkie oparzenia. To cud, biorąc pod uwagę stan rezydencji.

Otwierając drzwi do swego pokoju, Simon poczuł znajome, przyjemne uczucie powrotu do domu. Kupił go ze wszystkim meblami i dziełami sztuki. Poprzedni właściciel musiał być wielbicielem dobrego snu. Łoże było wielkie i wygodne, zasłony grube

i ciemne, a dywany miękkie i ciepłe. Paleta barw, na którą składały się ciemne odcienie czerwieni, zieleni i orzecha tworzyła odprężający nastrój męskiego pokoju.

– Ale to wcale nie najgorsze wieści – wymamrotał Simon, ziewając. Spojrzał tęsknie na łóżko. Lokaj natychmiast pochwycił jego spojrzenie i rozłożył na stołku ręcznik, by Simon mógł usiąść i zdjąć buty. Następnie pośpieszył przygotować kąpiel.

– Jest coś jeszcze? – zapytał Eddington, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia. Lord z gracją podszedł do kominka i uśmiechnął się uprzejmie do pokojówki rozpalającej ogień. Oblała się rumieńcem, po czym pośpiesznie wyszła, zostawiając mężczyzn samych.

– *Mademoiselle* Rousseau próbowała mnie uwieść.

– Próbowała? – roześmiał się lord Eddington. Simon spojrzał na niego spode łba.

– Jeszcze wczoraj rano zarzucała sieci na pana Jamesa, w jakimś niecnym celu. A wieczorem James i Desjardins współpracowali, gdy ona skupiła się na mnie.

– Interesujące – stwierdził lord. – Co o tym myślisz?

Simon wstał, żeby zdjąć kamizelkę i koszulę.

– Myślę, że oddasz mi moje pieniądze, niezależnie od tego, czy wykonam to zadanie, czy nie. Jeśli to ja jestem ich celem, nasza umowa nie jest przypadkowa, ani zagrożona.

– A jakież masz argumenty ku temu?

Simon uniósł pięści.

Lord Eddington wzruszył ramionami.

– Rozumiem.

To właśnie pięściarski talent Simona zwrócił uwagę lorda w pierwszej kolejności. Simon unieszkodliwił blisko dwunastu chłopca, a sam miał ledwie kilka siniaków. Eddington od razu pomyślał, że przydałby mu się ktoś o takich umiejętnościach. A że Simon stracił pozycję kochanka lady Winter, z powodu jej zamążpójścia, chętnie przyjął propozycję współpracy. Szybko okazało się, że jest równie inteligentny, co sprawny fizycznie.

– Myślisz, że chcą cię oskarżyć? – zapytał Eddington ostrożnie.
 – Jeśli oskarżą cię o zbrodnię przeciw Franklinowi i zdradzą, że pracujesz dla Anglii, wzrośnie wrogość wobec Anglii zarówno wśród Francuzów, jak i rewolucjonistów.

– To możliwe. – Simon ściągnął koszulę przez głowę i zaczął rozpinać bryczesy. – Ale było jeszcze coś dziwnego. Kiedy Desjardins i James byli zajęci, Lysette czekała z dwiema kobietami.

– Kim były?

– Nie jestem pewny. Tak naprawdę im się nie przyglądałem. Zauważyłem tylko, że pilnowały jej jak dwie kwoki. A Lysette nie jest kobietą, którą lubią inne kobiety. Na pewno wiesz, co mam na myśli.

– To ciekawe. – Eddington postukał palcami w usta. – Co zamierzasz?

– Wykąpać się i iść spać. – Simon przeszedł do salonu kąpielowego, skąd dobiegał odgłos chlupoczącej wody. Kąpiel była gotowa. – Potem odwiedzę *mademoiselle* Rousseau.

– Myślisz, że będzie z tobą szczerą? – zawołał za nim lord.

– Nie. Ale przynajmniej będzie wiedziała, że zdaję sobie sprawę, że coś jest nie tak.

– Być może potrzebna ci będzie pomoc.

– Być może – odparł Simon. Zdążył już wcześniej o tym pomyśleć, ale nie chciał zdradzać swoich planów Eddingtonowi.

– Zajmę się tym – zaoferował lord. – Poprosiłem Beckinga, żeby nie wyjeżdżał z Francji póki ja tu jestem. Równie dobrze może się do czegoś przydać.

– Świetnie, panie.

Simon zatrzasnął za sobą drzwi.

Edwarda obudził nagły atak kaszlu. Wyprostował się na krześle i rozejrzał po pokoju. Ze zdumieniem przypomniał sobie, że nadal znajduje się w domu Corinne. Ostatnie, co pamiętał, to wskazówki lekarza, by okładać Corinne chłodnymi kompresami w przypadku

gorączki oraz regularnie udrażniać jej nos i usta, żeby mogła swobodnie oddychać.

Spojrzał na zegar stojący na kominku. Było kilka minut po dziewiątej rano.

Wstał, pozwalając rozruszać się skurczonym i spiętym mięśniom po godzinach spędzonych na fotelu. Był już spóźniony do pracy. Nigdy dotąd, w całym jego życiu, jeszcze się to nie zdarzyło. Musiał natychmiast wracać do siebie, gdzie napisze notatkę wyjaśniającą Franklinowi powód jego spóźnienia, wykąpie się i przygotuje do pracy.

Rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu swoich rzeczy, a potem ruszył w kierunku drzwi dzielących prywatny salonik od sypialni Corinne. Zapukał cichutko, ale nie doczekawszy się odpowiedzi, i tak wszedł do środka.

Wystrój saloniku utrzymany był w beżach, kremach i brązach. Do tego bejcowane drewniane elementy i meble. Ale w sypialni wystrój był znacznie bardziej kobiecy. Dominowały w niej blade odcienie różu i burgund oraz bielone meble i połączane dodatki. Oba pokoje wypełniał delikatny kwiatowy zapach samej Corinne. Był to zapach niezbyt uwodzicielski, raczej niewinny, ale dla Edwarda niezwykle pociągający.

Wszedł do sypialni. Jego wzrok natychmiast utkwiał w drobnej postaci leżącej pośrodku ogromnego łóżka z czterema kolumnami.

Jej klatka piersiowa unosiła się i opadała w krótkim niespokojnym oddechu. Z nosa sączyła się czarna sadza. Wściekły, odwrócił fotel, w którym siedziała gospoia. Już miał udzielić jej ostrej reprymendy, gdy zobaczył, że ta starsza kobieta pogrążona jest w głębokim śnie, niepomna potrzeb swojej pracodawczyni. Koronkowy czepek przekrzywił się jej na głowie i zsunął aż do linii brwi, odsłaniając siwe loki z lewej strony głowy.

Pomrukując z frustracji i niezadowolenia, Edward podszedł do łóżka i sam podjął się niewdzięcznego zadania udroźnienia dróg oddechowych Corinne. Pomyślał, że nigdy dotąd nie musiał być dla

nikogo męską pielęgniarką. Nawet gdy sam chorował, nie zajmował się sobą. Poza tym, nie miał czasu ani pieniędzy na chorowanie.

Gdy skończył, zmoczył czystą ściereczkę w misce z wodą stojącej na stoliku nocnym przy łóżku. Przetarł delikatnie jej bladą twarz. Nawet tak cierpiąca, była oszałamiająco piękna. Łuki brwiowe były idealnie zarysowane, usta cudownie pełne, kości policzkowe wyraziste i eleganckie.

Bolało go serce, widząc ją tak bezbronną. Wiedział, że troje służących – gospodyni, kamerdyner i ich syn, lokaj, nie będą w stanie zapewnić jej odpowiedniej opieki. Jeśli chciał, by przeżyła, a pragnął tego nade wszystko, musiał sam się o nią zatroszczyć. Nie stać go było na zatrudnienie dodatkowej służby, nawet tymczasowo, a zbyt mało wiedział o relacjach łączących ją z hrabią Desjardins, żeby prosić go o pomoc. Co więcej, nie miał prawa decydować o tym za Corinne. Byli w końcu nieznajomymi.

– Niech cię – wyszeptał zirytowany komplikacjami, jakie wniosła w jego życie. Zmarszczyła brwi w odpowiedzi na jego szorstki ton. Poglądził zmarszczkę kciukiem, by ją uspokoić.

Edward westchnął, opuścił sypialnię i poszedł po schodach na główne piętro w poszukiwaniu kuchni. Tam spotkał kamerdynera z synem, którzy właśnie przyjmowali dostawcę przy tylnych drzwiach.

– Mister James – pokłonił mu się kamerdyner. Był to pokłon schorowanego człowieka. Leciwe ciało kamerdynera było wykrzywione przez bóle artretyczne. Bardzo wątpił, by starzy służący podolali obowiązkowi domu, nieważne jak mały by on był, bez pomocy syna.

– Madame Fouche śpi na górze – powiedział Edward uprzejmym tonem. – Sam zająłem się *mademoiselle* Marchant, ale będzie potrzebować opieki kogoś sprawnego, kto wykona polecenia doktora co pół godziny.

– Tak, oczywiście. – Służący miał na tyle przyzwoitości, by oblać się rumieńcem, ale nie na tyle rozsądku, by przyznać, że potrzebuje pomocy.

– Jeśli dopilnuje pan opieki nad nią w ciągu dnia, ja wrócę wieczorem i będę czuwać przy niej w nocy.

– Sir – zaczął kamerdyner, prostując się jak mógł. – Pańska propozycja, choć niezwykle wspaniałomyślna, jest zupełnie niepotrzebna. Zapewniam pana, że nie ma konieczności, żeby pan się fatygował.

Edward uśmiechnął się ponuro.

– Przyjdę dziś wieczorem. Jeśli podtrzyma pan swoje zdanie, odejdę.

Nie mogąc nic na to odpowiedzieć, poza próżnym protestem, kamerdyner skinął głową i posłał ostrzegawcze spojrzenie synowi.

Edward natomiast opuścił kuchnię w typowym dla siebie energicznym tempie i zabrał marynarkę z korytarza. Wychodząc, rzucił jeszcze okiem na zegar i westchnął ciężko. Nie znosił się spóźniać.

Dom kurtyzany był mały, ale elegancki. Znajdował się w dzielnicy, na którą stać było jedynie najbardziej zamożnych.

Ruch powozów i jeźdźców był jednostajny, lecz niezbyt duży, przez co każda dłuższa obserwacja któregoś z domostw zostałaaby szybko zauważona. Dlatego też pokojówka z piętka musiała niepostrzeżenie i szybko wymknąć się z domu Solange Tremblay i dostać do nieoznakowanego powozu stojącego po drugiej stronie ulicy. Nie było to łatwe, szczególnie że gospodyni łajała ją nieustannie i pilnowała, żeby wykonywała robotę za trzech. Ale pokojówka była przebiegła.

Szła chwilę z nisko opuszczoną głową, po czym przeszła na drugą stronę ulicy i podeszła do tajemniczego powozu. Zatrzymała się przy drzwiczkach.

– I cóż?

Czarne zasłonki były zaciągnięte, uniemożliwiając jej ujrzanie twarzy rozmówcy. Nie żeby ją to specjalnie interesowało. Wystarczyły jej pieniądze, które jej wypłacał.

– Nie zamierzają wyjeżdżać.

– Rozumiem.

W tonie, którym wypowiedział to jedno słowo, było coś złowrogięgo. Przyprawilo ją to o gęsią skórkę.

Ręka odziana w rękawiczkę wysunęła się i wręczyła jej małą portmonetkę. Przyjęła ją skwapliwie, dygając lekko. Wątpiła, czy jej rozmówca to widział.

– *Merci, m'sieur.*

Uprzejmość wobec pracodawcy zawsze się opłacała. Może i darła koty z gospodynią, ale dla *mademoiselle* Tremblay zawsze miała tylko uśmiech. Gdyby zwolniono ją ze względu na niesubordynację, *L'Esprit* nie miałby już z niej pożytku i straciłaby obie pensje jednocześnie. Skierowała się z powrotem, dokładnie tak jak przyszła, starając się zdążyć, zanim ktoś zauważy jej nieobecność.

L'Esprit obserwował ją, aż zniknęła w bocznej bramie prowadzącej do wejścia dla służby. Nie oglądała się za siebie, by na niego spojrzeć. Szczegół, który bardzo doceniał. Tak trudno o dobrych pracowników.

Oparł się o miękkie oparcie kanapy i zastukał w dach powozu. Stangret ponaglił konie głośnym gwizdem.

Marguerite wróciła do Paryża.

Spodziewał się tego. Był to zresztą powód, dla którego wiele lat temu kazał swojej pokojówce zatrudnić się u Solange. Był to prosty zabieg, stosunkowo niedrogi – zatrudnił tę kobietę i wiedział, że pewnego dnia ta inwestycja zwróci mu się z nawiązką.

Nic nie mogło powstrzymać planu uruchomionego ponad dwie dekady temu.

A już na pewno nie Marguerite Baillon.

W domu Corinne przed piątą po południu zapadła grobowa cisza.

Edward siedział przy jej gustownym sekretarzyku i cicho pracował. Regularnie spoglądał na nią, obserwując jej oddech. Wrócił krótko po czwartej i zastał ją w gorączce, nieprzytomną. Służba była wykończona. Lokaj biegał w tę i z powrotem po wodę przez cały dzień, a gospodyni okładała jej ciało chłodnymi kompresami, aż zaczęło drżeć w obolałym proteście. Gdy przybył Edward, z nieukrywaną wdzięcznością przekazali mu opiekę nad Corinne. On z kolei rad był, że poświęcił tyle godzin na szukanie informacji o tym, jak należy dbać o chorego w jej stanie. Od razu przeniósł ją do pokoju gościnnego. Tam madame Fouche rozebrała ją z brudnej koszuli nocnej, a Edward zmienił jej pościel. Zarządził dla niej kąpiel i kazał natrzeć ją wódką pod pachami, na karku i na stopach. Śmierdziała teraz jak jakiś pijaczyna, ale gorączka znacznie spadła. Następnie została przebrana i Edward zaniósł ją do świeżo posłanego łóżka.

W podziękowaniu za ich wysiłki, odesłał państwa Fouche do domu wcześniej niż zwykle. Ich syn, Thierry, został na służbie. Dom był cichy i spokojny w porównaniu do zamieszania, które panowało w nim jeszcze godzinę temu. Ten spokój dawał Edwardowi zbyt wiele czasu do rozmyślań nad jego zaangażowaniem w życie Corinne, a zbyt mało odpowiedzi.

Dlatego też, gdy ktoś niecierpliwie zastukał kołatką, Edward przyjął ten dźwięk z ulgą. Rozpaczliwie potrzebował czegoś, co rozproszy jego myśli.

Zatrzymał pióro i zamarł nad papierem. Nasłuchiwał w skupieniu. Chwilę później usłyszał głosy, ale były zbyt odległe, by mógł je rozpoznać. Spodziewał się Desjardins'a i nasłuchiwał kroków. Nie usłyszawszy ich jednak, wstał i przeszedł przez otwarte drzwi do galerii.

Stamtąd miał bezpośredni widok w dół schodów na niewielki marmurowy taras przy wejściu. Thierry stał w drzwiach i z kimś rozmawiał. W końcu służący cofnął się do domu i zamknął drzwi.

Ciekawy, kto jeszcze jest w życiu Corinne, Edward wszedł do saloniku na piętrze. Podeszedł do okna, rozsunął zasłony i wyjrzał na ulicę poniżej.

Mężczyzna o nazwisku Quinn odwiązywał konia z niedbałą lekkością ruchów. Jego ubranie, jakość i krój, świadczyły o bogactwie i prestiżu, podobnie jak jego piękny rumak.

Skąd znał Corinne?

Quinn zastygł bez ruchu tuż przed włożeniem nogi w strzemię. Obejrzał się przez ramię na dom, podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Edwarda. Napięcie, jakie ogarnęło tego potężnego mężczyznę, było wyczuwalne mimo dzielącej ich odległości.

Przez chwilę Edward chciał cofnąć się i odejść od okna. Nie miał prawa ingerować w życie Corinne. Nie byli nawet znajomymi. Kiedy dojdzie do siebie, być może będzie wściekła, że rzucił się w jej domu, i nią samą, gdy była bezbronna i nie mogła protestować.

Ale jakaś jego część, dawno zapomniana, nagle doszła do głosu, żądając wzięcia uroczej Corinne w swoje posiadanie. Nie był w stanie się temu oprzeć. Ona będzie jego. Tylko to kierowało szaleństwem jego czynów od chwili, gdy ją poznał.

Edward skupił wzrok na potencjalnym rywalu, odnotowując każdy szczegół. Różniło ich wszystko poza wyrazem twarzy. Quinn wyglądał tak, jak Edward się czuł – spięty, sprowokowany, wrogi.

Czy to on tak bardzo skrzywdził kiedyś Corinne? Czy to on sprawił, że się bała, a w jej oczach malował się strach?

Zacisnął pięści.

– Dowiem się, kim jesteś – ostrzegł Edward.

Quinn dotknął runda kapelusza. Na jego ustach pojawił się niemal szyderyczy uśmiech. Po czym dosiadł konia. Nie mógł

słyszeć słów Edwarda ani nawet dostrzec poruszających się warg, ale było jasne, że podjął rzucone mu wyzwanie.

Kolejna komplikacja w i tak już poplątanym romansie.

Edward zaciągnął z powrotem zasłonę i wrócił do Corinne.

Simon stał w drzwiach swojego domu. Powoli, z namysłem ścigał rękawiczki. Jeden palec po drugim. Ta czynność miała go uspokoić, ale nie przynosiła pożądanego efektu. Oddech świszcział mu gniewem, a kark bolał z napięcia.

Edward James odwiedzał Lysette w czasie jej „niedyspozycji”. Stał w oknie i nie miał na sobie ani marynarki, ani kamizelki, jakby był u siebie. Jego postawa była defensywna, a jednocześnie zaborcza.

Simon nie był nowicjuszem w tej grze. Już wcześniej zdarzało mu się zetrzeć z innym mężczyzną o kobietę. Ale zazwyczaj służyło to jedynie odwróceniu uwagi. Rzadko przejmował się wynikiem takiej rywalizacji. Jeśli wygrywał walkę o względy damy, nagrodą był dziki i namiętny seks. Jeśli przegrywał, wycofywał się z uśmiechem i zdobywał inną.

Tym razem jednak był wściekły. Chciał wierzyć, że ucierpiała jedynie jego duma, ale wiedział, że chodzi o coś więcej. Przez tych kilka chwil w bibliotece był szczęśliwy. Nie zadowolony lub oddający się przyjemnościom, ale prawdziwie szczęśliwy. Świadomość, że dla Lysette stanowiło to nic nieznaczącą przygodę, była trudna do przyjęcia i bolesna.

Do tego to uczucie, że traci rozum... Aż do wczorajszego wieczora nawet jej nie lubił. A teraz nagle myśl o niej z innym mężczyzną budziła w nim chęć mordy.

I to właśnie teraz.

Mruknął z niezadowoleniem i w kilku susach pokonał schody na górę. Zdecydował się przebrać w coś bardziej odpowiedniego na noc uciech. Porządne pieprzenie wybije mu ją z głowy. Do jutra

odzyska z powrotem trzeźwość umysłu i jasność myślenia. Wtedy zajmie się nią tak, jak trzeba.

– Panie Quinn, ma pan gościa.

Simon przerwał rozwiązywanie krawatki. W odbiciu lustra na drzwiach szafy spotkał wzrok kamerdynera.

– Kto to?

– Nie chciała się przedstawić, panie.

Słyszając, że jego gość to kobieta, Simon poczuł narastające napięcie.

– Piękna blondynka?

Usta kamerdynera drgnęły.

– Tak, sir.

W jednej chwili całe wzburzenie, gniew i frustracja uderzyły ze zdwojoną siłą. Zdjął poluzowaną krawatkę i rzucił ją na podłogę. Musiała bardzo się śpieszyć i ruszyć bezpośrednio po jego wyjściu, żeby dotrzeć tu tak szybko. Może zrozumiała, że pokaz władzy Jamesa pokrzyżował jej plany wobec niego. Jakiegokolwiek by one były.

Przez chwilę rozważał odesłanie jej tylko po to, by ją rozzłościć, ale powstrzymała go myśl o przewadze Eddingtona nad nim. Im szybciej dowie się, co knuje tym razem, tym szybciej uwolni się od niej i całej tej bandy dwulicowców.

– Gdzie jego lordowska mość?

– Wyszedł, sir.

Simon opuścił pokój i zamaszystym krokiem ruszył na niższe piętro. Wiedział, że kamerdyner z trudem za nim nadąży, ale nie zwracał na niego uwagi. Nie będą mu potrzebne przekąski ani herbata. Może tylko coś mocniejszego.

Zatrzymał się w progu saloniku dla gości i ujrzał Lysette siedzącą z gracją na skraju siedziska pokrytego żółtym altembasem. Miała na sobie odważną suknię w kolorze burgundu. Kolejny wybór, o który by jej nie podejrzewał. Ale ten kolor wspaniale kontrastował z jej alabastrową skórą. Szykowny, bogato zdobiony

kapelusz leżał na bocznym stoliku. W dłoniach ścisnęła pasującą do niego torebkę.

Była uosobieniem elegancji i delikatności... do momentu, gdy spojrzała na niego niebieskimi oczami, którymi tak uwiodła go na balu.

Poczuł się jak rażony piorunem. Płonął. Czuł mrowienie w całym ciele i wstępujący pot. Serce przyspieszyło, a klatka piersiowa unosiła się i opadała nierównym rytmem.

Gdy wszedł do pokoju, wyraz zagubienia i niepewności, malujący się na jej twarzy, zastąpił gorący kobiecy podziw. Jej wzrok powędrował w stronę jego odsłoniętej szyi, a język wysunął się i przemknął po ponętej dolnej wardze.

Gdy spojrzał w jej oczy i dojrzał w ich kryształowym błękitcie surowy, pierwotny głód, każdy mięsień jego ciała naprężył się, wypełniając go palącym pożądaniem. Piętnaście minut temu miał ochotę ją udusić. Teraz pragnął tylko podciągnąć jej suknię i ujeżdżać ją, aż osiągnie głośny szczyt.

I jeszcze raz. A potem kolejny.

Mruknął i syknął.

– Pff! Nie jesteś warta zachodu.

Po czym obrócił się na pięcie i wyszedł.

– Panie Quinn... Proszę zaczekać!

Odrzucił się jeszcze raz i zobaczył, że wybiegła za nim.

– Cholera, mam na imię Simon, i wiesz o tym dobrze.

Podeszła do niego, dysząc równie szybko jak on.

– Proszę. Pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem...

– Do diabła, wiem, kim jesteś, zepsuta kobieto!

– Lynette Baillon – ciągnęła uparcie – córka wicehrabiego de Grenier. Sądzę, że znał pan moją siostrę, Lysette Baillon. Prawdopodobnie intymnie... sądząc po wczorajszym wieczorze.

Simon zamarł bez ruchu.

– O czym ty, u licha ciężkiego, mówisz?

– Nie zna mnie pan – odpowiedziała miękko. – Do wczorajszego wieczora nie spotkaliśmy się nigdy wcześniej.

ROZDZIAŁ 9

Ta kobieta była albo wariatką, albo odpowiedzią na jego modlitwy.

Simon skupił wzrok i zaczął badawczo przyglądać się Lysette-Lynette. Poczawszy od jej złotych loków aż po brzeg jej sukni. Zauważył zmysłny rąbek koronkowej halki, ciasno zasnuowaną talię oraz niski gorset, który eksponował ponętne piersi. Jej ubiór był stworzony, by podkreślić kobiecość właścicielki. Lysette, którą znał, nigdy nie ubierała się, by kusić. Jej suknie były zazwyczaj nazbyt skromne.

Ale poza bardziej krzykliwym wyglądem zewnętrznym, dało się zauważyć inne różnice – brak udęzonego spojrzenia i napięcia w postawie tego delikatnego ciała.

Lynette. Lysette.

– Bliźniaczki – powiedział, niemal odurzony nagłą jasnością umysłu.

– Tak.

Ze wszystkich rzeczy, które powinny mu teraz przyjść do głowy, najważniejsze było to, że nie stracił rozumu. Wcale nie pożałował i nienawidził tej samej kobiety w równym stopniu. Nie lubił Lysette, pragnął Lynette.

Bez uprzedzenia ruszył z powrotem do saloniku, ciągnąc ją ze sobą. Zamknął drzwi kopnięciem i przyciągnął ją do siebie. Zanim rozsądek mógł dojść do głosu i mogłaby zaprotestować, ujął jej twarz w obie dłonie i zajął jej usta z dziką intensywnością.

Na chwilę się spięła, ale za moment się rozluźniła. Jej ciało przywarło do niego, dłonie ujęły jego nadgarstki. Jęknęła i przysunęła się mocniej. Jej suta suknia napała na jego nabrzmiały członek, wywołując w nim szaleństwo pożądania.

Odrzucił się i przycisnął ją do drzwi. Uginając i prostując nogi, pocierał całym ciałem o jej ciało. Westchnęła, uchylając wargi. Wsunął język głębiej w jej usta, liżąc ją, całując i smakując. Jej rozgrzana z podniecenia skóra zaczęła wydzielać zapach egzotycznego kwiatu, oszalamiający, odurzający. Nie pachniała jak Lysette. Była wyjątkowa.

Była jego.

– *A thiasce!*^[*] – powiedział, oddychając ciężko.

Lynette zdjęła ręce z jego nadgarstków i sięgnęła jego pasa. Dotyk drobnych dłoni przez materiał koszuli wywołał kolejną falę dzikiego pożądania.

Nigdy wcześniej nie pragnął równie desperacko wejść w kobietę. I zrobi to. Teraz. Nic nie mogło go powstrzymać.

Zaczął po omacku szukać klucza, ale dłonie miał tak rozedrgane, że nie mógł go chwycić. Mamrocząc przekleństwa pod nosem, Simon odwrócił głowę, żeby widzieć, co robi.

– Byliście kochankami? – zapytała lekko ochryplym szeptem.

Spojrzał na nią, gdy rozległ się dźwięk przekręcającego się zamka. Była rozpalona, w nieładzie i piękna do bólu. Chociaż jej rysy były lustrzanym odbiciem Lysette, zupełnie jej nie przypominała. Lynette była łagodna i ciepła w jego ramionach, jej zapach uwodził, jej namiętność była rozbuchana i pełna żaru.

– Nie – odparł, nieświadomie myśląc o tysiącu innych nasuwających się pytań, które kompletnie go nie obchodziły. A przynajmniej nie w tej chwili.

– To dlaczego?

– Dlaczego co? – O co jej do cholery chodzi?

Sięgnął między ich ciałami do wiązania bryczesów.

Zatrzymała jego ruchy rękoma.

– Dlaczego jesteś taki... gorliwy?

Simon roześmiał się i musnął nosem jej policzek.

– Jakie eleganckie słowo, by powiedzieć, że zachowuję się jak rozszalała bestia.

Lynette oblała się rumieńcem, ale nie zwolniła uścisku.

– Zazwyczaj wykazuję więcej finezji – powiedział, zmuszając się do wycofania. – Niestety, chwilowo straciłem rezon.

– Ty? Straciłeś rezon? – Uśmiechnęła się, a jego klatka piersiowa znowu się napięła. – Mężczyzna, który w obliczu pożaru zachował na tyle trzeźwości umysłu, by zarządzić gaszenie płomieni przez gości?

– Żądza jak ogień, też musi zostać ugaszona. Oddaję się tej sprawie z równym zaangażowaniem.

– Jesteś niemożliwy, panie Quinn.

Simon zastanowił się, czy powinien uwieść ją w saloniku, czy zabrać do łóżka na górę, ale cień smutku, który pojawił się na jej pięknej twarzy, ujarzmił żądzę szybciej niż logika.

Oddychając głęboko, przecesał palcami włosy i z trudem poskromił nieokiełznany apetyt na jej dotyk, jej smak, jej zapach. Na nią.

Gestem poprosił, by usiadła.

– Skąd znasz Lysette? – zapytała. Siedziała wyprostowana, dłonie miała splecione delikatnie na kolanach.

Córka para. To wyjaśniało podobną elegancję ruchów, którą Simon dostrzegał u jej siostry. Nie wyjaśniało to jednak, dlaczego Lysette była zabójczynią.

– Naszą znajomość trudno opisać – powiedział. – Ale w żadnym wypadku nie łączyła nas relacja romantyczna.

Lynette zarumieniała się, ale nie odwróciła od niego spojrzenia.

– Wczoraj w nocy...

Uśmiechnął się smutno.

– Pierwszy raz poczułem coś do niej. Podejrzewałem u siebie szaleństwo, bo zmiana była tak drastyczna, że w żaden sposób nie

mogłem tego pojąć. Nie wyobrażasz sobie, jaka to ulga dowiedzieć się, że jesteście dwiema różnymi kobietami.

– Czyli nie wiesz, że odeszła? – stwierdziła łagodnie Lynette.

Simon zmarszczył brew.

– Odeszła, dokąd?

– Umarła.

– Cholera jasna. – Oddech mu przyśpieszył, tak jak i kłębowisko myśli w głowie. Powrócił do wydarzeń wczorajszej nocy. Desjardins. James. Nieśli ranną kobietę w żółtej sukni. Zanieśli ją do powozu hrabiego. A postawa Jamesa w oknie nie była władcza, lecz obronna. – Kiedy? Dzisiejszego popołudnia?

Teraz Lynette zmarszczyła brew.

– Słucham?

– Kiedy umarła? – spytał zdezorientowany.

– Dwa lata temu.

– To niemożliwe, Lynette. Widziałem ją zdrową i żywą zaledwie wczoraj.

Lynette poczuła nagły skurcz żołądka. Sięgnęła dłonią oparcia fotela, żeby się na nim wesprzeć. Quinn... Simon, od razu znaleźli się przy niej, przyglądając się jej z niepokojem.

– Myślę, że zbyt wiele nie rozumiemy – powiedział, a jego irlandzki akcent był spokojny i kojący. – Może najpierw ty opowiedz mi o swojej Lysette, a potem ja opowiem ci o mojej.

Lynette wdychała i wydychała powietrze miarowym rytmem, próbując się uspokoić. W ciągu ostatnich kilku chwil została napadnięta, namiętnie całowana, a teraz dowiaduje się, że jej siostra była cała i zdrowa jeszcze wczoraj. Wiedziała, że to niemożliwe, że musi być gdzieś jakaś ponura pomyłka, ale maleńka jej część była szczęśliwa. Ta część, która czuła obecność Lysette równie mocno, jak wtedy, gdy widziały się po raz ostatni.

– Dwa lata temu – wyszeptała – moja siostra zginęła, gdy powóz, którym jechała, przewrócił się i stanął w płomieniach.

Simon usiadł obok niej.

– Masz tylko jedną siostrę?

– Tak. Żadnego więcej rodzeństwa.

– Jakie są szanse na to, że istnieje kobieta o identycznym wyglądzie jak twój niespokrewniona z tobą?

– O imieniu Lysette? Żadne. – Poruszyła się lekko, by spojrzeć mu prosto w oczy. – Muszę się z nią zobaczyć.

– Chcę przy tym być.

Lynette przyjrzała się pięknej twarzy Simona i poczuła, że sama jego obecność działa na nią uspokajająco. To dziwne uczucie, czuć taką więź z kimś zupełnie obcym, a jednak nie miała co do niej najmniejszych wątpliwości.

Simon nie pozwoli, by stało się jej coś złego. Była tego pewna.

– Ta kobieta nie może być moją siostrą. – Głos jej się załamał. Odchrząknęła. – Byłam na jej pogrzebie. Poza tym byliśmy sobie bardzo bliskie. Niemożliwe, żeby nie odezwała się do mnie przez dwa lata.

– Nic z tego nie rozumiem. – Potarł kark. – Ale mogę ci powiedzieć, że Lysette, którą znam jest... nie jest z nią dobrze.

– Nie jest z nią dobrze?

– Jakby była boleśnie doświadczona.

– Och... – Zmartwiona Lynette przygryzła wargę. – Jak ją poznałeś?

– Nie chcesz chyba zbyt głęboko zagłębiać się w tajemnice mojego życia, *mademoiselle*...

– Baillon.

Zmarszczył brew jeszcze bardziej.

– Lysette używa nazwiska Rousseau. Czy brzmi ono znajomo?

– Rousseau? – Lynette starała się przypomnieć sobie to nazwisko, ale było jej ono zupełnie obce.

– *Mademoiselle*...

– Proszę – przerwała mu – mów mi Lynette. Po wczorajszej nocy... i teraz. Prawie... przy drzwiach... – Jej twarz znowu zapłonęła rumieńcem.

Jego potężna dłoń powędrowała do jej policzka i pogłaskała go z troską.

– Nawet nie możesz tego powiedzieć, prawda?

Przełknęła ślinę urzeczona delikatnością i dotykiem jego kciuka na jej policzku.

Lekki uśmiech pojawił się na jego idealnych wargach, co przyprawiło ją o mrowienie w żołądku. Objął ją spojrzeniem od stóp do głów.

– Wspominałaś o ojcu, ale nic o małżonku.

– Nie jestem mężatką.

– Oczywiście, że nie. – Simon potrząsnął głową. – Jesteś niewinna. Córnka para.

Ton, w którym wypowiedział te słowa, płaski i zrezygowany, trafił ją w samo serce. Zrozumiała, że nie będzie jej już uwodził. Wiedziała, że powinna odczuwać ulgę, ale zamiast tego czuła jedynie głębokie rozczarowanie. Przez całe życie to ona wiodła prym w relacjach z mężczyznami. Kusila ich, flirtowała i kierowała rozmową tak, jak chciała. Ale z Simonem Quinnem było inaczej. Dała się ponieść, nie miała nad nim żadnej kontroli. Upajała się uczuciem zatracenia się w mężczyźnie i świadomością, że on też się zatracił w niej.

– Daj mi trochę czasu – powiedział. – Zbadam tę sprawę, zanim podejmiesz działania. Nie masz powodu, by mi ufać.

– Ale ufam!

– Nie powinnaś. – Smutny uśmiech znów zagościł na jego twarzy. Nie mogła się powstrzymać, podniosła rękę i dotknęła jego ust. Zacisnął mięśnie szczęki w odpowiedzi na jej dotyk, a żądza płonąca w jego spojrzeniu przyprawiła ją o kolejny rumieniec.

Ujął jej dłoń i ucałował. Dotyk jego ust na jej skórze wywołał mrowienie wzdłuż ramienia i lekki dreszcz.

– Nie mam doświadczenia z niewinnością, Lynette. Nie wiedziałbym, co z nią zrobić, potrafiłbym ją jedynie zniszczyć.

– Co masz na myśli?

– Że jeśli nie będziesz trzymać się jak najdalej ode mnie, zniszczę cię. – Niski tembr jego głosu nadał prawdziwości temu ostrzeżeniu. – Znajdziesz się w moim łóżu, a twoje życie wpadnie w sieć kłamstw, podstępów i niebezpieczeństw. Twoja przyszłość, teraz tak jasna, będzie mroczna.

– A jednak Lysette Rousseau funkcjonuje w świecie, o którym mówisz? – zapytała, unosząc brodę.

– Tak.

– Jesteś angielskim szpiegiem? – Rozejrzała się po pokoju, jak w chwili, gdy do niego weszła. Ponownie podziwiała ostentacyjne bogactwo wystroju. Paletę głębokich czerwieni równoważyło jaśniejsze drewno. Ten wystrój był jednocześnie męski i ciepły.

– Byłem – odpowiedział lekkim tonem, ale gdy ponownie na niego popatrzyła, jego spojrzenie było ostre i skupione.

– Pewnie chcesz wiedzieć, jak zdobyłam tę wiedzę? – Uśmiechnęła się. – W żaden niebezpieczny sposób, zapewniam cię. Jedną z kobiet, które były ze mną wczorajszego wieczoru jest kurtyzana. Jej dobrze ustosunkowany kochanek kiedyś powiedział jej coś takiego.

– Jakim cudem córka para spoufala się z kurtyzana? – Dłoń Simona przesunęła się w kierunku jej ramienia i bezwiednie gładziła skórę.

Jego dotyk sprawił, że miała ochotę mruzczyć i przeciągać się jak kotka. Przełknęła głośno i odpowiedziała:

– Moja matka poznała ją u modystki, lata temu. Kiedy jeszcze moi rodzice mieszkali we Francji.

– Dlaczego żona para miała umówioną wizytę w tym samym czasie, co kurtyzana? Zazwyczaj unika się takiej niedyskrecji.

Lynette zmarszczyła nos i pogрузzyła się w rozmyślaniach.

Bez ostrzeżenia Simon położył dłoń na jej karku i ucałował czubek nosa. Bliskość jego ciała wypełniła nozdrza zapachem – mieszanką skóry, koni, piżma i tytoniu. Od razu przywiódł wspomnienia wczorajszego wieczoru w bibliotece... i dzisiejszych chwil przy drzwiach...

Jej ciało zareagowało bólem. Jęknęła.

Przeklął i wstał szybko i zwinnie.

– Nie mogę myśleć, kiedy jesteś w pobliżu. A właśnie teraz potrzebuję jasności logicznego myślenia bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

– Simon.

– Czy istnieje jakakolwiek możliwość, że twoja matka miała dziecko, o którym nie wiesz?

Lynette cofnęła wyciągniętą ku niemu rękę.

– Nie. Narodziny moje i mojej siostry zniszczyły jej łono.

– To może wcześniej?

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Całkowicie. Zapytam ją wprost, jeśli będzie trzeba. Wicehrabia de Grenier. Jest bardzo śniady. Siostra i ja odziedziczyłyśmy karnację po matce. Zdarzało się, że ludzie brali ją za naszą siostrę.

– De Grenier? – Simon podszedł do konsolki z karafkami stojącej przy ścianie. Nad nią wisiał wiejski pejzaż wnoszący nieco koloru błękitem strumienia górskiego i zielenią lasów. – Nie znam go.

– Rodzice opuścili Francję, zanim się urodziłam. Przez wiele lat mieszkaliśmy w Polsce.

Simon stał przy konsolce, trzymając kryształową szklankę w jednej dłoni, drugą oparł płasko o powierzchnię mebla. Dzieliły ich teraz ledwie dwa metry, ale odczuła pewien rodzaj osierocenia.

– Kiedy zdecydowaliście się na powrót do Paryża?

– Nie zdecydowaliśmy się. – Jej smukłe palce pogładziły nerwowo tkaninę sukni. Obserwował ją niczym jastrząb, skupiony

i drapieżny. – Mama zaproponowała wspólne wakacje w Hiszpanii, żebyśmy zakończyły żałobę. Błagałam ją, żebyśmy zatrzymały się w Paryżu, bo pragnęłam go zobaczyć.

– Błagałaś?

– Moja mama nie przepada za tym miastem.

– Dlaczego?

– Nie wiem. – Wstała. – Kiedy ja będę mogła cię przepytać?

– Gdy skończę.

Simon uniósł szklankę do ust. Grdyka poruszała się przy każdym przełknięciu. Dla Lynette widok ten był niezwykle zmysłowy, pobudzał ją. Była jednocześnie podniecona, zagubiona i urażona jego arogancją.

– Czy ta druga kobieta, która była z tobą wczoraj, to twoja matka? – zapytał zmienionym od piekącego alkoholu głosem.

– Tak.

– To bardzo dziwne, że wicehrabina zabiera swoją niezamężną córkę na orgię.

– To nie była orgia.

– Do jasnej cholery, oczywiście, że była! – wykrzyknął, ukazując wściekłość, która dotychczas umknęła jej uwadze. – I niemal straciłaś tam dziewictwo.

Ugryzła się w język, by mu się nie odciąć. Twarz jej płonęła.

– Była temu bardzo niechętna – odpowiedziała rozdrażniona. Jego krytyka mocno ubodła jej dumę.

– Ale to jej nie powstrzymało.

– Nie. Chcesz wiedzieć, czemu? – zapytała ze złością. – Czy wolisz raczej dalej straszyć mnie swym wybuchowym temperamentem?

Rozszerzył nozdrza.

– Nie wyglądasz na przestraszoną.

Odstawił szklankę i podszedł do niej, poruszając się z celową zmysłowością. Zaparło jej dech w piersiach na to ewidentne zaproszenie. Reakcja jej ciała była natychmiastowa i odczuła ją

w nagłym ucisku ubrań. Gorset i stanik stały się nagle zbyt ciasne, by mogła czuć się komfortowo.

– Jeśli podejdziesz choć trochę bliżej – wycodziła – będę musiała cię uwieść.

Simon zatrzymał się w pół kroku, zaskoczony jej bezpośredniością. Uśmiechnął się.

– Czarownica – syknął.

– *Mon cheri*. – Podniosła dłoń i przycisnęła ją do piersi. Wydeła usta, nadąsana. – Ranisz me serce.

Kącik jego ust drgnął.

– Dostrzegam pewne podobieństwa między tobą a Lysette Rousseau.

Uśmiech zszedł z jej twarzy.

– Muszę ci powiedzieć, że poza podobieństwem fizycznym, które dostałyśmy w chwili narodzin, bardzo się różniłyśmy.

– Ty byłaś tą cichą. – W jego stwierdzeniu nie było cienia wątpliwości.

– Nie – odparła. – Ja byłam tą nieposkromioną.

Zauważyła, jak bardzo go to wyznanie zszokowało, co z kolei wzbudziło jej ciekawość.

– *Mademoiselle* Rousseau nie jest bojaźliwą intelektualistką?

– Bojaźliwą? – parsknął. – Nic z tych rzeczy. Ale jest w niej coś z intelektualistki. Uwielbia czytać książki historyczne.

– Jest wdową czy mężatką?

– Żadnym z powyższych. – Simon cofnął się znowu do konsolki. – Powiedziała mi, że nie przepada za mężczyznami.

– Naprawdę? Jakie to dziwne. – Lynette ponownie zmarszczyła nos.

Simon westchnął z frustracją.

– O co chodzi? – spytała, nie rozumiejąc jego reakcji.

– Masz pojęcie, jak ten zmarszczony nosek na mnie działa?

Zamrugła powiekami. Słyszała już wiele komplementów, nigdy dotąd jednak ich przedmiotem nie było marszczenie nosa, kiedy się nad czymś zastanawiała.

Ujął ją tym wyznaniem. Uśmiechnęła się i odpowiedziała:

– A czy ty masz pojęcie, jak na mnie działa ten twój nieposkromiony temperament?

– Igrasz z ogniem – ostrzegł.

– Lubię igraszki. Taka moja natura.

– Od tej pory już nie. – Stał do niej plecami i zajął się drinkiem.

– Czyżbym słyszała władczy ton, *mon cheri*?

Simon ponownie odwrócił się do niej. Ręce skrzyżował na piersi.

– Może miałem na myśli, że nie będziesz już igrać ani flirtować ze mną.

Przekrzywiła lekko głowę.

– Ależ to by było strasznie nudne, *non*?

– Wątpię, by życie przy tobie kiedykolwiek bywało nudne.

Im bardziej się z nim droczyła, tym bardziej był niebezpieczny. Wyczuwała kipiącą w nim żądzę, narastającą z każdym jej słowem. Szykowała się, że rzuci się na nią. Alkohol trochę go rozluźnił, ale nie na tyle, żeby był zupełnie nieszkodliwy.

Simon Quinn nie bywał nieszkodliwy.

Lynette skierowała rozmowę z powrotem na tajemniczą Lysette, wiedząc, że została rzucona na głęboką wodę.

– Mówisz, że ona nie lubi mężczyzn?

– Tak powiedziała – odburknął.

– A lubiła ciebie?

– Wątpię.

– W takim razie, ktoś musiał ją bardzo zranić.

– Oczywiście. – Uśmiechnął się. – Kobieta musiałaby być wariatką, żeby mnie nie chcieć.

Lynette zaśmiała się i poczuła, jak napięcie między nimi nieznacznie opadło. Nie żeby było ono nieprzyjemne. Wprost przeciwnie.

– Powinnaś już iść – rzucił. – Póki jeszcze jestem w stanie ci na to pozwolić.

– A co z *mademoiselle* Rousseau? Powiedziałaś, że mnie do niej zaprowadzisz.

– Nie. – Potrząsnął głową. – Powiedziałem, że powinienem być przy waszym spotkaniu, a nie, że je zorganizuję.

Podparła się rękoma.

– Dlaczego nie?

– Ona jest niebezpieczna i nieprzewidywalna. Tak jak i ludzie, dla których pracuje. Nie wiem, jak zareaguje na twój widok. Nie podejmę takiego ryzyka, by zaspokoić twój kaprys.

– Kaprys? – wybuchła. – Czy nazwałbyś kaprysem sytuację, w której dowiadujesz się, że jest na świecie, w tym samym mieście mężczyzna wyglądający identycznie jak ty i do tego ma na imię tak jak twój brat...?

– Nie mam rodzeństwa – odparł ze ściśniętą szczęką. – Nie mam rodziny, godnego nazwiska ani żadnego majątku.

Patrzyła na niego, wiedząc, że jest tylko jeden powód, dla którego mężczyzna wyjawia swoją wartość społeczną.

– Jesteś najemnikiem – powtórzyła słowa Solange.

– Tak. – Jego masywne ramiona rzucały jej wyzwanie, sprawdzając, czy nadal go pragnie po takim wyznaniu.

I oczywiście, nadal go pragnęła.

– Zapłacę ci – powiedziała.

– Do diabła, za co mi zapłacisz?

– Za zabranie mnie do niej. Będę w powozie, schowana...

Podszedł do niej z szybkością błyskawicy, złapał ją mocno za ramiona, przyciągnął do siebie i potrząsnął.

– Jak zamierzasz mi zapłacić? – warknął.

Oczy Lynette napotkały jego wściekle spojrzenie.

– Dobrze wiesz, jaką mam kartę przetargową.

Zacisnął palce na jej delikatnych ramionach, po czym odepchnął ją gwałtownie, o mało nie przewracając.

– Niech cię diabli. Staram się postępować honorowo.

– Honor nie ogrzeje ci łoża.

– Czy twoja niewinność tak niewiele dla ciebie znaczy, że jesteś gotowa oddać ją komuś takiemu jak ja?

– Może moja siostra znaczy dla mnie tak wiele, że gotowa jestem zapłacić każdą cenę.

– W takim razie, ona żyje czy nie żyje? Musisz zdecydować się na jedno. – Simon podparł się rękoma w pasie. Rozpięta koszula rozchyliła się, ukazując kuszący widok sniadej skóry.

– Widziałam, jak ją chowano.

– Widziałaś jej ciało?

Lynette pokręciła przecząco głową.

– Chciałam. Błagałam o to. Ale powiedziano mi, że było zbyt poparzone w pożarze. – Zapiekły ją oczy. Zamrugęła, żeby powstrzymać napływające łzy. – Moja mama ją widziała.

– Ufasz swojej matce? – zapytał łagodniejszym tonem. Złagodniały też rysy jego twarzy.

– Poniekąd. – Mimo wysiłków, łza spłynęła jej po policzku. Wytarła ją wierzchem dłoni. – Ale tylu rzeczy nie wiem, o tylu sprawach nie chce mi powiedzieć. Na przykład, dlaczego tak boi się Paryża?

– Boi się? – Simon wzmógł czujność na te słowa.

– Zatrzymałyśmy się u Solange. Nikt nie wie, że tu jesteśmy. Nie wolno mi nikomu zdradzać mego nazwiska...

– Lynette – powiedział cicho, obejmując ją ramieniem. – Wiedziałaś, że jestem angielskim szpiegiem, a mimo to i tak wyjawiałaś mi, jak się nazywałeś. Nie wiem, czy mam cię pocałować, czy przywołać do porządku.

Pociągnęła nosem.

– Wolę całowanie.

Simon zaśmiał się i przytulił policzek do jej skroni. Wtuliła się w niego, ciesząc się jego troską i współczuciem.

– Wczorajszej nocy – wyszeptła, obejmując go w pasie – Solange skomentowała nasze wzajemne zainteresowanie sobą. Moja matka była temu przeciwna.

– Mądra kobieta.

– Na co Solange odpowiedziała, że prawdopodobnie gustuję w takim samym typie mężczyzn, co moja matka.

Chociaż nie widziała jego twarzy, poczuła, że zmarszczył brwi.

– Wiesz, co miała na myśli? – zapytał.

– Nie. Tak samo, jak nie rozumiem wielu innych stwierdzeń padających w mojej obecności. – Odsunęła się, by na niego spojrzeć. – A co jeśli ta kobieta jest moją siostrą? Lub co gorsza, jeśli ma złe zamiary? Co jeśli poznała moją siostrę, zauważyła podobieństwo i wykorzystuje jej wspomnienia?

– Lynette...

– Nie potrafię tego wytłumaczyć – wyrzuciła z siebie, zanim straciła odwagę. – Ale nadal czuję tę więź z nią, którą zawsze czułam. – Położyła zaciśniętą pięść na sercu. – Jak mogłabym ją czuć, jeśli ona... jeśli ona nie żyje?

Westchnął z niepokojem i pogładził ją po czole palcami pokrytymi odciskami. Po czym przycisnął usta do jej rozgrzanej skóry.

– Obawiam się, że żałoba po stracie ukochanej osoby niepotrzebnie wznieca nadzieję.

– W takim razie, pomóż mi się z tym uporać – poprosiła.

Simon odchylił do tyłu głowę, patrząc w sufit, jakby wypatrywał boskiej pomocy. Czula bicie jego serca. Silne i miarowe. Po raz pierwszy od śmierci Lysette, Lynette czuła, że ma jakiś cel. A Simon musiał pomóc jej go zrealizować.

– Jak mnie znalazłaś? – zapytał w końcu, ponownie na nią spojrzawszy.

– Podśluchiwałam rozmowy. – Uśmiechnęła się. – Myślę, że Solange cię idealizuje. Opisywała mojej matce twój dom

szczegółowo. Bardzo pochlebnie wypowiadała się o twoim wyczu-
ciu smaku i majętności.

Nagle nastąpiła w nim zmiana. Na jego twarzy odmalowało się
żelazne postanowienie.

– Od tej pory – powiedział z naciskiem – masz przestrzegać na-
kazów matki i się ukrywać. Żadnych więcej przyjęć. Żadnych wyjść.
– Ujął jej twarz w dłonie, podkreślając wagę słów dotykiem. – Nie
wiem, jakie są powody dyskrecji twojej rodziny, ale musisz do nich
dodać ryzyko zdemaskowania przez Lysette Rousseau lub kogoś,
z kim pracuje. Nie możemy do tego dopuścić, Lynette. Zaufałaś mi,
przychodząc tutaj. Zaufaj mi też, wychodząc.

– Kim ona jest?

– Zabójczynią. I wcale nie jestem przekonany, czy morderstwo
to najgorsze, co ma na sumieniu.

– *Mon Dieu...* – Lynette zadrżała mocno, chłód rozprzestrzenił
się po całym jej ciele, wywołując gęsią skórkę. Uniosła dłoń
i dotknęła jego grzesznych ust. – Dobrze, że mam ciebie za
przewodnika.

Dawał jej siłę i spokój. Po raz pierwszy od dwóch lat znowu czuła
się sobą. To cenny dar otrzymany od Simona.

– *A thiasce* – wyszeptał znowu. Jego spojrzenie pociemniało. –
Żałuję, że się spotkaliśmy. Nic dobrego z tego nie może wyniknąć.
Jedyna droga, na której mogę być twoim przewodnikiem, prowadzi
prosto do piekła.

^{*} *A thiasce!* (irlandzko-celtycki) – Skarb!

ROZDZIAŁ 10

Dochodziła północ, gdy Simon odnalazł Richarda Beckinga w tawernie znajdującej się w nieciekawej części miasta. Anglik siedział w odległym rogu sali, trzymając na kolanach hożą kelnerkę. Po prawej stronie śpiewał Francuz. Na widok Simona, Richard uśmiechnął się szeroko i pomachał mu ręką.

– Richard – powitał go Simon, przysuwając jedyne wolne krzesło do stołu. Spojrzał na nie, uniósł brew, po czym rozłożył chusteczkę na siedzeniu i dopiero zajął miejsce.

– Popisujesz się, co Quinn? – zaśmiał się Richard. Kelnerka i pijany Francuz zawtórowali mu, chociaż Simon wątpił, by zrozumieli choć słowo.

– Mam pewne kłopoty finansowe – powiedział Simon, nieznacznie się uśmiechając. – Wczoraj zniszczyłem już jeden komplet ubrań. Nie stać mnie na stratę kolejnego.

– Znowu się bileś?

– Tak jakby.

Simon przyjrzał się badawczo Beckingowi, upatrując jakichś śladów uwięzienia przez Desjardins'a. Na szczęście nie znalazł żadnych. Richard był w dobrej formie, wyglądał schludnie. Dzięki swojej urodzie mógł wtopić się w dowolne otoczenie. Jego brązowe oczy i włosy były genialnie przeciętne, wzrostem i posturą się nie wyróżniał, a głos miał pozbawiony jakichkolwiek godnych zapamiętania cech. W skrócie, nie przyciągał niechcianej uwagi, a postrzegany był jako nieszkodliwy i przyjazny.

Richard cmoknął kelnerkę w policzek, zanim odesłał ją, by uzupełniła mu kielich. Następnie rzucił monetę Francuzowi i odprawił go gestem ręki.

– Jak to się stało, że nagle brakuje ci pieniędzy? – zapytał, gdy byli już sami.

– Eddington zablokował mi środki. – Simon bębnił palcami w blat stołu. – Sam jestem sobie winny. Głupotą było, że nie przeniosłem swoich aktywów, wiedząc, że przez dłuższą chwilę nie wybieram się do Anglii.

– Jasny gwint.

– Niech to będzie dla ciebie przestroga.

– Nie mogę uwierzyć, że ośmielił się na tak bezczelny ruch wobec ciebie. – Richard gwizdnął przeciągle i rozparł się na krześle. – Musi być naprawdę zdesperowany. Szczerze powiedziawszy, ta myśl jest nawet dość przyjemna.

Simon zaśmiał się, ale śmiech przeszedł w dławiący kaszel. Dym tytoniowy wypełniający tawernę wdarł się w płuca podrażnione dymem wdychanym poprzedniej nocy.

– Gdy przywiozłem *mademoiselle* Rousseau do Francji, myślałem, że będę mógł żyć swoim życiem, bez obciążeń. Teraz jestem otoczony z każdej strony. Eddington pokazał jasno, że moje sprawy niewiele dla niego znaczą. Dlatego nie mam innego wyboru, jak zwrócić się do ciebie, przyjacielu.

– Wiedziałem, że to nie przypadek, że mnie szukasz. – Richard wyszczerzył się w szerokim uśmiechu. – Ale miałem nadzieję, że chcesz po prostu spędzić pijacką, rozpustną noc w moim towarzystwie.

– Innym razem – odparł, rozglądając się po sali. Myślał o Lynette. Była jedyną kobietą, z którą chciałby spędzić noc na rozpuście. Pragnął jej tak bardzo, że odczuwał ból w jądrach. Uczucie, którego nie zaznał już dawno, sam nie pamiętał, kiedy zdarzyło się to ostatni raz.

– To mów – powiedział Richard, przekrzykując kiepską orkiestrę – co mogę dla ciebie zrobić?

Były czasy, gdy Simon umyślnie szukał takich hałaśliwych, zatłoczonych miejsc. Biesiadowanie innych pomagało ukryć jego własne niezadowolenie i ułatwiało wymianę informacji między agentami. Teraz cały ten zgiełk go irytował.

Pochylił się nad stołem, tak żeby Richard go usłyszał:

– To jakie zadanie powierzył ci Eddington?

– Kazał mi przyjrzeć się *mademoiselle* Rousseau i panu Jamesowi.

– Ja proszę cię o to samo. Dokładam jeszcze prośbę o wszelkie informacje, jakie uda ci się znaleźć na temat wicehrabiego de Grenier i jego rodziny.

Richard uniósł brwi, po czym się uśmiechnął. Uwielbiał wyzwania.

– Zachowaj większą czujność niż zwykle – powiedział Simon, prostując się nieznacznie, gdy na stole przed nimi postawiono dwa chlupiące kufle. – Coś tam jest nie tak. Mają sekrety i tajemnice. Boją się czegoś lub kogoś do tego stopnia, że opuścili Francję.

– Zajmę się tym. Dam ci też jeden dzień przewagi.

– Jeden dzień przewagi? – krzyknął Simon, gdy muzyka osiągnęła swe crescendo i ucichła.

Richard zaśmiał się, widząc chmurne spojrzenie Simona.

– Przyślę ci wszelkie informacje na temat *mademoiselle* Rousseau i pana Jamesa, a dzień później przekażę je również Eddingtonowi. Co jasne, informacje na temat wicehrabiego zostawię tylko dla ciebie, bo o nie Eddington mnie nie prosił. – Richard wzruszył ramionami i pociągnął łyk piwa. – Żałuję, że nie mogę zrobić nic więcej.

– To i tak aż nadto. – Simon uniósł kufel. – Jestem ci ogromnie wdzięczny.

Eddington płacił za tę usługę. Simon o przysługę prosił. Nie miał rodziny, więc bardzo cenił sobie wszelkie gesty wynikające z lojalności i przyjaźni.

– Mam u ciebie dług za uwolnienie nas – powiedział Richard.

– Każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo.

– Nie, nie każdy. Wiesz dobrze, że nie każdy.

Ledwo usta Simona dotknęły brzegu kufła, gdy ktoś z tyłu mocno go popchnął. Uderzył głową w kufel. Zalał brodę, koszulę i marynarkę oraz kolana. Spojrzał w dół i mruknął groźnie. Wstał od stołu i stanął twarzą w twarz z winowajcą.

– Należą mi się przeprosiny – zażądał, klnąc w duchu na przesądzony los kolejnego zestawu ubrań.

Przeciwnik był wzrostu Simona, ale ważył dwa razy więcej. Spojrzał na poplamione ubranie Simona i popełnił kardynalny błąd. Zaśmiał się.

– Biedny jegomość – powiedział pod nosem Richard. – Nie ma pojęcia, w co się wpakował.

Simon uniósł pięść i się zamachnął.

– Szczerze żałuję powrotu do Paryża. To miasto od zawsze przysparza mi tylko cierpień.

Lynette wzdrygnęła się, słysząc ból w głosie matki. Usiadła bliżej niej, na brzegu otomany obitej różowym atłasem.

Spóźnione światło poranka wpadało do saloniku przez prześwitujące zasłony, otulając pomieszczenie ciepłym i przyjemnym blaskiem. Lynette obudziła się wyspana, mimo że całą noc miała przyprawiające ją o rumieniec sny o Simonie. Wypoczęta i zdeterminowana, postanowiła podzielić się z matką informacjami z poprzedniego dnia. Postanowiła też w końcu zadać pytania, z którymi zwlekała już zbyt długo.

– *Maman...*

– Kazałam ci trzymać się od niego z daleka! – krzyknęła Marguerite, trzęsąc się ze wzburzenia. – Dlaczego choć raz nie mogłaś mnie posłuchać?

– Ponieważ muszę się dowiedzieć, kim jest ta kobieta!

– Lysette nie żyje! – Matka poderwała się na równe nogi.

Koszula nocna i szlafrok zawirowały wokół jej nóg. – Widziałam ją na własne oczy.

– Mówiłaś, że jej twarz była zbyt... zbyt spalona.

– Widziałam ją. Jej suknię. Jej buty...

Marguerite odwróciła się i zakryła dłonią usta, by powstrzymać szloch.

– Być może ty pogodziłaś się już z jej śmiercią – powiedziała obojętnym tonem Lynette. Na chwilę spojrzała na Solange, po czym wbiła wzrok w podłogę, czując napływające łzy. – Ale ja nie. Mam wrażenie, jakby brakowało części mnie.

– Ten człowiek wykorzystuje twój ból i żalobę! – Marguerite zacisnęła pięści.

– Niby po co?

– Jesteś zamożna i piękna. Małżeństwo z tobą to gratka dla każdego mężczyzny.

– Jest angielskim szpiegiem! – Nie dawała za wygraną. – Jakież miałby pożytek z francuskiej żony, której rodzina mieszka w Polsce?

– Może chce po prostu do końca życia nie martwić się o pieniądze.

Lynette parsknęła.

– Są sprawy, o których nie masz pojęcia, Lynette.

– Tak, *maman*. Nigdy o tym nie zapominam. Codziennie ktoś mi o tym przypomina, gdy pada stwierdzenie zrozumiałe dla wszystkich, poza mną.

– Wydarzenia z przeszłości powinny pozostać w przeszłości.

– Ależ to śmieszne. Nie jestem dzieckiem.

Marguerite podniosła palec w oskarżycielskim geście.

– Śmieszne jest to, jak dałam ci się podejść i namówić na coś, czemu od początku byłam przeciwna, a co w rezultacie doprowadziło nas tutaj. To ty wykorzystałaś moją żalobę. Brakowało mi twojego uśmiechu i błysku w oku. To przesłoniło mój osąd, a ty tylko wykorzystałaś sytuację.

– Blask w oku powrócił – wtrąciła cicho Solange.

– Za sprawą szarlatana!

– On nie jest szarlatanem. – Lynette starała się, by ton jej głosu był możliwie spokojny.

– Przyjrzyj się faktom – odparowała Marguerite. – Mężczyzna o wątpliwej reputacji, którego cel obecności we Francji został zdemaskowany, upatruje sobie uroczą i bez wątpienia zamożną pannę na nieprzyzwoitym przyjęciu. Podchodzi do niej, zdejmując jej maskę i całuje... Wiem, że cię pocałował, Lynette. Nie waz się mnie okłamywać!

Lynette zaczerwieniła się i przełknęła ripostę, którą miała na końcu języka.

– Wyszeptał jej imię – ciągnęła dalej matka. – A dziewczyna, naiwnie zaślepiona jego uwodzicielskim tonem, słyszy to, co chce usłyszeć. „Lynette” zamienia się w „Lysette”. Później, wspaniale odegrane bohaterstwo utwierdza ją w tym fatalnym zauroczeniu i postanawia się z nim spotkać. Zdradza mu informacje, które mógł sprytnie wykorzystać, żeby uzyskać dostęp do jej łoża i majątku.

– *Mon Dieu* – wymamrotała Lynette, krzyżując ramiona na piersi. – Cóż za wspaniała opowieść.

Marguerite zaśmiała się bez cienia wesołości.

– Równie wspaniała jak ta o kobiecie, która być może jest twoją zmarłą siostrą? Kobiecie, której nie możesz spotkać osobiście, bo jest niebezpieczną zabójczynią? Na litość boską, Lynette. Naprawdę zabójczynią?

Tak przedstawiona, cała historia faktycznie wydawała się dość nieprawdopodobna. Z drugiej strony, jej matka nie rozmawiała z Simonem Quinnem.

– Nie rozumiesz – powiedziała. – Spotkaj się z nim.

– Nigdy – ucięła ostro Marguerite. – Skończyłam już tę wycieczkę w krainę szaleństwa. Zresztą ty również. Zakazuję ci ponownego spotkania z tym mężczyzną. Jeśli mnie nie posłuchasz, pożałujesz. Masz na to moje słowo.

Lynette poderwała się na równe nogi. Dłonie jej zwilgotniały.

– Daj mu czas, żeby...

– Żeby co? – Matka chodziła nerwowo po pokoju, co chwilę zerkając na siedzącą potulnie Solange, popijającą herbatę przy niewielkim stoliku. – Żeby miał czas zasiać ci kolejne wątpliwości o twojej rodzinie? Żeby zbudować mur między tobą, a tymi, którzy cię kochają, by w końcu tylko on ci pozostał? Czy może lepiej poczekajmy, aż będziesz w ciąży z jego bękartem. Wtedy już nikt nie będzie miał wątpliwości, że zrujnował ci życie.

– Nie zasłużyłam sobie na tę obrazę – powiedziała Lynette, skrywając narastającą panikę za fasadą chłodnej godności. – Prosił, bym trzymała się z dala od niego. Bym zostawiła go w spokoju i odeszła jak najdalej.

– Sprytna taktyka, żeby pozyskać twoje zaufanie. Naprawdę tego nie widzisz? – zapytała matka, wyciągając do niej rękę. – Sprawiając, że to ty będziesz szukać kontaktu, a nie on, zyska fałszywe wrażenie niewinności.

Marguerite zwróciła się do Solange.

– Pomóż mi – powiedziała błagalnym tonem.

Solange westchnęła i odstawiła filiżankę.

– Faktycznie, istnieją tacy mężczyźni, *cherie*.

– Ale nie sądzisz, żeby Simon Quinn był jednym z nich – odparła Lynette.

– Szczerze powiedziawszy, nie wiem. Oficjalnie nigdy go nie poznałam.

– To bez znaczenia – powiedziała Marguerite, wzruszając ramionami. – Twój ojciec przyjedzie za kilka dni i opowiem mu

o wszystkim. Do tego czasu pod żadnym pozorem nie wolno ci opuszczać tego domu.

– Może on wysłucha głosu rozsądku!

W błękitnych oczach matki błysnęła stal.

– Może wyda cię za mąż za kogoś stanowczego, kto w odpowiedni sposób zajmie się twymi kapryсами.

– *Maman!* – Serce Lynette stanęło na te słowa, po czym zaczęło bić jak szalone. Jej *grand-mere*^[*] zrobiła dokładnie to samo jej matce. Choć rodzice odnosili się do siebie serdecznie, nie było między nimi namiętności. Żadnego ognia. Było to chłodne małżeństwo i Lynette za wszelką cenę chciała uniknąć takiego losu. – Mogłaś wybrać każdą inną groźbę – powiedziała gorzko – i może nawet bym cię posłuchała.

Marguerite wyprostowała się i skrzyżowała ręce.

– Dość. Ani słowa więcej. Idź do siebie i się uspokój.

– Nie jestem dzieckiem. Nie powstrzymasz mnie przed poznaniem prawdy o tej kobiecie.

– Nawet nie myśl o przeciwstawianiu mi się. Nie będę tolerować takich kaprysów.

Do oczu Lynette napłynęły łzy, popłynęły po policzkach. Marguerite zdrygnęła się, ale nie złagodniała.

– Idź już.

Odwróciwszy się na pięcie, Lynette wybiegła z pokoju.

– Szkoda, że nie widziałem wyrazu jego twarzy – powiedział Ed-
dington, śmiejąc się do rozpuku. Musiał odstawić kieliszek na stół,
żeby nie rozlać wina. – Bardzo lubię oglądać twoje bijatyki.

Simon mówił, przeżuując kęs cielęciny.

– Nie było czego oglądać. W jednej chwili jegomość stał,
a w następnej leżał już na podłodze.

– Aż dołączyli do niego kolejni.

– Cóż. – Simon wzruszył ramionami. – Tak to się zazwyczaj
kończy.

Eddington wezwał gestem służącego, żeby zabrał jego talerz.

– Co tam robiłeś?

– Szukałem powodu do rozróby, oczywiście – powiedział oschle Simon. Od razu zauważył, że lord tylko silił się na beztroski ton.

Nie dał się oszukać. – Pewne wymuszenie tak na mnie podziałało.

Kącik ust lorda lekko się uniósł.

Usłyszeli dyskretne pukanie do drzwi. Simon nakazał wejść i do jadalni wkroczył kamerdyner.

– Wybacz panie – posłał Simonowi spojrzenie – ale masz gościa.

Simon momentalnie poczuł w żołądku ucisk niepokoju i oczekiwania. Ze względu na obecność Eddingtona, nie zapytał o tożsamość gościa. Skinął jedynie głową i wstał od stołu.

– Wybacz, wasza lordowska mość.

– Oczywiście.

Wychodząc, czuł na sobie spojrzenie Eddingtona, aż zamknęły się za nim drzwi.

– Piękna blondynka. – Kamerdyner odpowiedział na jego nieme pytanie.

Pot wystąpił mu na czoło. Oddychał płytko, panikując, że sama myśl o Lynette i jej ciele wzbudza w nim taką reakcję. Gdyby tylko miał za co wyjechać. Dla jej dobra.

Wziął głęboki wdech i przekroczył próg dolnego saloniku. Przystanął na widok soczystego odcienia błękitu sukni Lynette. Stała tyłem do niego. Gładziła palcami piękny porcelanowy wazon stojący na drewnianym postumencie. Mowa jej ciała zdradzała napięcie.

– Lynette – powiedział miękko, szczerze uradowany jej widokiem. – Nie powinnaś była przychodzić.

Odwróciła się i w tym momencie zrozumiał swoją pomyłkę.

– Panie Quinn. – Jej głos był niski, gardłowy, w jego tonie dźwięczała stal.

Pokłonił się.

– Wicehrabina de Grenier.

Wskazując jej miejsce, by usiadła, spojrzął na lokaja stojącego w drzwiach i skinął, żeby przyniósł poczęstunek i napoje. Gdy lokaj poszedł poinformować gosposię, Simon usiadł naprzeciwko wicehrabiny i przyglądał jej się uważnie.

Teraz rozumiał, dlaczego łatwo było wziąć matkę za siostrę. Kolory jasnych blond włosów i niebieskich oczu były identyczne. Co więcej, czas niezwykle łaskawie obszedł się z urodą wicehrabiny. Jej twarz była wolna od zmarszczek, a figura równie nienaganna i apetyczna, jak u Lynette.

– Jest pan bardzo przystojny – powiedziała, przyglądając mu się badawczo. – Rozumiem fascynację córki.

Kąsik ust Simona uniósł się w uśmiechu.

– Dziękuję. Mogę odwzajemnić komplement: pani i pani córka jesteście najpiękniejszymi kobietami, jakie miałem przyjemność poznać.

– A co ze sławetną zabójczynią? – zapytała zimno. – Zakładam, że jest równie piękna?

– Tak, rzeczywiście. – Usadowił się wygodniej. Był pod wrażeniem temperamentu wicehrabiny, który córka odziedziczyła po niej.

– Rzeczywiście. – Na jej twarzy malował się chłodny uśmiech. – Czego pan chce?

Uniósł brew.

– Widzę, że nie marnuje pani czasu.

Poruszyła palcami dłoni spoczywającej na sukni. Widniały na nich różne drogocenne klejnoty imponujących rozmiarów. Niewielkie diamentowe klipsy przebłyskiwały we włosach, a szafirowa spinka do kapelusza trzymała nakrycie głowy na miejscu. Przyszła przygotowana, by oszołomić go swoją zamożnością. Był pod wrażeniem. Był też głęboko urażony. To ostatnie sprawiło, że się zaśmiał. Tyle lat przeżył, sprzedając wszystko, co dało się sprzedać. Łącznie ze swoim ciałem. To dobry czas, żeby nabrać skrupułów.

– Niczego nie chcę – odpowiedział.

– Chce pan mojej córki – odparła ostro – lub jej pieniędzy.

– Nie chcę jej pieniędzy.

Prychnęła.

– Proszę mi tylko nie wmawiać, że to miłość. Nie ścierpię tego.

– Nie – przytaknęła. – To nie miłość. Ale pragnę jej i chcę ją zdobyć, gdy nadarzy się ku temu okazja. Jestem draniem i dlatego kazałem jej się trzymać z daleka ode mnie.

– Jakie to szlachetne z pańskiej strony – zadrwiła, przypominając mu Lysette. Jej niebieskie oczy słały mu szorstkie spojrzenie, a ponętne usta wykrzywiły się z niesmakiem.

– Cieszę się, że udało mi się zdobyć pani akceptację. – Rozparł się wygodnie w fotelu, wiedząc, że to tylko rozdrażni ją jeszcze bardziej. Sam z każdą chwilą odczuwał coraz większy gniew. Nie miał nic przeciwko nazywaniu go egoistycznym libertynem, gdy sobie na to zasłużył. Ale nie, kiedy próbował poświęcić się dla kogoś.

– Dlaczego akurat moja córka? Może pan mieć każdą inną kobietę. Może zamożną wdowę? Czy też nie jest pan wystarczająco zaradny?

Simon uśmiechnął się nieszczercze.

– Wiem, że trudno pani w to uwierzyć, ale nie jestem łowcą posagów. Podziwiam pani córkę. Jest w niej ta sama siła przekonania, jaką pani wykazała się dziś, przychodząc tutaj. Jest też piękna, a ja jestem normalnym, zdrowym mężczyzną. Nie mógłbym nie zauważyć jej urody. Nie przyświeca mi żaden ukryty cel. To ona się ze mną skontaktowała, nie na odwrót. Gdyby do mnie nie przyszła, ja z pewnością nie wykonałbym żadnego ruchu.

Zacisnęła szczękę.

– Hrabino. – Simon się wyprostował. – Najlepiej będzie, jeśli wyjedziecie z Paryża. Nie wiem, jak jaśniej mógłbym się wyrazić. Kobieta tak bardzo podobna do pani córki, uwikłana jest w różne niebezpieczne sprawy. Stałoby się nieszczęście, gdyby pomyłono te dwie kobiety.

– Kobieta, którą nazywa pan Lysette – syknęła wicehrabina.

– Tak, Lysette Rousseau. – Wzruszył ramionami. – Ale to nie ja ją tak nazwałem, więc proszę mnie za to nie winić.

Wicehrabina pobladła, co od razu przykuło uwagę Simona.

– Czy to nazwisko jest pani znajome? – zapytał, kładąc ręce na kolanach. – Wszelkie informacje mogą okazać się bardzo przydatne w rozwiązaniu tej sprawy.

– Sprawy mojej rodziny pana nie dotyczą! – Wstała, próbując odwrócić jego uwagę od swojego zdenerwowania. – Mówi pan, że moja córka sama szuka z nim kontaktu. Proszę pozwolić zatem, że wyślę pana na wakacje.

Simon również wstał.

– Nie.

– Jakże to tak. Z pewnością są miejsca, które chciałby pan odwiedzić. Hiszpania? A może powrót do Anglii?

– Polska? – wypalił, splatając ręce za plecami, by nie zaciskać ich w pięści. Poczul opór kłykci posiniaczonych i obolałych po bójkę w tawernie. Ból odciągnął jego uwagę i pomógł zapanować nad furią.

– To może przedłużone wakacje? Takie, które trwają do końca życia, hm? – Ramiona wicehrabiny były wyprostowane, broda uniesiona, a uśmiech niewinny. Mieszanka uroku i determinacji. Zupełnie jak Lynette.

Hrabina nie zdawała sobie sprawy z tego, że głębsze spojrzenie w życie Lynette sprawiało tylko, że pragnął jej jeszcze bardziej. Wicehrabia był szczęśliwym człowiekiem, mając taką żonę. Przyszły mąż Lynette również będzie szczęściarzem.

Ta myśl go obezwładniła. Wymyła gniew i niechęć, pozostawiając jedynie nużącą rezygnację.

– Podaj swoją cenę – nie ustępowała.

Simon skrzyżował ręce.

– Zakładasz pani, że jestem niedrogi.

W jej oczach pojawił się blask triumfu.

– By móc pozwolić sobie na to wszystko? – powiedziała, wskazując zamaszystym gestem ręki na wyposażenie saloniku. – Jestem kobietą, panie Quinn. Doskonale znam się na cenach i wartości. Wiem, że pański wyjazd będzie kosztować mnie fortunę.

Poczuł skręt żołądka i gorzki smak w ustach. Sama myśl o przyjęciu pieniędzy w zamian za zrezygnowanie z Lynette, przyprawiała go o mdłości, ale ten plan miał niezaprzeczalne zalety. Gdyby wicehrabina obdarzyła go chociaż połową kwoty, którą skonfiskował Eddington, mógłby żyć wygodnie i beztrudnie do końca swoich dni. Byłby wolny od wszelkich obciążeń. Mógłby spakować rzeczy, lub nawet je zostawić, i zacząć gdzieś wszystko od nowa.

Lynette byłaby bezpieczna, z dala od jego żądzy i wiedzy o Lysette.

Simon chrząknął, oczyszczając gardło. Nienawidził Eddingtona za to, że przez niego musiał martwić się o pieniądze. Knowania lorda doprowadziły, że był uwięziony blisko kobiety, której nie mógł się oprzeć, a której nie mógł mieć.

Chyba że przyjmie propozycję wicehrabiny.

Odetchnął z wysiłkiem, czując nagle zmęczenie wydarzeniami ostatnich kilku dni.

– Potrzebuję czasu do namysłu.

Wydawała się gotowa do dalszej dyskusji, ale w końcu tylko kiwnęła głową.

– Rano przyślę posłańca. Czy to panu odpowiada?

– Nie, zupełnie mi to nie odpowiada. – Spojrzał na nią. Wiedział, że chce chronić córkę, ale nie mógł ścierpieć, że to on był niebezpieczeństwem, przed którym należało ją chronić. – Sądzi pani, że kieruje mną chęć zysku. Że to dlatego w ogóle rozważę pani obraźliwą propozycję. Ale kieruje mną jedynie troska o Lynette i obawa, że jeśli nie wyniosę się daleko stąd, w końcu spotka Lysette Rousseau.

– I zniszczy pan jej życie, gdy dostanie się w pańskie ręce.

– Tak, z pewnością – zgodził się, nie widząc sensu owijania w bawełnę.

– Jaka szkoda, że nie użyje pan własnych środków na podróż. Zacisnął szczękę.

– Tak, szkoda.

Marguerite zeszła po schodkach prowadzących na ulicę, oglądając się jeszcze raz na dom za jej plecami. Była roztrzęsiona po spotkaniu z Simonem Quinnem.

Ten człowiek był niebezpieczny.

Nie miała okazji dobrze mu się przyjrzeć w ogrodzie baronowej Orlindy. W powietrzu unosił się dym i musiała zabrać Lynette w bezpieczne miejsce. W jasnym świetle nienagannie urządzonego saloniku wyglądał oszalamiająco. Jego czarne jak atrament włosy i jasne, błękitne oczy wprowadzały mętlik w kobiecej głowie.

Przez lata spotkała wielu mężczyzn. Ale żaden nie miał takiego uroku jak Saint-Martin. Było w nich coś więcej niż sam przyciągający wygląd. Patrzyli na kobietę z taką intensywnością i zmysłowością, jakby nic poza nią się nie liczyło. Nic nie mogło odciągnąć ich uwagi. Obserwowali kobietę uważnie, aż zaczynała się zastanawiać, czy zachowują podobną atencję w sypialni.

Na niektórych kobietach takie zabiegi nie robiły wrażenia. Ale Marguerite nie należała do nich, a Lynette była zupełnie jak ona.

Westchnęła i podając dłoń stangretowi, wsiadła do powozu. Kiedyś była przekonana, że Lynette wyjdzie młodo za mąż. Podobnie jak Marguerite, Lynette lubiła mężczyzn i była z natury bardzo zmysłowa. Ale były do siebie znacznie bardziej podobne niż początkowo sądziła.

Podobnie jak kiedyś Marguerite zwlekała z wyborem męża, aż matka wybrała go za nią, tak i Lynette nie miała ochoty wybierać. Sądziła, że jej córka po prostu dobrze się bawi i się nie spieszy. Teraz podejrzewała, że Lynette szukała własnego Saint-Martina.

Mężczyzny, który zwałiby ją z nóg i zaspokoił pragnienia, do jakich żadna szanująca się dama nie powinna się przyznawać.

Niespokojna, przycisnęła rękę do brzucha ściśniętego gorsetem. Znała dobrze Lynette. Wiedziała, że pochopnie grożąc jej małżeństwem, które miałyby ją okiełznać, wywołała prawdziwą wojnę.

Lynette była zbyt zawzięta, uparta i pełna pasji, by zaakceptować czyjaś wolę bez walki. Gdyby pomyślała spokojnie, bez paniki, jaką wówczas czuła, nigdy nie posłużyłaby się taką groźbą. Teraz Lynette się zbuntuje. Była tego równie pewna, jak tego, że po zmierzchu następuje noc. Jedynym sposobem na zapewnienie córce bezpieczeństwa było pozbycie się pokusy. Dlatego zajęła się Quinnem od razu, zanim Lynette zdołała zrobić cokolwiek.

Teraz, gdy wprowadziła swój plan w życie, potrzebne jej były pieniądze. Do rana nie zdąży pozyskać odpowiedniej kwoty z funduszy de Greniera.

Była tylko jedna osoba, do której mogła się zwrócić z taką prośbą. To spotkanie wymagałoby od niej podstępu, kalkulacji i ogromnej siły.

– Dokąd, pani? – zapytał woźnica.

Roztrzęsiona Marguerite wzięła głęboki oddech.

– Zabierz nas do domu.

 Babka.

ROZDZIAŁ 11

Lynette z niecierpliwością oczekiwała dwie godziny od wyjścia matki i wymknęła się z domu.

Wicehrabina często po kłótni znikwała na jakiś czas. Lynette dobrze rozumiała to uczucie, odziedziczyła go po matce. Niestety, dziś ograniczono jej wolność. Ulgę przynosiło chodzenie w tę i w tę po pokoju i rozmyślanie o Simonie. Nieważne, jak to wszystko brzmiało. Wierzyła mu i musiała się z nim spotkać, musiała uprzedzić go, że jej rodzina może bardzo niepokojąco zareagować na to wszystko. Nie chciała, żeby ucierpiał z jej powodu.

I tak, gdy z powodu późnej godziny znacząco zmalowały szanse, że matka zechce z nią porozmawiać po powrocie, Lynette postanowiła spełnić swój zamiar i wymknąć się z domu.

Wepchnęła pod kołdrę poduchy, uformowała jedną ze swych peruk na kształt głowy. Ten fortel nie sprawdzi się, jeśli ktoś postanowi przyjrzeć się jej z bliska, ale oszuka oko patrzące na nią z progu drzwi. Wydawało się, że jest pogrążona we śnie, we własnym łóżku.

Schowana pod peleryną z kapturem, wyszła do tylnego ogrodu i skierowała się w dół alei. Tam czekał na nią stajenny, młody chłopak o imieniu Piotr, który służył jej rodzinie od lat. Zawsze była dla niego miła, przynosiła mu słodczyce i smakołyki, gdy tylko było to możliwe. Specjalnie go faworyzowała, dzięki czemu często jej pomagał w niecznych występkach. Dziś przyniósł bryczesy, męską pelerynę i trójgraniasty kapelusz. Przebrała się w pustej stajni, po czym spotkała się z nim na zewnątrz.

Podał Lynette lejce osiodłanego wierzchowca, a sam wsiadł na innego, by towarzyszyć jej jak zawsze. Był dobrze wyszkolonym strzelcem, jak zresztą wszyscy mężczyźni służący u rodziny de Grenier. Lynette cały czas pamiętała przestrożę Simona, co groziło jej, gdyby ktoś wziął ją za Lysette Rousseau. Dziewczyna i stajenny wyglądali teraz jak dwóch młodzieńców na koniach.

Rytmiczny stukot końskich kopyt wprowadził ją w zadumę. Noc była ciemna, księżyc wyglądał zza chmur. Lekki wiatr przewiewał jej pelerynę, chłodząc rozgrzane z przejęcia ciało.

Czy Simon będzie w domu? A może wyszedł? Może nie był sam...

Co powie, jeśli akurat będzie zabawiał gościa? Kobietę.

Lynette powoli wzięła głęboki oddech, starając się uspokoić rozkołatane serce. Jej sylwetka w czasie jazdy – opuszczone ramiona i głowa – potęgowała jedynie wrażenie, że spada w przepaść. Nie należała do kobiet, które stchórzyłyby w trudnej sytuacji, ale teraz wyraźnie się bała.

Bała się, że zostanie rozpoznana, że Simon będzie zajęty lub że go nie zastanie. Bała się, że rodzice nigdy jej nie wybaczą takiego nieposłuszeństwa.

Nie zawróciła. Pragnienie, by znowu z nim być było silniejsze niż strach. Potrafił ukoić ją, jednocześnie przywracając jej dawny spokój ducha. Ducha utraconego w chwili śmierci Lysette. Przy nim czuła się znowu sobą. Wolna od pozorów i wybiegów. Wolna od potrzeby zachowania powściągliwych manier.

Nie burzyć równowagi. Nie dawać rodzicom powodów do zamartwiania się i żalu po utracie tej dobrej i cichej córki, zamiast tej nieposkromionej.

Lynette zatrzymała wierzchowca przed domem Simona. Nie była pewna, jak znalazła się przed jego drzwiami, ani dlaczego miała oddech tak ciężki, jakby przebiegła całą drogę do niego. Kręciło jej się w głowie. Była dezorientowana. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, pragnęła wesprzeć się na jego ramieniu.

Zamrugła oczami i ujrzała przed sobą krępego kamerdynera o młodzieńczych rysach, któremu peruka nie dodawała wiele powagi. Jediną oznaką zaskoczenia na widok jej w męskim stroju, była uniesiona brew. Bez słowa wpuścił ją do środka i zamknął za nią drzwi.

– *Mademoiselle* – powiedział głosem dochodzącym jakby z oddali z powodu pulsującej w jej uszach krwi. – Czy mogę wziąć od pani pelerynę i kapelusz?

Podawała mu kapelusz, ale trzymała grubą tkaninę niczym tarczę.

– Muszę panią ostrzec, *mademoiselle*, że panu Quinnowi nie dopisuje dziś dobry nastrój.

– Czy jest sam? – zapytała szeptem, ośmielona serdecznością jego spojrzenia.

– W rezydencji zatrzymał się gość, ale jego lordowska mość jest obecnie zajęta. – Gestem ręki wskazał jej drogę. – Zechce pani poczekać w saloniku, a ja powiadomię pana Quinna o pani przybyciu.

– Chciałabym sama go o tym poinformować.

Obawiała się, że jeśli zostanie na dole, Simon ją odprawi.

Ale wiedziała też, co się stanie, gdy wejdzie na górę.

Kamerdyner też to wiedział, jeżeli dobrze odczytała rumieniec na jego policzkach. Lekko skinął głową.

– Drugie drzwi po prawej – powiedział cicho. – Zaprowadzę pani sługę do kuchni.

– Dziękuję.

Trzymając się barierki mocno, aż pobiełały jej kłykcie, Lynette weszła powoli po schodach. Musiała uważać na każdy krok, tak drżały jej kolana. Gdy doszła na piętro, zawahała się. Korytarz był słabo oświetlony. Jedyne dwa stożkowe kinkiety dawały trochę światła. Chociaż wystrój był zupełnie inny, przypomniały jej się wnętrza rezydencji Orlanda. Krew w niej zawrzała na to wspomnienie.

Strumień światła wydostawał się zza dwóch par drzwi, jednych po prawej i jednych po lewej. Przechodziła koło pierwszych drzwi, gdy jej uszu dobiegły głosy. Nerwy miała już i tak napięte do granic wytrzymałości. Nie wiedziała, jak podola przypadkowemu spotkaniu z kimkolwiek w tej sytuacji.

Zamarła w obawie przed zdemaskowaniem. Na szczęście rozmowa zyskała na żywiołowości, uniemożliwiając jej uczestnikom usłyszenie jej kroków. Już miała iść dalej, gdy nagle rozmowa urwała się i usłyszała wyraźne skrzypnięcie łóżka. Przygryzła wargi, pozostając w bezruchu.

Rozległ się gardłowy śmiech kobiety, do którego dołączył męski głos.

Kojący baryton stał się bardziej głęboki, przymilny. Kobieta wymruczała słowa, które spotkały się z wyraźnym zadowoleniem... po czym rozpoczęło się rytmiczne dudnienie dobiegające zza ściany. Silne, jednostajne, niekończące się.

Seks.

Lynette zabrakło powietrza w płucach. Ręka powędrowała do szyi, a na czoło wstąpił pot. Nie mogła przestać słuchać. Oparła się o ścianę, drugą rękę zaciskała na materiale peleryny. Zacisnęła uda, by przynieść ulgę narastającemu pulsowaniu i zagryzła wargi, gdy jęki uniesienia stały się głośniejsze i niosły się teraz swobodnie po całym korytarzu.

Nie miała pojęcia, jak długo tak stała. Wiedziała tylko, że jej zmysły były rozszalałe. Skóra zbyt rozpalona, usta zbyt suche, piersi zbyt nabrzmiałe i obolałe.

Drzwi po prawej stronie otworzyły się, wlewając snop światła na korytarz. Lynette wyprostowała się na widok Simona z ponurą miną. Miał na sobie tylko bryczesy. Były rozwiązane, ukazując trójkątny fragment kuszącej, śniadej skóry i kępkę ciemnych włosów wystającą zza materiału... tuż nad długim i grubym dowodem jego podniecenia. Brzuch miał mocno umięśniony,

a zaciśnięte pięści napinały potężne bicepsy. Rozpuszczone hebanowe włosy luźno leżały na muskularnych ramionach.

Nigdy nie widziała czegoś równie dzikiego i pięknego.

Nigdy też niczego bardziej nie pragnęła.

Simon zatrzymał się w pół kroku, przyglądając jej się bez mrugnienia okiem. Tempo jego oddechu zmieniło się równie nagle jak jego nastrój. Wściekłość wyparła żądza tak paląca, że niemal czuła, jak parzy.

– Simon – szepnęła, wyciągając do niego rękę.

Dwa ruchy wystarczyły, żeby porwał ją w ramiona, przyciskając mocno do piersi. Rękoma objęła go za szyję, przycisnęła biust do jego piersi, a usta do szyi. Pachniał tytoniem, brandy i piżmem. Zapach ten w końcu ukoił w niej niepokój. Czuła, że jest dokładnie tam, gdzie powinna być. W ramionach Simona. Pozostała bezwładna w jego uścisku, przytulając się do niego, gdy niósł ją do swej alkowy, kopniakiem zamykając za sobą drzwi.

Potrzebuję cię, chciała powiedzieć, ale słowa uwięzły jej w ściśniętym gardle.

Simon wiedział. Był jej głodny. Oczy błyszczały mu gorączkowo w jasnym blasku licznych świec. Postawił ją przy łóżku i odwiązał rzemyk pod szyją. Peleryna opadła na podłogę.

– W co ty, u diabła, jesteś ubrana? – wypalił.

– To przebranie.

– Chryste. – Zacisnął szczękę. – Odwróć się.

Ściągnęła brwi, ale zrobiła, jak kazał. Podskoczyła, gdy dotknął jej pośladków i je ścisnął.

– Czy wiesz, jak działa na mnie widok ciebie tak spragnionej różnięcia? – zapytał obcesowo. – Do tego ten strój, który podkreśla wszystkie twoje krągłości.

Podnieciło ją, jak do niej mówił. Nie podejrzewała siebie o to.

Odwróciła się do niego.

– Czy to podobne działanie, jak to ma na mnie? – Dotknęła dłonią jego pępka i przesunęła ją niżej, aż do miejsca schowanego w bryczesach.

Chwycił jej dłoń i ścisnął lekko.

– Dlaczego przyszłaś?

Uśmiechnęła się.

– Czy zepsuję nastrój, mówiąc, że z egoizmu?

– Nie.

– Moja matka twierdzi, że małżeństwo mnie utemperuje. Jeśli to prawda, chcę teraz zaznać przyjemności.

Wraz z narastającym napięciem mięśnie jego klatki piersiowej stały się twarde jak kamień. Był po prostu piękny. Nie piękny, jak elegancki posąg, ale jak mężczyzna, który przeżył dzięki nieposkromionej sile fizycznej.

– Była dziś u mnie – wycedził, ujmując jej biodra i przyciągając ją bliżej do siebie. – Zaproponowała mi sowitą zapłatę, jeśli wyjadę.

Kłóciły się w nim oburzenie i głęboki smutek.

– I co odpowiedziałeś?

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Powiedziałem, że się zastanowię.

Poczuła w piersi nagły ostry ból. Wzięła gwałtowny wdech, ale nie odsunęła się od niego. Może była naiwna, ale nie wierzyła, że mężczyzna, który tak na nią patrzy, nic do niej nie czuje.

– Dlaczego?

– Moje aktywa zostały zamrożone. Nie mogę wyjechać na własny koszt. Nie stać mnie na to.

– A musisz wyjeżdżać?

– Dla twojego dobra. – Przytulił policzek do jej skroni. – Wyjechałbym.

– Wyjechałbyś? – wyszeptwała. Gładziła palcami jego plecy i czuła, jak napina się i drży za sprawą jej dotyku. Jak niespokojny ogier.

– Teraz nie muszę już wyjeżdżać. Zabiorę ci dziewictwo w ciągu najbliższej godziny.

Rozwiązał jej koszulę pod szyją, dysząc gorącym wilgotnym oddechem, który czuła na czole. Dziwnie podniecające pierwotne doznanie.

– Obawiam się, że do rana z twojej niewinności nic nie zostanie – wymruczał.

Zapolewał, chwycił swoją ofiarę i szykował się na ucztę.

Zadrżała, była więcej niż gotowa. Więcej niż chętna.

– Ja wcale się nie boję.

Znieruchomiał. Emanowała z niego surowa, zaborcza energia. Czuła ją w ruchu jego niespokojnych palców. Słyszała ją w wytężonej pracy jego serca. Bijący od niego zapach żądy.

Lynette zaoferowała mu swoje usta, a on wziął je we władanie, przyciskając do nich swe wargi. Wsunął w nią język głęboko, wzbudzając w niej pożądanie.

Potem ujął jej piersi w dłonie. Jego ręce dzieliła od jej skóry jedynie cienka tkanina bluzki.

Nagle chwycił ją w ramiona i położył na łóżku.

– Simon? – zapytała, gdy niespodziewanie znalazła się pod nim.

– Za każdym razem, gdy patrzysz na mnie, prosisz się, bym cię wziął. – Przykucnął między jej rozłożonymi nogami i zaczął rozsznurowywać buty. – Doprowadzasz mnie na skraj obłąkania. Ale koniec z tym. Chyba że chcesz, żebym wszedł w ciebie, jeszcze zanim cię do końca rozbiorę.

Nawet niedoświadczona Lynette wiedziała, że nie jest to właściwa kolejność. Była z mężczyzną o niespotykanym apetycie i umiejętnościach. Świadomość tego sprawiała, że czuła się, jakby była na krawędzi oczekiwania; ostrej i niebezpiecznej.

Gdy zdjął już jej buty, na skórze Lynette pojawiła się gęsia skórka. Simon musiał to zauważyć, bo przerwał na chwilę i pogładził ją uspokajająco po łydkach. Głaskał i masował, przesuwając

dłonie w dół, do jej odzianych w pończochy stóp. Uciskał jej ciało kciukami, a jego zmysłowy dotyk ją podniecił.

Zajęczała i zamknęła oczy z rozkoszy.

Pocałował ją w grzbiet stopy i wstał, sięgając do rzemyków jej bryczesów.

Teraz doszły do głosu pozostałe zmysły. Dźwięk strzelającego drewna w kominku i docierające z korytarza odgłosy cielesnej przyjemności były teraz wyraźniejsze. Potęgowały jeszcze wrażenie oparów zmysłowości, które ją otulały. Pościel pachniała Simonem, czysty męski zapach. Przekręciła głowę, przytknęła nos do tkaniny i go wchłonęła.

– Chcę poczuć twój zapach na mojej skórze – wyszeptała, wpijając palce w pościel, gdy gładził ją po brzuchu.

Simon zbyt mocno pociągnął za pas bryczesów i usłyszała trzask rozrywanego materiału. Uśmiechnęła się.

– Trzymaj się mocno – nakazał. Włożył jej ręce pod plecy i ją podniósł. Chwyliła go za ramiona i mocno trzymała, oddychając niespokojnie, pod wrażeniem nagłej brutalności jego ruchów. Postawił ją i z wprawą rozebrał.

Bryczesy opadły jej do kostek po zaledwie jednym ruchu jego ręki. Koszula wymagała odrobinę zachodu, ale niewiele więcej. Następnie ściągnął jej przez głowę koszulkę. Teraz miała na sobie jedynie pończochy.

Czuła, że to i tak za wiele.

Simon uniósł ją w górę, stopami nie dotykała ziemi.

Lynette odchyliła głowę i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Starła się oswoić z całkiem nowymi doznaniem: dotykiem szorstkiego owłosienia i wilgotnej skóry do jej nagiej piersi, muśnięciami powietrza o nagie pośladki i ramionami mężczyzny oplatającymi jej gołe plecy.

Rysy twarzy miał nadal wyostrome i spięte z pożądania. Może powinna się obawiać braku delikatności, ale nie wzbudzał w niej

łęku. Lynette wiedziała, jak tylko kobieta może wiedzieć, że jedyne, co w tej chwili miało dla niego znaczenie, to ona.

Simon podszedł do łóżka i położył ją z powrotem. Stał nad nią, pożerając ją wzrokiem. Podążył dłońmi za oczami i rozcierał ślady, które zostawiła na jej ciele ciasna koszulka. Jego dotyk był rozgrzewający, wypełnił bolesnym pragnieniem jej klatkę piersiową. Nie był uwodzicielski, ale uspokajający. Zapewniał, że była piękna nawet z tymi śladami.

Lynette starała się nie zamykać oczu, walcząc z chęcią poddania się i poczuciem bezbronności. Jej ciało nie należało do niej. Płonęło i wilo się do niego. Wszelkie próby uzyskania nad nim kontroli, przywiązania go do siebie były daremne.

– Takie piękne piersi – powiedział z zachwytem. Jego dłonie pieściły jej bujne kształty, palce muskały sterczące sutki. – Takie cudne.

Simon przywarł do niej, wciskając ją w materac. Zasłona hebanowych włosów pieściła jej rozgrzane ciało niczym jedwab. Gorący oddech drażnił wrażliwy wzgórek. Sutki stwardniały jej jeszcze bardziej, błagając o więcej.

– Simon – wyszeptła. Był niczym namiętne zwierzę. Skupiony całkowicie na niej. – Proszę.

Spojrzał na nią, a w jego oczach błyszczało rozbawienie i determinacja.

– Jeszcze nie.

– Proszę!

Poczuła liźnięcie szorstkiego języka. Wygięła ciało w łuk, unosząc je błagalnie do góry.

– Tego chcesz? – zapytał uwodzicielsko.

Lynette potrząsnęła głową.

– To boli, Simon.

Słyszając to, odpuścił nieznacznie. Na jego twarzy malowała się czułość. Otworzył usta, piękne białe zęby delikatnie uszczypnęły ją, zanim przywarł do niej wargami.

– Tak – wyjęczała, prężąc się do góry.

Jedną ręką pieścił jej piersi, drugą wsunął pod jej biodro, lekko ją przytrzymując. Podniósł głowę i spojrzął na nią.

– Nie ruszaj się.

– Pragnę cię.

Uśmiechnął się powoli, a uśmiech ten wywołał bolesny skurcz podniecenia w podbrzuszu.

– Wiem.

Jego palce mierzwiły jasne kędziorki na jej wżgórku łonowym. Lynette zapało dech w piersiach. Śmiałe palce rozchyliły tę delikatną zasłonę i dotknęły punktu słodkiej przyjemności. Odruchowo rozsunęła nogi w bezwstydnym, zachęcającym geście.

– Taka gorąca i mokra. – Simon oblizwał usta. Jęczała, gdy jego palce odkrywały każdy zakamarek rozpalonej kobiecości. Czowała, że jej wąskie wejście pulsuje, napręża się i staje się coraz bardziej wilgotne.

Masował ten ciasny przesmyk okrężnymi ruchami, aż koniuszek jego palca wdarł się nieznacznie do środka. Jej ciało zacisnęło się na nim wygłodniałe, wciągając go głębiej.

– Dobry Boże – wymruczał – jesteś taka ciasna i zachłanna.

– Weź mnie – błagała, przeżywając prawdziwą torturę frustracji i desperackiego pożądania. Wyciągnęła dłoń, wsadzając palce w jego gęste, jedwabiste włosy, przyciągnęła go do siebie.

– Jeszcze nie. – Irlandzki zaśpiew w jego głosie był teraz znacznie wyraźniejszy.

Uwielbiała to. Zresztą, uwielbiała w nim wszystko. Poza tymi dwoma słowami.

– Już nie zniosę tego dłużej. – Jej ciało drżało z napięcia i oczekiwania.

– Zniesiesz o wiele więcej, *thiasce*. – Na jego ustach pojawił się łobuzerski uśmiech, zanim znowu zaczęły pieścić jej piersi.

– *Thiasce*. – Oczy zaszklily jej się, gdy usłyszała to słowo. – Co to znaczy?

– Mój skarb. – Objął mokrymi, gorącymi ustami jej obolały sutek. Wila się, zdobyta jego czułym wyzwaniem i nagłym przyplywem rozkoszy, wywołanym jego ssaniem.

Dokładnie tego potrzebowała, tego pragnęło. To dla tej chwili przeciwstawiła się rodzinie i zaryzykowała swoją przyszłość. Dotąd tylko Simon wywoływał w niej takie emocje – ślepe zaufanie i niekontrolowane pożądanie. Krążył językiem wokół twardego wzgórka, przyciskając do niego wargi. Policzki zapadały mu się za każdym razem, gdy zasysał jej sutek. Podążał niewidzialnym szlakiem w dół jej łona, masując ją ustami w rytmie pieszczot. Dłoń, którą pieścił ją między nogami, nagle wsunęła w nią palec aż po pierwszy kłykieć. Poczuła, że jej ciało rozciąga się, płonąc i przyprowadzając ją o poty.

– Simon!

Przesunął się, całując ją w usta. Kciukiem pocierał o wrażliwy wzgórek, tuż nad miejscem, gdzie w nią wszedł. Przeszyła ją nagle fala rozkoszy, biegnąc wzdłuż kręgosłupa, by wydostać się głośnym jękiem z ust. Jej kobiecość pulsowała rytmicznie, zaciskając się i rozkurczając niczym pięść. Stała się bardzo mokra, co ułatwiło głębszą penetrację jego palcom.

Pęknięcie jej błony dziewiczej było ledwie lekkim ukłuciem, w porównaniu do gwałtowności jej pierwszego szczytowania. Zdawało się, że na nim wywarło to jeszcze większe wrażenie niż na niej. Jęknął głośniejsz niż ona, a jego potężnym ciałem wstrząsnął dreszcz. Pocałunki stały się szybsze i bardziej żarliwe. Pchnięcia palcem łagodniejsze delikatnie traktowały wrażliwe tkanki jej naruszonej kobiecości.

– Lynette – powiedział, urywającym się głosem. – Wybacz.

Objęła go ramionami i przyciągnęła mocniej do siebie. Przycisnęła swój mokry od łez policzek mocno do jego policzka.

– Chciałam tego, *mon amour*. Chciałam cię całego, ile tylko zechciałbyś mi dać. Nieważne na jak długo.

Leżał na niej ciężko jeszcze przez kilka chwil, wyjął z niej palce. Teraz jego głos zabrzmiał szorstko i zachłannie.

– Musisz być wyżej.

Chciała mu pomóc, trzymając się go kurczowo, walcząc z ociężałymi mięśniami. Uniósł ją, oparł kolano o materac, potem drugie i przesunął w górę łóżka. Położył ją wśród licznych poduszek. Usiadł na kolanach, ręce złożył na udach i bacznie się jej przyglądał. Rozłożyła ręce w zachęcającym geście. Jakby na to czekał.

Podniósł się na kolana i zaczął rozpinać bryczesy. Jej wzrok powędrował ku kuszącemu trójkątowi.

Wyszło jej w ustach.

Pod materiałem rysował się potężny członek w erekcji. Jego gruby czubek wystawał ze spodni, skierowany ku pępкови.

Wiedziała, że na zawsze zapamięta ten widok: jego szeroko rozstawione kolana, ciemne włosy opadające na silne ramiona, umięśniony brzuch błyszczący od potu i twardy, nabrzmiały członek sterczący do góry. Zwilżyła językiem suche usta. Zamruczał groźnie.

Chwilę później bryczesy zsunęły się do kolan. Simon przekręcił się na plecy i zrzucił je z siebie. Cudownie nagi i imponująco podniecony wspiął się na nią.

Nie czuła się już ospale. Znowu miała na niego straszliwą ochotę. A on doskonale o tym wiedział. Delikatny uśmiech złagodził jego napięte rysy. Ten nieznaczny ruch jego ponętnych ust i przebłysk czułości w oczach jeszcze bardziej poruszył jej serce.

Udami rozchylił jej nogi szerzej. Oparł się ręką o materac tuż obok jej ramienia. Jego biceps pracował mu z wysiłku, utrzymując nad nią potężny tors. Drugą ręką sięgnął między nich, chwycił ciężkiego penisa i wprowadził jego czubek w jej ciasne wejście.

Zalało ją gorąco, a ciało zaczęło się wić i napręzać. Oparł drugą rękę na materacu. Teraz dotykał jej tylko udami i szeroką główką członka. Była gładka jak jedwab i rozpalona.

Lynette wbiła palce w jego ramiona, gdy w końcu pchnął biodrami i wszedł w nią. Odchyliła głowę i zamknęła oczy. Dysząc ciężko, wczepiła się w niego mocno, przekonana, że zaraz postrada zmysły z nadmiaru doznań.

Zapach, jego zapach, był teraz jeszcze bardziej intensywny, otulał ją i wypełniał umysł z każdym wdechem. Pocieranie szorstkich włosów jego klatki piersiowej i nóg o jej skórę był niezwykle podniecający. Podkreślał różnicę między ich ciałami – jego szorstkość przeciw jej gładkości, jego siła przeciw jej delikatności, jego rozmiar wobec jej.

– Cudownie – zamruczał. – Dobry Boże, jesteś taka mokra i ciasna.

– Simon... proszę... – Próbowwała unieść biodra, by przyjąć go głębiej i szybciej. Przytrzymał ją jednak, zmuszając, by dostosowała się do jego tempa i krótkich, zdecydowanych pchnięć penisa. Wchodził i wychodził z niej, pozwalając jej ciału oswoić się z pierwszym mężczyzną, który je zdobył. Ale ona nie mogła czekać. Za chwilę zwariuje, była tego pewna.

– Wspaniale – pochwalił ją, gdy zacieśniła uścisk wokół niego. Jego biodra wykonywały wprawne ruchy. Wchodził w nią coraz głębiej i głębiej. Potem ujął w dłonie jej twarz. – Patrz na mnie.

Lynette zmusiła się do wysiłku i podniosła ciężkie powieki. Wyglądał odurzająco – oczy błyszczały mu głębokim błękitem, policzki były zaróżowione, włosy falowały w rytm ruchów.

– Głębiej – wyjęczała, wczepiając się w niego.

– Wkrótce...

– Simon... Błagam...

Nie dał się ponaglać i kontynuował swoje spokojne ruchy jeszcze przez chwilę. W końcu zrobił się wielki i nabrzmiały do granic możliwości. Czowała każde uderzenie jego serca, każdą pulsującą żyłę, każde napięcie mięśni. Była to najbardziej pierwotna, najbardziej prymitywna dominacja. Wypełniał ją całkowicie, tak bardzo naciągając, aż nie mogła się ruszyć.

– Nareszcie jestem tam, gdzie pragnąłem być od chwili, gdy cię ujrzałem. – Przytrzymał jej ręce swoimi, palce splełli na materacu. Potem wysunął się z niej aż po czubek, by wejść ponownie powoli i głęboko. Pocieranie sprawiło, że podciągnęła palce u stóp. Jego czubek drażnił w niej zakończenia nerwów, o których istnieniu nie miała nawet pojęcia. Nie mogła uwierzyć, że dopasowała się do niego, że on się w niej zmieścił. Ale pasowali do siebie idealnie, mimo jej niedoświadczonego ciała.

Pracował biodrami bez wysiłku, ze spokojem i wprawą. Jego pewne ruchy dawały niezmaczoną rozkosz. Obserwował ją bacznie, niczym jastrzęb, wypatrując każdego jęku rozkoszy, upewniając się, że może nadal pieścić najczulsze miejsca. Mimo upojenia, które tak wprawnie jej zapewniał, widziała jego skupienie. To dlatego tak go pragnęła. Dlatego do niego przyszła, płacąc za to wysoką cenę. Chciała być zaspokojona w ten sposób. Chciała być w centrum uwagi doświadczonego kochanka. Chciała, żeby pieścił ją z oddaniem mężczyzna, którego uwielbiała.

Simon z rozmysłem odciskał ślad na jej ciele, gwarantując, że na zawsze zapamięta jego dotyk, zapach i jak to było czuć go w sobie. Na zawsze. Świadomość ulotności tej chwili wznagała tylko determinację.

Jej ciało pokryło się potem, a zmierzwione jasne pasma włosów okleiły twarz i policzki. Wiła się i prężyła pod nim, ruszając niespokojnie głową, gdy ujeżdżał ją z wystudiowaną przyjemnością. Wysuwał się z niej po sam czubek i wracał. Głęboko i mocno. Z każdą chwilą jej podniecenie rosło. Powolna, rozkoszna, dręcząca droga do szczytowania.

Owinęła nogi wokół jego bioder, przyciskając go do siebie. Chciała w ten sposób przyspieszyć ruchy jego bioder, żeby były tak szybkie i gwałtowane, jak odgłosy dobiegające z sypialni jego gości. Ale nie dawała mu rady, był zbyt silny. Nie mogła go przesunąć czy zmusić do zmiany ruchu. Zaśmiał się rozbawiony jej daremnymi próbami i gorącym językiem zaczął pieścić jej sutki.

Gdy w końcu nadszedł wyczekiwany orgazm, było to upojne doznanie. Po długim budowaniu napięcia nastąpił gwałtowny wstrząs, który przeszył jej ciało. Rozgrzane tkanki mocno zacisnęły się na nabrzmiałym członku, a łono pulsowało spazmatycznymi skurczami ulgi. Gwałtowny dreszcz wstrząsnął jej ciałem. Z piersi wyrwał się krzyk niosący jego imię.

– Tak – wyszeptaly usta Simona do jej ucha. – Rozpłyn się dla mnie, *a thiasce*. Wpuść mnie jeszcze.

I tak zrobiła. Czując, jak jej ciało mięknie, by lepiej go przyjąć. Przedłużał jeszcze rozkosz, aż do chwili, gdy myślała, że straci zmysły od uzależniających pchnięć jego członka. Przedłużał słodką mękę, aż nie mogła złapać tchu z ekstazy.

Dopiero, gdy wyczerpana szeroko rozłożyła bezwładne nogi, Simon zadbał o własną przyjemność, wchodząc w nią mocnymi, szybkimi ruchami, niemal zbyt mocnymi po przeżytych orgazmach. Szeptał jej lubieżne komplementy do ucha, zachwycając się jej zapachem, uczuciem bycia w niej i jej całkowitą uległością.

– Dla ciebie – odparła, splatając palce ich dłoni. – Tylko dla ciebie.

Następnie wyszedł z niej, uklękął i wziąwszy penisa w dłoń, oblał jej brzuch nasieniem, wytryskującym długimi, miękkimi pasmami. Z jego piersi wydobył się gardłowy krzyk. Gwałtowność jego orgazmu wprawiała ją w osłupienie.

To ona mu to zrobiła, to ona do tego doprowadziła. Ale nawet dochodząc, nadal myślał o niej i ją chronił.

Gdy skończył, zwiesił głowę. Twarz zasłaniały mu włosy. Klatka piersiowa unosiła się i opadała, gdy łączywie łykał powietrze. Ogięty zdyszany po długiej i trudnej jeździe.

Lynette nie mogła mówić. Miała sucho w ustach, a ciało drżało ze zmęczenia. Wstał z łóżka. Wyciągnęła do niego dłoń, a on z uczuciem pocałował koniuszki jej palców. Jego ciemne spojrzenie było pełne emocji.

Poszedł za parawan stojący w rogu. Usłyszała chlust wody i wyzymanie ręcznika. Gdy wyszedł, miał wilgotną twarz i włosy, lśniącą klatkę. Jego ruchy były rozluźnione i uwodzicielskie. Bezwstydnie nagi, z lekki wzwodem. Przysiadł na łóżku obok niej, uśmiechnął się i położył zimny, mokry ręcznik na jej brzuchu.

– Och! – stęknęła, podskakując zaskoczona. – To perfidne.

Rzeźkie zimno w zetknięciu z jej rozgrzaną skórą przyniosło lekkie ożywienie. Ale poczuła się jeszcze lepiej, gdy wypila podaną przez niego szklankę wody.

– Dziękuję – wymruczała, oddając mu naczynie.

Simon zdjął ręcznik i przetarł jej lepką skórę, wycierając nasienie i łagodząc wrażliwą skórę jej łona. Jego dotyk był pełen szacunku, a w spojrzeniu czaiło się coś na kształt wdzięczności.

– Jesteś bardzo milczący – powiedziała, gdy odłożył ręcznik. – Nie masz mi nic do powiedzenia?

Zatrzymał się, oddychając ciężko. Gardło z trudem przełykało ślinę, a w ramionach można było dostrzec napięcie. Im dłużej to trwało, tym większe było jej uwielbienie dla niego. Żadnych utartych frazesów, żadnych sztuczek. Nic, co mogłoby odebrać wyjątkowość tej chwili.

– Czy to możliwe – zastanawiała się, stukając palcem o brodę – że Simon Quinn, sławny kochanek, zaniemówił z powodu dziewczicy?

Głośny, męski śmiech rozniósł się po pokoju, uspokajając jej serce. Pochylił się i pocałował ją w czubek nosa.

– Czarownica.

Uśmiechnęła się i wciągnęła go z powrotem do łóżka.

ROZDZIAŁ 12

Marguerite szła do górnego saloniku w domu Solange, ściskając nerwowo spocone dłonie. Była zdenerwowana jak nigdy przedtem.

Wróciła od Quinna i godzinami walczyła ze sobą, pragnąc przeprosić córkę. Wiedziała jednak, że jako matka musi podjąć drastyczne kroki, gdy to konieczne. Nienawidziła tych machinacji i gróźb pod adresem Lynette. Wiedziała, jak to jest, gdy własna matka grozi córce przymuszeniem do małżeństwa.

Ona i Lynette były do siebie zbyt podobne, a teraz jeszcze ich losy układały się w taki sam sposób. Wiedząc, jakie są tego konsekwencje, Marguerite nie mogła na to pozwolić.

Solange wyszła z kochankiem do teatru, a Lynette spała tak jak i większość służby. Dom był pogrążony w nocnej ciszy. Wszechobecny spokój tylko wzmagił jej zdenerwowanie.

Jak można spotkać się z raz utraconym ukochanym, by zaraz stracić go ponownie?

Do tego z każdą chwilą coraz bardziej bała się, że on w ogóle się nie pojawi. Czy uważał, że go zdradziła? Czyż nie wiedział, że odeszła, by go chronić?

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi, które na tle błogiej ciszy panującej wokół zabrzmiało, jakby dochodziło bezpośrednio z jej napiętych do granic nerwów. Podskoczyła i chciała coś powiedzieć, ale okazało się, że głos uwiądnął jej w wysuszonym gardle. Podniosła do ust kieliszek z sherry i upiła łyk.

– Wejść! – powiedziała.

Głos miała niski, gardłowy po przełknięciu alkoholu. Drzwi otworzyły się i najpierw weszła pokojówka, dygnęła i usunęła się, żeby wprowadzić gościa. W drzwiach stanął Philippe.

Marguerite uniosła dłoń i przycisnęła ją do serca. Zmysły oszalały pod napływem emocji.

Mon Dieu, nadal wyglądał idealnie. Ciało szczupłe, a rysy, dotknięte upływającym czasem, bardziej szlachetne. Nawet siwe kosmyki na skroniach doskonale komponowały się ze złotym odcieniem jego włosów – tylko uwydatniały ich kolor.

Spojrzał na pokojówkę i odesłał ją gestem dłoni. Wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Stał bez ruchu jeszcze przez chwilę, równie uważnie przyglądając się Marguerite. Chłonał jej widok z tym samym wygłodniałym spojrzeniem, odnotowując każdą zmianę w jej wyglądzie. Nadal ją kochał, a świadomość jego miłości uderzyła ją w samo serce, niemal odbierając jej powietrze.

– *Mon coeur* – powiedział, kłaniając się. – Wybacz spóźnienie, ale musiałem się upewnić, że nikt mnie nie śledził.

Philippe miał na sobie wyszukany strój do jazdy konnej: brązowe bryczesy opinające potężne kształty i granatową marynarkę. Na wysokości pasa, niczym tarczę, trzymał obiema dłońmi kapelusz.

– Dobrze wyglądasz – udało jej się wydusić. Drżącą dłonią wskazała mu miejsce na otomanie.

– Pozory, obawiam się. – Usiadł naprzeciw niej, dopiero gdy ona zajęła miejsce. – Ale ty wyglądasz olśniewająco. Jeszcze piękniej niż w czasach, gdy byłaś moja.

– Nadal jestem twoja – wyszeptała.

– Czy jesteś szczęśliwa?

– Nie jestem nieszczęśliwa.

Kiwnął głową ze zrozumieniem.

– A ty? – zapytała.

– Trwam przy życiu.

Nie żył pełnią życia. Pękało jej serce, a łza spłynęła po policzku.

– Żałujesz, że się w ogóle spotkaliśmy?

– Nie mógłbym tego żałować – odparł stanowczo. – Byłaś jedynym światłem mojego życia.

Czuła to samo i zobaczył to w jej oczach.

– Co za ironia – powiedział miękko – że wstąpiłem do *Secret du Roi*, by moje życie miało sens. Zamiast tego straciłem jedyną radość w życiu. Gdybym tylko na ciebie poczekał. Jakże inne byłoby teraz nasze życie.

– Twoja żona...

– Umarła. – W jego głosie pojawił się cień smutku.

– Wiem. – Spadła z konia. Zbyt wiele było dramatów i tragedii w ich życiu. Być może była to kara za ich występki. – Przyjmij moje najserdeczniejsze wyrazy współczucia.

– Zawsze byłaś serdeczna – powiedział z ciepłym uśmiechem. – Wyjechała wtedy z kochankiem. Mam nadzieję, że była szczęśliwa.

– Również mam taką nadzieję. – Mam nadzieję, że ty byłeś szczęśliwy. Ale tego już nie odważyła się powiedzieć na głos. Nic już nie mogli poradzić, marząc o rzeczach, które mogły się kiedyś wydarzyć.

– Masz dwie córki.

– Teraz już tylko jedną. Drugą straciłam dwa lata temu.

Marguerite westchnęła ciężko.

– To przez wzgląd na nie poprosiłam, żebyś dziś przyszedł.

Na jego twarzy dostrzegła smutek i zrozumiała, że liczył na inny powód ich spotkania. Był rozsądnym mężczyzną i wiedział, że spotkanie w innym celu byłoby dla nich tylko torturą, lecz mimo to i tak tego pragnął. Rozumiała go. Jakaś część jej chciała, by ją uwiódł, oboje wiedzieli, że to by mu się udało. Wzbudziłby w niej żądę tak potężną, że zagłuszyłaby głos rozsądku i sumienia.

– Dostaniesz wszystko, czego potrzebujesz, jeśli tylko będę w stanie ci to dać.

– Moja starsza córka poznała tu mężczyznę, Simona Quinna. Słyszałeś o nim?

– Nie przypominam sobie.

– Jakimś sposobem udało mu się przekonać ją, że w Paryżu znajduje się kobieta o identycznym wyglądzie jak ona i jej siostra bliźniaczka, i w dodatku nosi imię jej siostry, Lysette.

– Jaki miał ku temu cel?

– Sądzę, że pieniądze. – Nerwowo wygładziła palcami muśliny sukni. – Poszłam dziś do niego i zaoferowałam dowolne środki, za które gotów byłby wyjechać i nigdy nie wracać. Nie odrzucił mojej propozycji.

– Czasem cieszę się, że mam tylko synów, a żadnych córek. Obawiam się, że nie najlepiej znosiłbym łowców posagów.

Marguerite poczuła ucisk w żołądku.

– Dla mnie to pierwszozna. I teraz nie wiem, jak dalej pokirować tą sprawą. Muszę chronić Lynette, ale nie chcę jej stracić.

– Podziwiam twoją odwagę do stawienia czoła temu mężczyźnie. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Czy mógłbyś zdobyć informacje na jego temat? Dlaczego akurat moja córka? Wygląda na zamożnego człowieka. Wyznał też Lynette, że był angielskim szpiegiem. De Grenier wspomaga króla jedynie marginalnie. Rezydujemy w Polsce, nie ukrywamy swojej tożsamości. Co chciał zyskać, nawiązując relację z moją córką?

– Czy istnieje cień szansy, że faktycznie mu na niej zależy? Jeśli jest choć w połowie tak piękna jak jej matka, żaden mężczyzna nie jest w stanie się jej oprzeć.

Marguerite obdarzyła go smutnym uśmiechem.

– Dziękuję. Ale gdyby tak było naprawdę, po co wymyślił całą historyjkę o tej drugiej kobiecie?

– Nie wiem. – Philippe nachylił się w jej kierunku. – Wiesz, kim ona jest? Jak się nazywa?

Zawahala się. Ścisnęła ponownie dłonie.

– Rousseau.

Wyprostował się niczym rażony piorunem.

– *Mon Dieu...* Uważasz, że jest ze mną spowinowacona?

Edward leżał przez chwilę w ciemności, starając się skojarzyć, co go obudziło. Kiedy nocną ciszę przeciął wyraźny szloch, poderwał się z fotela i podszedł do łóżka Corinne.

Zapalił lampkę na stoliku nocnym i usiadł na skraju łóżka. Dotknął dłonią jej rozpalonego czoła. Łzy popłynęły jej z oczu, mocząc włosy na skroniach. Z piersi wydobył się głośny płacz.

Kolejny koszmar. W ciągu dwóch ostatnich nocy miała ich kilka. Każdy kończył się cichym szlochem i błaganiem o litość.

Czy każda noc była taka? Czy to majaczenie w gorączce, czy męki potępionej?

Przepęniało go współczucie dla niej. Zmoczył niewielki ręcznik w misce z wodą i wycisnął. Delikatnym ruchem przetarł jej czoło i policzki. Nie mógł powstrzymać płynących łez, ani ulżyć jej cierpieniu.

Wstał i ściągnął z niej kołdrę, wystawiając jej odziane w nocną koszulę ciało na chłód nocy. Zajęczała i się skuliła.

Przeklął, widząc jej łęk. Wykrzywione strachem usta przyprawiały go o furję. Dłonie zaciśnięte w pięści przyciskała do warg, próbując zagłuszyć wydobywające się z nich jęki bólu.

Zacisnął dłonie w pięści, a z mokrego ręcznika pociekł na podłogę strumień wody.

Dlaczego nie uciekał jak najdalej stąd? Corinne była tak pokancerowana, że nie był pewny, czy kiedykolwiek do siebie dojdzie. Od czterech dni nie udało mu się przespać godziny, przez co nie był w stanie wykonywać swojej pracy – jedynej rzeczy, która była dla niego ważna w życiu.

– Żadna cipka, nieważne jak apetyczna, nie jest tego warta – burknął.

Jej ramiona drgnęły na dźwięk tych brutalnych słów i od razu ich pożałował. Edward westchnął i podszedł do niej. Odłożył ręcznik do miski, po czym położył się obok Corinne z głową opartą o poślaczany zagłówek i nogami wyciągniętymi przed siebie.

Usadowił się wygodnie, sięgnął po nią, i chroniąc się przed ciosami i miotanymi przekleństwami, złapał ręką oba jej nadgarstki. Przyciągnął ją do siebie.

Corinne szamotała się, wykazując niezwykłą jak na jej drobną budowę siłę napędzaną strachem. Ale Edward szybko ją chwycił. Uchylił się przed bolesnym kopniakiem, a ręce chronił przed jej zębami.

Szybko jednak opadła bez sił, osłabiona gorączką, zanosząc się kaszlem przy jego boku. Drżała.

Zaczął śpiewać prostą piosenkę, którą pamiętał jeszcze z dzieciństwa. Jego głos zdawał się działać na nią kojąco. Myślał o tym, śpiewając.

W końcu przyłgnęła do niego. Drobne dłonie zacisnęła na jego koszuli, policzek przytuliła do jego piersi. Wciąż śmierdziała jak pijaczyna, ale nie zważał na to. Była delikatnym, słodkim ciężarem, idealnie wpasowującym się ze swymi krągłościami w jego twarde ciało.

To dlatego tu był. Dlatego okłamywał służących Corinne, sugerując, że jest jej kochankiem. Nie chciał, by odmówili mu do niej dostępu.

Chodziło o to uczucie, gdy trzymał ją w ramionach. Czuł, że tak powinno być. Miał ulubiony nóż, który dawał mu podobną pewność. Jego rękojeść układała się idealnie w dłoni, jakby zrobiono go specjalnie dla niego. I chociaż był bardzo ostry i wiele razy skaleczył się, gdy go czyścił, to jednak posiadanie tak wyjątkowej i cennej rzeczy było tego warte.

Corinne reagowała na niego nawet przez sen. Jego dotyk i głos przebijały się przez jej skorupę. Zupełnie jakby podświadomie wiedziała, że jest dla niej stworzony.

Edward poczuł, jak uspokaja się bicie jej serca. Jego własne też się uspokoiło. Po chwili oddychali równo, miarowo, a ich serca były jednym rytmem.

Zamknął oczy i zasnął.

Simon uśmiechnął się, poczuwszy palce Lynette na klatce piersowej. Leżała przytulona do niego, oplatając go ciałem. Nogę przerzuciła mu przez udo, niebezpiecznie blisko penisa. Dotyk jej jedwabście gładkich dłoni laskotał go zmysłowo, poczuł bolesną erekcję. Gdyby nie to, że był to jej pierwszy raz, znowu by w nią wszedł. Musiał jednak być cierpliwy. Miał zbyt poważne zamiary, musiał zachować pełną kontrolę.

Patrzył w kominek. Jedną rękę podłożył sobie pod głowę, drugą obejmował jej nagie ramiona. Spojrzał na nią i poczuł znajomy ucisk w żołądku. Włosy miała rozkosznie potargane, część przypięta spinkami, część sterczała dziko po żarliwości jej pożądania.

Jakże była gorliwa, gdy oddawała się namiętności, bezwstydnie błagając o jego penisa, jakby miała bez niego umrzeć. Nie chodziło jej jedynie o samo narzędzie dające rozkosz, ale o niego. Był przekonany, że ze wszystkich kobiet, z którymi dzielił łożo, tylko Lynette pragnęła jego, Simona Quinna, a nie jedynie atrakcyjnego wprawnego kochanka.

Poznawszy wicehrabinę, wiedział, jakie konsekwencje będzie musiała ponieść. Rozumiał, jaka mogła ją czekać przyszłość i jak cenne byłoby jej dziewictwo dla przyszłego męża. Wyrzekła się swego pochodzenia i lat przygotowań dla jednej z nim nocy. Zawstydziała go świadomość, że dla niej był wart zapłacenia tak wysokiej ceny.

– Dlaczego twoje środki zostały zablokowane? – zapytała, spoglądając na niego.

– Żeby coś na mnie wymusić – odparł ponuro, gładząc jej ramię.
– Odszedłem, a nie chcieli, żebym im odmówił.

– Czyli jesteś ich niewolnikiem – stwierdziła ze złością.

– W pewnym sensie tak, ale to chwilowe.

– Co zamierzasz zrobić? – Lynette usiadła i zakryła piersi przecieradłem. Nogi miała podwinęte, ale odkryte. Był to uwodzicielski obraz dla jego oczu.

– Nasza znajoma, Lysette Rousseau, znowu coś knuje. Przestaje z rewolucjonistą i muszę się dowiedzieć, dlaczego.

– Nie mogli znaleźć kogoś innego?

– Najwyraźniej nie. – Zastanowił się przez chwilę i zapytał: –

Czy to nazwisko brzmi dla ciebie znajomo?

– Rousseau? Nie, nieszczególnie. Dlaczego pytasz?

– Bez powodu. Sprawdzam tylko.

Potała palcami po materiale prześcieradła.

– Masz ją uwieść?

– Zasugerowano mi to – odparł, przyglądając jej się uważnie.

Ściągnęła śliczne usta.

– Nie zrobisz tego, oczywiście?

Simon uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście nie.

– Mówisz poważnie? – zapytała poirytowana. Obserwowała jego uśmiech spod uroczo ściągniętych brwi.

– Czyżbyś była zazdrosna?

Przez chwilę wyglądała na urażoną, ale zaraz się uśmiechnęła.

– Powiesz mi, skąd ją znasz?

Poklepał dłonią pierś.

– Jeśli wrócisz się przytulić, może dam się przekonać.

Lynette spełniła jego prośbę. Odsunął prześcieradło, żeby nic nie dzieliło ich ciał. Jej piersi spoczęły miękko na jego klatce piersiowej, a jej włosy łonowe laskotały go delikatnie w udo. Nigdy wcześniej nie zwracał uwagi na takie subtelności. W każdym razie, nie do tego stopnia. Każda komórka jego ciała była skupiona na niej.

– Niedawno – rozpoczął opowieść, obejmując ją ramionami – *mademoiselle* Rousseau towarzyszyła mi w podróży do Anglii. Twierdziła, że poszukuje winnego zbrodni, a głównym podejrzanym był mój znajomy, co do niewinności którego nie miałem żadnych wątpliwości.

– Znalazłeś go?

– Tak i wszystko dobrze się skończyło, ale okazało się, że Lysette wcale nie zależało na znalezieniu mojego przyjaciela. Chodziło jej o coś zupełnie innego. Nie udało się jej, ale ja dostałem nauczkę. Widziałem, jak zabija z zimną krwią i bezdusznie zdradza towarzysza, by ratować własną skórę.

– Och... – przytuliła mocniej do niego głowę.

– O co chodzi, *a thiasce*? – zamruczał, wyczuwając zmianę jej nastroju.

– Z twojego opisu zupełnie nie wygląda na moją siostrę. Raczej na potwora.

Simon przytulił ją, starając się trochę ją pocieszyć.

– Na jej obronę muszę powiedzieć, że czasem sprawia wrażenie, jakby się sobą brzydziła. A mężczyzna, którego zabiła nie był dobrym człowiekiem. Gorliwość, z jaką się na niego rzuciła też sugerowałaby, że musiał ją jakoś skrzywdzić w przeszłości. Nie było widać po niej przyjemności, a jedynie czystą furję, jakiej nie widuje się zbyt często u kobiet.

Lynette wzruszyła ramionami.

– Nie wyobrażam sobie, żebym mogła zabić.

– Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała. Niezależnie od powodów, z jakich to robisz, odebranie komuś życia pozostaje w pamięci na zawsze.

Podniosła głowę i spojrzała na niego wielkimi, porcelanowo niebieskimi oczami.

– Zabiłeś kiedyś?

– Niestety tak. – Wzdrygnął się, gdy i ona to zrobiła. Obawiał się, że teraz jej uwielbienie dla niego zniknie. A tego raczej by nie zniósł.

– Dużo osób?

– Więcej niż kilka.

Zamilkła na dłuższą chwilę. Zastanawiał się, czy nie rozważy ucieczki. Zamiast tego jednak, powiedziała:

– Dziękuję ci za szczerść.

– Dziękuję, że nie uciekaś.

Wzruszyła alabastrowym ramieniem.

– Widzę, że to cię prześladowuje.

– Czyżby? – zapytał szorstko pod wpływem nagłego uczucia bezbronności, nagości innej niż cielesna.

– Tak, widać to w twoich oczach – pogładziła jego czoło chłodną dłonią. – Wiem, że nie zrobiłbyś tego, gdyby nie było to konieczne

Ujął jej dłoń i przycisnął do niej usta.

– Ujęła mnie twoja wiara we mnie.

Cenił sobie jej wspaniałomyślność, cenił ją całą. Jej niezłomna wiara w jego dobroć zmieniała wszystko. Wiedziała, że ma krew na rękach, a jednak wierzyła, że robił to tylko w obliczu konieczności. Nie oceniała go, ani nie odrzuciła. Nie barwiła jego przyszłości grzechami przeszłości.

– W tym łóżu nie tylko ja jestem jak otwarta księga – powiedziała z uśmiechem. – Ja też potrafię cię odczytać.

– Och? – Uniósł brwi. – I co odczytujesz teraz?

– Szalejesz za mną – powiedziała bez cienia pokory.

Simon zaśmiał się.

– Jesteś niepoprawna.

– Powinieneś był to wiedzieć w chwili, gdy pozwoliłam ci się pocałować.

– Pozwoliłaś mi? – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Kochanie, nie mogłaś mnie powstrzymać. Byłaś jak glina w moich rękach.

Prychnęła.

– Rozumiem, że nie sposób ci się oprzeć?

Obrócił się i przygniótł ją własnym ciałem. Podobał mu się widok jej jasnych włosów i skóry na tle burgundowej pościeli w jego łóżu.

– Spróbuj więc – rzucił jej wyzwanie.

– To będzie dość trudne, gdy wciskasz mnie w materac.

– Wciskam?

– Cóż, jesteś potężnym mężczyzną.

– Tym lepiej dla ciebie – zamruczał, podkreślając słowa dotykaniem twardego członka o jej udo. Potarł nosem o jej nos. – Nie chciałabyś mniejszego mężczyzny, *a thiasce*.

– Mówisz o swoim członku?

Zaśmiał się na dźwięk szczerzego zaskoczenia w jej głosie.

Lynette klepnęła go w ramię.

– Pytam poważnie, Simon! Czy bywają bardzo różne rozmiary?

– Oczywiście, że tak. Tak samo jak mężczyźni różnią się wzrostem i wagą.

Oczy rozszerzyły jej się niczym spodki.

– Czyli mniejszy mężczyzna miałby mniej do włożenia we mnie?

Warknął na samą myśl.

– Wielkość męskiej sylwetki ma się nijak do rozmiaru jego penisa.

– O! Ciekawe.

– Mam nadzieję, że nie za bardzo.

– Czyżbyś był zazdrosny? – zapytała z nieśmiałym uśmiechem.

Jednym ruchem bioder Simon usadowił się wygodniej między rozłożonymi nogami Lynette. Pocierał członkiem o jej gładkie niczym płatki kwiatu wargi sromowe, mrużąc z zadowoleniem na widok szybkiej reakcji.

Dłonie o smukłych palcach wczepiły się w jego ramiona, po czym wbiły w skórę paznokcie. Uznał to za niezwykle podniecające. Starał się unikać śladów na skórze, które mogłyby urazić kobiecą dumę, ale nie tym razem. Teraz na zawsze pragnął, by Lynette zostawiła na nim swój ślad. Chciał, żeby wszyscy widzieli, że oddała mu się całkowicie i przyjęła go w zamian.

Sięgnął ręką między ich ciała i ustawił gruby czubek członka przy wąskiej szczelinie prowadzącej do rajcu. Zaczęła dyszeć ciężko, przymykając powieki, gdy płomień między nimi zaczynał parzyć.

– Widzisz? – wyszeptwała. – Myślę, że możesz być dla mnie o rozmiar za duży.

Simon obniżył głowę i pocałował ją namiętnie. Jej usta rozgrzewały go słowami, które wypowiadały, i pieśczołami, które mu dawały. Były miękkie i wilgotne, cudowne. A to jak drżały od jego dotyku i ufnie się rozchyłały, topiło mu serce.

– Boże, to uczucie, kiedy jestem w tobie... – wymruczał, wślizgując się powoli w jej gorącą cipkę. – Widzisz? – powiedział, wsuwając ręce pod jej ramiona, by utrzymać ją w idealnej pozycji. – Mogę dotrzeć to twego najgłębszego miejsca – wszedł głębiej – i rozciągnąć cię do granic... – Zrobił kilka okrężnych ruchów biodrami, by oszalała z rozkoszy. – Mam idealne proporcje, mogę zadbać o ciebie w każdy możliwy sposób.

– Rozumiem... – westchnęła.

Pozostał w środku, drażniąc i odkrywając różne wrażliwe miejsca, rozkoszując się uczuciem jej miękkich, soczystych tkanek. Nigdy wcześniej nie czerpał aż tak wielkiej przyjemności z seksu. Nie sądził, że można cieszyć się z rozkoszy kobiety, jakby była jego. Nie w zaborczy sposób, ale tak naprawdę.

Jak uprzednio, nieśpiesznie pracował biodrami, wchodząc głęboko i powoli. Wstanie słońce, będzie musiała odejść, jej rodzina będzie interweniować i ich wspólne chwile przeminą bezpowrotnie. Był boleśnie świadomy tykania zegara, nawet w chwilach cudownego uniesienia. Nie zamierzał jej zerznąć, ile się da. Nie chciał jedynie ulżyć swoim żądzom lub sprawić, że zapamięta go ze względu na liczbę przeżytych orgazmów. Każdy cokolwiek wart mężczyzna potrafi dać kobiecie orgazm.

Ale nie każdy potrafi się z nią kochać.

Chciał, żeby orgazmy rozrywały jej duszę. Chciał zatracić się w niej, stać się jej częścią.

Simon schował twarz w jej pachnących włosach. Trzymał ją blisko przyciśniętą do siebie, czuł na swojej klatce piersiowej jej twarde, sterczące sutki i miękkie piersi. Lynette była delikatna, cudownie wyrzeźbiona i piekielnie piękna.

Wiała się pod nim zmysłowo, odrzuciła głowę, a z ust wydobył się jęk niosący jego imię niczym błagalną litanię. Obdarzała go hojnie swoim żarem namiętności, niczego nie skrywając. Dawała mu całą siebie. Żadna kobieta wcześniej nie weszła do jego łóżka tak bezwarunkowo. Nie należał do dobrze urodzonych, nie był częścią elity. Miał irlandzkie korzenie, żadnego majątku ani nazwiska... Nie mógł zaferować kobiecie niczego poza kilkoma upojnymi godzinami w łóżku.

Jej niewinność i czystość go rozbrajała. Nie chodziło jedynie o jej dziewictwo, które uznał za wspaniały dar, ale o jej czyste serce i umysł. Nawet dziwka ma czyste serce, gdy zakochuje się po raz pierwszy. Nie ma uprzedzeń, żadnych lęków z przeszłości, żadnych nieziszczonych marzeń.

Zaprzedałby duszę diabłu byle być jej ostatnim mężczyzną.

Przez całe swoje życie nie miał domu ani miejsca, do którego by przynależał. Nie miał też nic, co należałoby tylko do niego. Nigdy nie posiadał niczego cennego lub czegoś, czego nie można by niczym zastąpić.

Poza Lynette.

Dziś należała tylko do niego. Ogrom jej daru wprawił go w drzenie.

– *Mon coeur* – szepnęła, oplatając go zgrabnymi rękoma.

Simon ujeżdżał ją powoli i głęboko, pragnąc przedłużyć tę chwilę w nieskończoność. Jego członek był nabrzmiałby do bólu, jądra ściśnięte blisko ciała. Gdyby nie oszalał kompletnie na jej punkcie, nie dałby rady. Była tak zachłanna, zaciskała się na nim i cudownie zasysała na całej jego długości.

– Chryste – westchnął, gdy opłotła go gorąca rozkosz. – Tak mi dobrze – wysapał. – Tak piekielnie dobrze...

– Proszę – westchnęła błagalnym tonem. Jej głos był gardłowy i uwodzicielski.

– Powiedz, czego pragniesz – wymruczał jej do ucha, pieszcząc je językiem. – A dam ci to.

– Zrób to jeszcze raz. Jeszcze raz...

Dotarł do jej krańca, ruchem bioder wbił się w nią mocniej, dając jej łechtaczce pieśczętę, jakiej potrzebowała.

Wyprężyła gwałtownie ciało, osiągając silny orgazm. Paznokcie wbiła mu w plecy, a usta wykrzykiwały jego imię. Po czym opadła w jego ramionach. Jej cipka pulsowała, zaciskając się rytmicznie na jego udręczonym członku, masując go z potężną siłą.

Jęknął, zaciskając zęby. Dłonie wbił w poduszkę, gdy jej ciało wilo się pod nim spazmatycznie, kusząc, by eksplodował w jej ciepłym wnętrzu. Oparł się tej pokusie resztką woli, odczekał, by jej szczytowanie nieznacznie zelżało na sile i wytrysnął potężnie na prześcieradła. Tryskał raz za razem, a gwałtowny orgazm wstrząsał jego ciałem, przekreślając wszystko, co do tej pory wiedział o szczytowaniu.

Gdy jego penis pokrył się ciepłym nasieniem, w myślach złorzeczył na niesprawiedliwość swego losu. Jego nasienie nigdy się w niej nie znajdzie, a jego przyszłość nie będzie częścią jej przyszłości.

Po latach w końcu odnalazł dom, ale nie wolno mu było w nim zostać.

ROZDZIAŁ 13

– Rousseau to bardzo popularne nazwisko, Phillipie – powiedziała z niepokojem w głosie Marguerite. – I tak zwróciłabym się o pomoc do ciebie.

Wstała, podeszła z pustym kieliszkiem w rękę do konsolki. Napelniła swój kielich, a potem naląła brandy dla niego, z wprawą ogrzewając naczynie przy lampie.

Podąła mu napój.

Stał i przyglądał się jej spojrzeniem pełnym miłości, o którym nadal śniła. Ich palce splotły się, gdy brał od niej kielich. Poczowała żar jego dotyku, przywołując wspomnienie w bardziej intymnych miejscach.

– Dlaczego nie poprosiłaś męża o pomoc? – zapytał delikatnie.

– Mam swoje powody.

– Zdradź mi, jakie.

Przysunął się i dotknął wargami jej ust. Zamruczał, palce zacisnęły się mocniej na jej dłoni.

Czując jego smak, poczuła zalewającą ciało falę gorąca. Ciało, które od dawna pozostawało w uśpieniu, przebudziło się nagle, czując bliskość utraconego kochanka.

– Przez te wszystkie lata moje serce było niewierne – wyszeptła, trzęsąc się tak mocno, że sherry wylało się jej z kieliszka na palce. – Byłam jednak na tyle przyzwoita, by nie być niewierną naprawdę.

Poczowała, jak puszcza jej rękę z ogromnym wysiłkiem. Odsunął się od niej, oddychał ciężko, rozszerzając nozdrza.

– W takim razie, wyjaw mi prawdę – powiedział szorstko, po czym wychylił kielich, opróżniając go do dna. – Jeśli nie chcesz dać mi nic innego, daj mi chociaż tyle.

Wiedziała, że miał powody do gniewu, ale ból w jego głosie był dla niej nie do zniesienia.

– Dałam ci wszystko!

– Żałuję, że nie obdarzyłaś mnie wiarą w to, że cię ochronię.

Otworzyła usta ze zdziwienia.

– Myślisz, że odeszłam ze względu na siebie? Wyrzekłam się rodziny, przyjaciół i wszystkiego, co było mi drogie, i przyszłam do ciebie, posiadając jedynie odzienie na sobie, a ty sądzisz, że odeszłam dla własnej korzyści?

Philippe ścisnął mocniej kielich w dłoni.

– Byłeś na wpół żywy! – krzyknęła, czując powracający ból przeszłości. – Pobili cię tak strasznie, powiedziano mi, że nie przeżyjesz nawet tygodnia. Ale nie opuściła mnie nadzieja. – Odstawiła kieliszek na stół i odwróciła się od niego. – Wierzyłam, że przeżyjesz, bo nie wyobrażałam sobie życia bez ciebie.

– Marguerite...

Usłyszała, jak odstawia swój kielich i podchodzi do niej. Odwróciła się do niego i wyciągnęła w powstrzymującym geście rękę.

– Proszę, jesteś moją słabością. Jeśli mnie dotkniesz, ulegnę, a potem znienawidzę się za to. Nie kocham de Greniera. Nie mogłabym, bo kocham ciebie. Ale on był dla mnie dobry, mimo moich uczuć do ciebie. Mimo że nie mogę dać mu upragnionego syna.

Zatrzymał się, zaciskając szczękę.

– Skoro taki z niego przykładowy małżonek, dlaczego nie zwrócisz się o pomoc do niego?

– Nie pomożesz mi?

– Wiesz, że tak. Wyciąłbym sobie serce i podarował ci, gdybyś mnie o to poprosiła.

Drgnęła na te słowa, a oczy naszły jej łzami.

– Był dla mnie dobry, ale dla moich córek mniej. Nie jest okrutny tylko... obojętny. – Wypuściła nerwowo powietrze, lekko roztrzęsiona i odwróciła wzrok. – Po narodzinach dziewczynek nie mogłam już zająć w ciążę. Myślę, że z tego powodu je odrzucił, może nieświadomie.

– Jest głupcem. – Philippe odetchnął, a jego postawa zmieniła się z napiętej i gotowej do walki, na zrezygnowaną. – Chciałabyś więc, żebym zdobył informacje na temat Simona Quinna i Lysette Rousseau. Potrzebujesz czegoś jeszcze?

– Pieniądzy. Pan Quinn dotąd nie przyjął mojej propozycji, ale kiedy to zrobi, będę musiała szybko sfinalizować naszą umowę. De Grenier miał wyjechać z Wiednia i ruszyć do Paryża tydzień po naszym wyjeździe. Jeśli tak zrobił, dotrze do Paryża dopiero za kilka dni. Być może to niedługo, ale dla mojej córki liczy się każda godzina. W każdej chwili może wpaść w kłopoty. Już raz wyrwała się z domu, żeby spotkać się z Quinnem.

– Czyli jest zupełnie jak jej matka – powiedział z takim uwielbieniem, że zaparło jej dech w piersiach.

– Aż za bardzo.

– Pozwól, że ci pomogę, *mon coeur*. Jeśli zechcesz, moje fundusze są do twojej dyspozycji.

– Dziękuję, Phillipie. Zwrócę ci całą kwotę, najszybciej jak to będzie możliwe.

– Proszę cię tylko o jedno w zamian. Gdy już zdobędę te informacje, chcę ci je przekazać osobiście i napawać się twoim pięknem, skoro na nic innego nie mogę liczyć.

Wyszło jej w ustach.

– To zbyt niebezpieczne.

– Wiem – odparł. – To prawda, ale nie mogę się oprzeć. Kiedy teraz opuścisz Paryż, już nie wrócisz, prawda?

Marguerite pokręciła przecząco głową.

– Nie.

Skrzyżował ręce na piersi. Marynarka opięła jego pięknie wyrzeźbione ciało, o którym nigdy nie zapomniała. Czas obszedł się z nim łaskawie. Był teraz tak samo porażająco przystojny jak wówczas, gdy zobaczyła go pierwszy raz.

– Będę cię chronił – obiecał. – Ale sama musisz ze sobą walczyć. Wiesz, że ja nigdy bym cię nie odtrącił.

– Philippie...

– Nie ufasz sobie, i słusznie. Postanowiłaś już nigdy więcej nie dzielić ze mną łoża i wiem, że nie zmienię twojego zdania. Jesteś na to zbyt szlachetna, zbyt lojalna i zbyt uparta. – Uśmiech, którym ją obdarzył, był smutny. Zapłakała, wiedząc, że jest przyczyną tego smutku. – Nie mogę cię winić za to, że taka jesteś, bo właśnie dlatego kocham cię tak bardzo.

Nie chciała nic mówić, ale nie mogła się powstrzymać. To takie niesprawiedliwe, że ich miłość była niczym kwiat trzymany w ciemności, pozbawiony blasku słońca. Próbowała przetrwać w jałowej ziemi ich serc, karmiona jedynie łzami i wspomnieniami.

– *Je t'aime* – wyrwało się z jej piersi.

– Wiem.

Lynette obudziło łaskotanie w nos. Leniwie machnęła ręką, żeby odgonić cokolwiek to było. Oczy miała nadal zamknięte w nadziei, że za chwilę znów pogrąży się w słodkim śnie.

– Czas wstawać, *a thiasce*.

Głęboki głos Simona natychmiast obudził nie tylko jej świadomość. Każdy nerw jej ciała drgnął na ten dźwięk.

– Simon – uśmiechnęła się, nadal nie otwierając oczu.

Nachylił się nad nią. Pachniał bergamotowym mydłem. Musnął ustami jej czoło.

– Kąpiel czeka.

– Która godzina?

– Kwadrans po trzeciej.

Mruknęła.

– Twoja służba cię znienawidzi.

Zaśmiał się i wyprostował.

– A może nie ma w tym nic nadzwyczajnego?

Zaburczała z niezadowoleniem.

– Myśli o tobie wywołały nagłą potrzebę chłodnej kąpieli – powiedział z rozbawieniem, gładząc jej nastroszone piórka.

Otworzyła jedno oko, by z zachwytem stwierdzić, że po wyczerpującej bezsennej nocy też wyglądał wspaniale. Miał związane włosy, a ubrany był w same bryczesy, bez koszuli.

Uniósł ciemną brew.

– Znowu? Jesteś niezmordowana.

– Hm... – Przeciągnęła się i odwróciła na plecy. Gdy jego dłonie zamknęły się na jej nagich piersiach, wyszeptła: – I kto tu jest niezmordowany?

– Cóż, nie należę do mężczyzn, którzy przepuszczają takie okazje.

Westchnęła głęboko z żalu nad przemijającymi godzinami.

– Tym było to dla ciebie? Okazją?

Spojrzał na nią z naganą, po czym wstał i wyciągnął do niej rękę.

– Myślę, że powinnaś pochodzić przez chwilę nago, w ramach kary za to pytanie.

Zmarszczyła nos i podała mu rękę. Pociągnął ją do góry, przyciągnął do siebie i złapał mocno za pośladki. Pocałował ją w nos.

– Brak snu nie wpływa najlepiej na twój nastrój, jak widzę.

Lynette objęła go w pasie, a palce wsunęła za pas bryczesów.

– Źle na mnie wpływa to, że muszę cię opuścić, *mon amour*.

– Ciii... – Przycisnął palec do jej ust, a drugą dłonią chwycił za rękę. Zaprowadził ją do pomieszczenia przylegającego do alkowy.

Czekała tam na nich sporych rozmiarów miedziana wanna wypełniona parującą wodą. Kusila obolałe ciała kojącym ciepłem. Ujęła ją troska Simona. Znaczyło to, że zależało mu na niej znacznie bardziej, że nie była tylko seksualną przygodą.

Byli sami, bez służących. Powoli opadało z niej napięcie wywołane paradowaniem nago. Zaśmiała się.

– Jakież to myśli wywołały ten syreni uśmiech? – zapytał, pomagając jej wejść do wanny.

– Pomyślałam, że stałam się kobietą swawolną, skoro chodzę nago w obecności mężczyzny, bez skrzepowania.

– Zapewniam cię, nie masz najmniejszych powodów, by czuć się skrzepowana swoją nagością.

Lynette usiadła w ogromnej wannie i westchnęła błogo.

Czuła ból w miejscach, których nigdy by o to nie podejrzewała, była wykończona. Czuła się jednak lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Było coś niezwykłego w poczuciu cielesnego spełnienia. Solange zawsze wydawała się tak zachęcająco zrelaksowana. Teraz Lynette rozumiała to uczucie.

Simon przykląkł obok wanny i myjką namydloną pachnącym mydłem zaczął ją obmywać, kawałek po kawałku. Powieki miała na wpół przymknięte, ale obserwowała pracę jego imponujących mięśni. Miał zabójczą siłę, ale dotykał jej z niebywałą delikatnością.

Jego dłonie sięgnęły między jej uda. Drgnęła

– Jesteś bardzo obolała? – zapytał zmartwiony.

– Nie bardziej niż można by się było spodziewać. Szczególnie, jeśli wziąć pod uwagę twój rozmiar.

Wyraz zmartwienia nie schodził mu z twarzy. Opanowanymi, ale uważnymi palcami dotknął jej opuchniętych warg sromowych. Rozłożyła nogi na całą szerokość wanny, pokazując mu, że się go nie obawia.

Na ten gest przyśpieszył mu oddech i spojrzenie powędrowało na nią. Jeszcze przed chwilą jego oczy wyrażały tyle czułości, teraz można było dostrzec w nich znacznie więcej. Dotyk jego palców stał się mniej badawczy, bardziej penetrujący. Przesunął nimi po wzgórkę, który wcześniej dał jej tyle rozkoszy.

Mocno chwyciła dłońmi gorących krawędzi wanny, a on pieścił ją delikatnie, ale zmysłowo.

– Simon?

– Pozwól mi na siebie patrzeć – wyszeptał, wsuwając w nią rytmicznie palce. – Patrz na mnie.

Jęknęła, gdy jej łono znowu się zacisnęło, mięśnie napięły, a policzki pokryły rumieńcem pod wpływem gorąca wody i ognia, który w niej wzniecał.

– Jesteś jak najdelikatniejszy jedwab, *a thiasce* – zamruczał.

Była zupełnie obnażona pod jego spojrzeniem. Rozchyliła usta, dysząc gwałtownie. Jej ciało w oczekiwaniu na szczytowanie napięło się niczym łuk.

Woda chlupotała od miarowych fal, wywołanych ruchem jego dłoni w jej najbardziej intymnym miejscu. Raz po raz i wokół miejsca jej cudownej udręki. Odchyliła głowę do tyłu, uniosła biodra – instynktownie ułożyła ciało do źródła tej oszałamiającej przyjemności.

– Chcę, byś był we mnie – westchnęła, czując, jak jej kobiecość ciągnie do niego, pragnie go.

– Dojdz dla mnie – powiedział miękko, poruszając w niej palcem płytkimi ruchami. – Daj mi poczuć, jak bardzo mnie w sobie potrzebujesz.

Jej ciało wygięło się, gdy na jego oczach osiągnęła cichy orgazm. Było to tak intymne przeżycie, że poczuła, iż między nimi nie ma żadnych tajemnic.

Odwróciła do niego głowę i powiedziała błagalnie:

– Pocałuj mnie.

Uczynił to skwapliwie, przywierając do niej ustami. Tym razem wykorzystała całą wiedzę o całowaniu, jaką jej przekazał. Pieściła go językiem, aż odsunął się, przeklinając pod nosem. Oddychał ciężko.

Wstał i podał jej rękę.

– Ubierz się, muszę cię zawieźć do domu, zanim będzie za późno.

Jego lędzwie znalazły się na wysokości jej wzroku i nie mogła nie zauważyć jego reakcji. Gdyby chciał zadbać o własną przyjemność, mógłby ją teraz wziąć ponownie. To czy wróciłaby na czas do domu, czy nie, nie miało na niego żadnego wpływu. Poza gniewem de Greniera, nie groziły mu żadne konsekwencje. Jej ojciec nie naciskałby na niego, żeby się z nią ożenił, bo nie był dla niej odpowiednią partią.

Chciał ją odstawić do domu na czas z czystej troski o jej dobro.

Lynette ubrała się szybko, Simon również. Zadrżała jej ręka, gdy zobaczyła rozdarcie w pożyczonych bryczesach. Zdumiewało ją, że tak na niego działa, ale jeszcze bardziej to, że powstrzymywał swój żywioł. Dla niej.

Z ciężkim sercem zeszła za nim do drzwi frontowych i wyszła w chłodną noc. Niebo było ciemne, ulice opustoszałe poza kilkoma gorliwymi straganiarzami, którzy przygotowywali się na nadchodzący świt. Piotr czekał przy krawężniku, trzymając konie za uzdy. Był tam też wierzchowiec Simona, ten sam, na którym wypatrzyła go w noc przybycia do Paryża.

Pomógł jej wsiąść, po czym sam usadowił się w siodle. Dłonie spokojnie spoczywały na rękojeści miecza. Wzrok miał skupiony, chociaż jego ciało było wyraźnie rozluźnione. Ukryty myśliwy. Patrzyła na niego, nie mogąc uwierzyć, że tak cudowny mężczyzna jeszcze niedawno był w jej ramionach.

Jechali do domu Solange w milczeniu. Piotr naumyślnie trzymał się za nimi. Gdy jechała w stronę domu Simona, była rozpalona. Teraz, w drodze powrotnej od stóp do głów przeszywał ją dreszcz chłodu.

Gdy dotarli do alei, zsiadli z koni, a Piotr pośpiesznie odprowadził konie do stajni. Simon stał przy niej z rozjarzonymi oczami, wyprostowany z napięcia.

– Gdy tylko dowiem się czegoś istotnego, wyślę wiadomość do ciebie i wicehrabiny – powiedział w końcu. – Ufam, że posłuchasz mojej rady i jak najszybciej wyjedziesz z Paryża. Do tego czasu, błagam cię, pozostań w ukryciu.

Lynette przygryzła wargę i przytaknęła. W piersi czuła ból, przypominający żalobę.

Simon ujął w dłonie jej twarz i pocałował drżące usta zdecydowanie zbyt krótko.

– Dziękuję – powiedział, a dłonie mu drżały. Potem odsunął się i dodał: – Idź już.

Ociągając się, poszła w kierunku stajni, gdzie zostawiła swoje ubrania. Odwróciła się jeszcze i zobaczyła, że stoi, patrząc za nią, z rękoma schowanymi za plecami. Oczy zaszyły jej łzami, odwróciła się i poszła dalej, cicho szlochając.

Edwarda obudziło bolesne strzyknięcie w szyi. Zdał sobie sprawę, że przespał kilka godzin na siedząco, w łóżku Corinne. Wyprostował się, rozruszał ramiona i rozejrzał się za dziewczyną. Leżała w drugim końcu łóża, zwinięta na poduszce, i przyglądała mu się oczami zapadniętymi i podkrążonymi od choroby.

Zastygł bez ruchu, ostrożny.

– Dzień dobry.

– Jesteś pijany? – wyszeptwała.

Powstrzymał uśmiech.

– Obawiam się, że ten zapach pochodzi od ciebie. Miałś wysoką gorączkę, trzeba było ją zbić.

– Dlaczego tu jesteś?

– Od trzech dni zadaję sobie to samo pytanie.

– Od trzech dni? – zapytała z przerażeniem w głosie.

Edward wstał, przeciągnął się i spojrział na zegarek. Niebawem musiał iść do pracy, a nie wiedział, czy będzie mógł wrócić.

Sięgnął po dzbanek i szklankę stojące na stoliku nocnym i nalał trochę wody. Powoli obszedł łóżko, ociągając ruchy naumyślnie, by

mogła się oswoić i zmniejszyć napięcie, które w niej wyczuwał. Obserwowała go cały czas, aż stanął przed nią.

– Możesz usiąść? – zapytał.

– Chyba tak.

– Chętnie ci pomogę.

Usiadła z wysiłkiem, samodzielnie.

– Gdzie są państwo Fouche?

– Pewnie przygotowują się do rozpoczęcia dnia. Są starzy – zauważył.

– Thierry nie jest.

– Madame Fouche nie zgodziła się, by cię pielęgnował.

Wyciągnęła rękę, biorąc od niego naczynie. Wyglądała w tym wielkim łóżu jak drobne, delikatne dziecko.

– Ale nie miała obiekcji, byś ty to robił?

– Z racji zaawansowanego wieku, nie miała wyboru. Zresztą, uznała, że lepiej już, żeby pielęgnował cię twój kochanek niż jej syn.

Corinne zakrztusiła się, pociągając pierwszy łyk. Poklepał ją delikatnie po plecach.

– To oczywiście było kłamstwem – powiedział, by nie obawiała się, że coś jeszcze wydarzyło się w czasie jej choroby.

– Jesteś niezwykle arogancki – syknęła.

– To prawda. – Wyprostował się. – Muszę iść do pracy. Czy pozwolisz, bym odwiedził cię jutro wieczorem?

Przyjrzała mu się.

Czekał, wiedząc, że będzie o niej myślał całą noc.

Dziś jednak musiał zająć się Quinnem, który zaprzętał mu myśli przez ostatnie dwa dni. Jutro miał wolne i mógł nadrobić stracony sen, dzięki czemu będzie mógł wrócić do Corinne odświeżony i być może, uzbrojony w wiedzę. Co więcej, da jej czas na odzyskanie sił. Wiedział, że teraz czuła się bezbronna, co tylko wzmagало jej złe nastawienie. Jeden zły ruch mógł wszystko zniweczyć.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła madame Fouche, sapiąc z wysiłku po pokonaniu wąskich schodów dla służby. Zatrzymała się, widząc Corinne obudzoną, i dygnęła.

– Dzień dobry, madame Marchant.

Corinne zmarszczyła brwi.

– Dzień dobry.

Nadal nie odpowiedziała na prośbę Edwarda, co z niechęcią uznał za odmowę.

– Musi przyjmować dużo płynów – zwrócił się do służącej. – Herbata i bulion warzywny do jedzenia. Lekko osolony. I dużo wody.

– Tak, proszę pana.

Edward wyciągnął dłoń do Corinne, a ona podała mu swoją. Skórę miała cienką jak papier, pokrytą niebieskimi żyłkami. Tak krucha, a jednak tak silna na swój sposób. Pocałował ją w wierzch dłoni.

Będzie o nią zabiegał, gdy wyzdrowieje. To jeszcze nie koniec.

– Gdzie są twoje okulary? – zapytała.

– Uległy zniszczeniu w noc pożaru.

Ścisnęła jego dłoń.

– Uratowałeś mnie.

– Tak naprawdę, sama sobie świetnie poradziłaś. Ja tylko cię złapałem.

– I pielęgnowałeś mnie przez trzy dni. Dziękuję.

Pokłonił się, puścił jej dłoń i odwrócił się w kierunku wyjścia.

– Oczekuję twojej wizyty jutro – powiedziała cicho, niemal szeptem.

Jego krok stał się lżejszy, gdy usłyszał te słowa, ale nie dał po sobie poznać ulgi, którą poczuł. Nie mógł pokazać więcej radości przy kobiecie tak przestraszonej męską gorliwością.

– Do jutra zatem – powiedział tylko. Uśmiechnął się szeroko, wychodząc.

Desjardins wszedł do gabinetu, pogwizdując. James nie od razu trafił do właściwego skrzydła rezydencji Orlinda w poszukiwaniu Lysette, przez co była ona narażona na niebezpieczeństwo trochę dłużej niż to sobie założył hrabia. Jednak lekarz stwierdził, że wyjdzie z tego bez trwałego uszczerbku na zdrowiu, a Jamesa poniosło tak bardzo, że spędził ostatnie trzy noce, osobiście jej doglądając.

Ale też życie hrabiego było pełne tak pomyślnych dla niego splotów okoliczności. Chociażby zatrudnienie starszego małżeństwa Fouche na służbę w domu Lysette. Nie mógł pozwolić sobie na więcej, nie budząc podejrzeń żony. Hrabina Desjardins była piękną kobietą, zbyt piękną dla mężczyzny tak mizernej postury, ale kochała go równie mocno, jak on ją i nigdy nie zgodziłaby się na to, by miał kochankę lub nawet przelotną przygodę. Utrzymywanie Lysette było jednym z sekretów jego małżeństwa, obok innych mniej chlubnych czynów, które miały na celu podniesienie ich statusu społecznego.

Teraz zaawansowany wiek państwa Fouche okazał się być błogosławieństwem, które pozwoliło Jamesowi na kolejny heroiczny akt.

Hrabia usadowił się za biurkiem, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Przyślijcie go do mnie.

Znał tożsamość swojego gościa, gdyż był on na czas, dokładnie tak, jak zostało to ustalone.

Chwilę później w drzwiach pojawił się uśmiechnięty Thierry.

– Dzień dobry, panie.

– O tak, zdecydowanie jest dobry.

Odwzajemnił się szczerym uśmiechem. W ciągu minionych dwóch dekad, polubił tego chłopaka za jego lojalną służbę. Thierry obejmował różne role, od posłańca po lokaja. Jego obecna rola, jako syna małżeństwa Fouche, pozwalała mu być na bieżąco ze związkiem Lysette i Jamesa.

Mimo zaawansowanego wieku, małżonkowie Fouche z łatwością dostosowywali się do zmieniających się warunków. Zostali nawet rodzicami dorosłego mężczyzny w jedną noc.

– Jak się miewa Lysette? – zapytał hrabia.

– Obudziła się dziś rano.

– Wspaniała wiadomość.

– Oczywiście jest zmęczona i osłabiona, ale czuje się dobrze.

Desjardins wyciągnął przed siebie nogi i oparł się wygodnie.

– A jak mają się sprawy między nią a Jamesem? Co zamierzają dalej?

– Odwiedzi ją jutro wieczorem.

– Jutro, nie dziś?

– Nie, i wcale mu się nie dziwię. Opieka nad *mademoiselle* Rousseau, gdy jest nieprzytomna, nie należy do najłatwiejszych – to zasługa Depardue i jego ludzi.

– Niech go piekło pochłonie.

Nigdy nie zapomni jej widoku, gdy ujrzął ją pierwszy raz. Zastrazona, wykorzystana przez zbyt wielu mężczyzn, niemal do utraty ducha. Ale i tym razem sprawy obróciły się na korzyść hrabiego. Zdobycie lojalności i tożsamości Lysette dało mu potężne narzędzie, którego inaczej nigdy by nie zyskał. Nie wiedział, czy kiedykolwiek będzie musiał wykorzystać to drugie, ale w razie czego zawsze mógł to zrobić.

– W takim razie powiadom ją o mojej dzisiejszej wizycie.

– Oczywiście, panie. – Thierry wstał i pochylił się, kładąc na biurku kopertę ze zniechęconą czarną pieczęcią. – Otrzymałem to po drodze, panie.

Thierry był teraz niemal jedynym doręczycielem wiadomości od L'Esprita, ale też był jedynym, którego hrabia widywał regularnie.

Zaciskając szczęki, hrabia schował kopertę do szuflady i wyciągnął ciężką sakiewkę.

– Weż dziś wolny wieczór. Ale muszę się dowiedzieć, dlaczego był u niej Quinn. Bądź w domu, gdy ponownie przyjdzie na jej wezwanie. Jutro, miejmy nadzieję.

– Oczywiście – odparł Thierry, łapiąc rzuconą mu sakiewkę. – Jak zwykle, jestem do usług.

Desjardins zajął się odpowiadaniem na korespondencję, a gdy zegar wybił południe, wstał i wygładził z uwagą marynarkę. Chwilę później w drzwiach pojawiła się jego urocza małżonka.

– Gotowy jesteś, Desjardins? – zapytała, naciągając rękawiczki. Jej ciemne włosy były starannie upięte w wyszukaną fryzurę, a nadgarstki i uszy przystrojone połyskującymi szmaragdami w kolorze jej oczu.

– Oczywiście. – Wyszedł zza biurka. – Ja też nie mogę się doczekać, by złożyć wyrazy współczucia baronowej Orlindzie.

Żona chciała od razu udać się do baronowej, ale on opóźniał wyjście, tłumacząc, że lista ciekawskich pragnących odwiedzić ją w domu siostry, gdzie obecnie się znajdowała, będzie i tak nazbyt długa.

Hrabina wzruszyła ramionami.

– Cóż, naprawdę jej współczuję. Ale tak kończy się niemoralne zachowanie.

– Tak, z pewnością – przytaknął.

Nie obawiał się, że żona dowie się o jego obecności na balu. Baronowa nigdy z nikim nie omawiała listy gości biorących udział w jej przyjęciach, ani też nikt nigdy się do nich nie przyznawał.

– Idziemy więc? – zapytał, podając ramię hrabinie.

Dla niego nie była to jedynie towarzyska wizyta. Gdyby tak było, wystarczyłoby, żeby hrabina przekazała wyrazy współczucia w jego imieniu. Liczył, że dowie się, czy obecność Quinna na balu była przypadkowa, czy też nie. Biorąc pod uwagę jego późniejszą wizytę w domu Lysette, wątpił, by było to dzieło przypadku. Lysette i Quinn nie pracowali już dla Anglików. Dlaczego więc nie wyjeżdżał z Paryża?

Niewykluczone, że najprościej byłoby go po prostu zabić i mieć z głowy. Za zabicie kogoś niebędącego na służbie nie groziła mu żadna kara.

Hrabia nie odrzucił tej myśli z całą stanowczością, a jak miało się okazać później, miał ją jeszcze raz rozważyć.

ROZDZIAŁ 14

Dochodziło południe, gdy Simon otrzymał pierwszą wiadomość. Była od wicehrabiny de Grenier, napisana pięknym kobiecym piśmem. Pytała, czy rozważył jej propozycję. Przeszło mu przez chwilę przez myśl, by cisnąć list do kominka, ale w końcu schował go do szuflady.

Potem otrzymał kolejną wiadomość. Ta zawierała jedynie adres salonu krawieckiego i nic poza tym. W odróżnieniu od listu od hrabiny, tę wiadomość Simon przyjął z ulgą.

Chwycił marynarkę i wyszedł w pośpiechu. Siedzenie w domu było teraz dla niego udręką. Dom wypełniony wspomnieniem Lynette był ostatnim miejscem, w którym chciał być, a zarazem jedynym, gdzie mógł oczekiwać na wiadomość i zabijać czas, aż będzie odpowiedni, by złożyć wizytę Lysette.

Jechał galopem, kierowany uczuciem, że jest zmuszany do postępowania wbrew swojej woli i wbrew wszelkim instynktom. Nie mógł się wycofać ani pójść do przodu, a brak informacji blokował mu drogę.

Znał dobrze ten adres, ale i tak kluczył, żeby zgubić ewentualny „ogon”. W końcu dotarł na miejsce.

Dźwięk dzwonka drzwi sklepowych poinformował o jego przybyciu, ale w środku nie zobaczył żadnej znanej twarzy.

Zjął kapelusz i rozejrzał się po sklepie, przesunął wzrokiem po różnych materiałach i kliencie, rozmawiającym z rudowłosą ekspedientką. W końcu zauważył znajomą rękę machającą do niego

zza zasłony na tyłach. Poszedł w jej kierunku, aż znalazł się za belami wełny, gdzie znajdował się też Richard.

– Chwilę ci się zeszło, Quinn – powiedział Richard ze śmiechem.

Siedział za stołem, na którym leżały skrawki materiałów i szpulki nici. Jak zwykle, wyglądał na odprężonego i beztroskiego. Simon jednak nie dał się zwieść tej pozie.

Zajął wskazane mu przez Richarda miejsce i położył kapelusz na stole, mówiąc:

– Interesujące miejsce na spotkanie.

– To zasługa Amie – Richard wskazał gestem na dziewczynę o prostych rysach, która siedziała w kącie, nawlekając igłę – i jej matki, Nathalie.

Rudowłosa kobieta minęła Simona, postawiła na stole wyszczerbiony serwis i naląła im herbaty.

– Mąż Nathalie jest krawcem – wyjaśnił Richard. – Ale w tym tygodniu leży chory w domu.

– *Merci beaucoup*^[*] – zwrócił się do kobiety Simon, po czym posłał całusa dziewczynie. Ta oblała się rumieńcem i spuściła wzrok.

– Kobiety ulegają ci zbyt łatwo – stwierdził Richard. – Mnie zajęło dwie godziny, zanim obdarzyła mnie spojrzeniem.

– Ale w końcu wysiłek się opłacił.

– Wolałbym robić to bez wysiłku, jak ty.

Simon wziął podany mu spodek z filiżanką, rozsiadł się możliwie wygodnie na rozchwianym siedzisku.

– Powiedz, że dowiedziałeś się czegoś cennego.

– Nie jestem przekonany, czy te informacje są faktycznie cenne, ale z pewnością są bardzo ciekawe. – Richard podziękował za herbatę, oparł ręce na stole i nachylił się w kierunku Simona. – Zdobycie informacji na temat wicehrabiego de Grenier było chyba najłatwiejszym z moich zadań.

– Tak?

– Tak. Uwikłany był w taki skandal, że jego echa nie przebrzmiały aż do dziś.

– To zawsze uroczą sytuacja.

– Tak. Najwyraźniej był zaręczony z Marguerite Piccard, która była niczym najjaśniejszy klejnot, z tego co mi powiedziano.

– Nadal jest – powiedział Simon, odstawiając filiżankę, z której nie upił nawet łyka herbaty. Miał ochotę na alkohol, nie na ciepłą herbatkę.

– Jednak nim zdążyli się pobrać, uciekła z markizem Saint-Martinem, znanym libertynem, który w dodatku był wtedy żonaty. Usłyszałem różne niesłychane historie o kobietach szalejących za nim z rozpaczy, ale to najwyraźniej nie odstraszyło *mademoiselle* Piccard.

Przed oczami Simona stanął obraz wyniosłej i chłodnej kobiety, którą znał, i uniósł brew na te wiadomości. Następnie pomyślał o Lynette i jej namiętnej naturze. Wyglądało na to, że obie kobiety były bardzo zdeterminowane w osiągnięciu własnych celów.

– Przez ponad rok była jego kochanką – kontynuował swoją opowieść Richard – po czym wróciła do de Greniera. Ten ożenił się z nią mimo wszystko. Jest on swego rodzaju dyplomatą w Polsce, gdzie od tamtej pory mieszkają. De Grenier czasem przyjeżdża do Francji, lecz zawsze sam. Mieli dwie córki, ale jedna niedawno zmarła.

– Czy rozstała się z Saint-Martinem polubownie?

– Mówi się, że jurny markiz załamał się po jej odejściu. Nie widziano go długie miesiące po jej ślubie, a gdy wrócił, już nigdy nie był taki jak dawniej.

Simon zastanowił się, marszcząc brwi.

– Kiedy to dokładnie się działo?

– W pięćdziesiątym siódmym. Co więcej, nie jestem pewny, czy są jakoś spokrewnieni, ale Saint-Martin nosi nazwisko Rousseau.

– To nie może być przypadek. I tak już ich za dużo w całej tej historii.

– Wiesz, co to oznacza?

– Być może. – Simon nagle pożałował braku snu, przeklinając spowolniony umysł. – Nie mów nic o tym Eddingtonowi.

– Oczywiście, że nie – wymamrotał Richard. – Znasz mnie przecież.

Simon wstał z krzesła.

– No i? Zamierzasz mi powiedzieć, o co u diabła w tym wszystkim chodzi? – zażądał Richard.

– Nie, jeszcze nie.

– Cholera, Quinn... Nie idź jeszcze! Nie powiedziałem ci wszystkiego.

Quinn zatrzymał się.

– Powiem ci, jeśli i ty mi powiesz.

– Becking... – zagrmiał Simon.

– No dobrze. Zachęcony sukcesami wczorajszej nocy, zatrzymałem się przy rezydencji *mademoiselle* Rousseau dziś po południu. W zasadzie, tuż przed przyjściem tutaj. Właśnie wychodził jeden z jej służących, więc ruszyłem za nim. Poszedł prosto do rezydencji Desjardins'a, gdzie przyjęto go jak gościa, nie jak służącego.

– Może to trochę dziwne – stwierdził Simon – ale nie zdziwiłbym się, gdyby Desjardins utrzymywał ją i opłacał jej służbę. Pewnie oczekuje od nich raportów z jej zajęć oraz listę osób, które ją odwiedzają.

– Ale to nie jest wcale najciekawsze. – Richard rozsiadł się z szerokim uśmiechem. – Śledził go też ten jegomość, James. I był w tym cholernie dobry, muszę przyznać. Nie miałem świadomości jego obecności dopóki nie wsiadłem na konia, żeby przyjechać na spotkanie z tobą. Dopiero wtedy go zauważyłem.

– Czyli... myszka zaczyna podejrzewać zasadzkę. – Simon pokiwał głową. – Świetna robota, jak zawsze, Becking. Możesz powiedzieć o tym Eddingtonowi. Powinien być przez chwilę zadowolony.

– Ech, miałem dziś szczęście.

Simon poklepał go po ramieniu.

– Zobaczymy, czego uda ci się dowiedzieć o markizie.

– Już się tym zająłem. Po trosze ze względu na ciebie, a po trosze na mnie. Dawno już nie miałem takich ciekawych historii.

Simon uśmiechnął się i wyszedł ze sklepu, z zamiarem udania się do Lysette.

Desjardins sprawdził kieszeń w poszukiwaniu koperty, pokonując schody prowadzące do pokoju Lysette. Kolejne żądanie L'Esprita tym razem dotyczyło Simona Quinna. Na gust hrabiego, ten mężczyzna za bardzo już zbliżył się do Lysette. Jeśli nie będzie wystarczająco ostrożny, może ją stracić.

Zapukał do drzwi i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. W końcu był w swoim domu.

– *Ma petite* – powiedział, podchodząc do łóżka.

Lysette leżała, choć znajdowała się w bardziej półsiedzącej pozycji. Ubrana w koszulę nocną, przykryta pod szyję, wyglądała na niezwykle drobną i delikatną. Przypominała mu jego córkę Anę, a wspomnienie to ścisnęło mu gardło.

– Panie – powiedziała cichym, ochryłym głosem.

Przystawił sobie do łóżka krzesło, po czym usiadł przy niej.

– Jak się czujesz?

– Zmęczona. Skołowana.

– Cóż, nie pomogę ci z tym pierwszym, ale być może mogę coś ci naświetlić.

Westchnęła, po czym zaniósła się na krótką chwilę kaszlem. Chwyła dużą chustkę leżącą na kolanach i przytknęła ją do ust.

– Był u ciebie jeszcze lekarz?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Po wyjściu poślę po niego.

– Dziękuję.

Desjardins uśmiechnął się.

– Zrobiłbym dla ciebie wszystko.

Skinęła głową z poważną miną.

– Mam nadzieję, że to uczucie jest odwzajemnione – powiedział.

– Czy przez minione dwa lata jeszcze ci tego nie udowodniłam?

– Tak, oczywiście. – Oparł kostkę na kolanie drugiej nogi. – Ale świat się zmienia, wojny wybuchają. Przyjaciele zmieniają się we wrogów, a wrogowie w przyjaciół. Tak to już jest.

Lynette zamrużyła, marszcząc brwi.

– Co się stało?

Hrabia rozejrzył się po pokoju i zauważył pokrytą różowym atłasem otomanę.

– To na tym spał James?

– Tak przypuszczam.

W jej głosie zabrzmiała nuta zdziwienia. Hrabia spojrzał ponownie na nią.

– Czy to jest źródło twojego skołowania?

– Tak – przyznała, ściskając w dłoni chusteczkę. – Nie rozumiem, dlaczego zadał sobie tyle trudu. Chyba że nie jest tak niewinny, na jakiego wygląda. Istnieje możliwość, że zainteresowała go twoja osoba?

– Wątpię. Czy tak trudno uwierzyć, że troszczył się o ciebie, bo mu na tobie zależy?

– Dlaczego? Przecież w ogóle mnie nie zna.

Desjardins wzruszył ramionami.

– A cóż tu trzeba wiedzieć? Jakie są twoje ulubione potrawy albo miejsca? Takie szczegóły bywają interesujące i mogą być przydatne w rozmowie, ale czy mają jakiegokolwiek znaczenie dla odczuć, które mamy, poznając kogoś po raz pierwszy? Wiemy przecież od razu, czy chcemy kogoś poznać lepiej, czy też nie. Najwyraźniej James chciałby poznać cię lepiej.

Zacisnęła usta.

– Myślę, że jesteś dla niego zagadką. A należy do mężczyzn ceniących sobie wyzwania.

– Zagadką – powtórzyła.

– Tak myślę.

– Hm... – Jej spojrzenie zaostriżyło się. – Zatem zdradź mi powód swojej wizyty.

– Chciałem upewnić się, że dobrze się czujesz.

– Thierry mógł cię o tym poinformować.

Hrabia uśmiechnął się.

– Tak, ale niektóre rzeczy wolę sprawdzić osobiście.

– Obawiasz się, że mogę uciec? – zapytała miękko.

– Być może. Quinn najwyraźniej nie daje za wygraną. A może połączyło was coś więcej, niż powiedziałaś.

– Mówisz tak tylko dlatego, że tu był?

– Mówię to, bo postawił człowieka, który obserwuje twój dom.

Lysette zeszywniała, nie spuszczać wzroku z Desjardins'a. Był jakiś inny niż zawsze, jakby spięty. To zmusiło jej nerwy do czujności i zalał ją niepokój. Wzburzony drapieznik jest zawsze bardzo niebezpieczny.

– Muszę przyznać, że ulżyło mi, widząc, że wcale cię to nie cieszy.

– Oczywiście, że nie – parsknęła. – Nie lubię, gdy ktokolwiek wcina się w moje życie. Wystarczająco trudno jest żyć ze świadomością, że nic nie umyka twojej uwagi.

– Chciałbym, żeby faktycznie tak było.

Odłożyła chustkę i założyła ręce na piersi.

– Powiedz, co cię trapi. – W tej chwili brakowało jej cierpliwości, żeby kontynuować rozmowę na błaży temat, gdy ewidentnie chodziło o coś ważnego.

Wyciągnął z kieszeni kopertę i rzucił w jej kierunku. Upadła obok jej uda. Podniosła ją, oglądając badawczo. Zauważyła czarną, pustą pieczęć. Przód był czysty, nie była do nikogo zaadresowana.

Podniosła wzrok na hrabiego.

– Mam przeczytać?

– Tak, proszę.

Ostrożnie otworzyła kopertę i przeczytała wiadomość.

– Kto to przysłał? – zapytała przerażona brutalnością i okrucieństwem żądania informacji o Quinnie pod groźbą zranienia córki Desjardins’a.

– Człowiek, który podpisuje się jako L’Esprit – powiedział pełnym jadu głosem hrabia. – Cierń w moim boku od ponad dwóch dekad.

Opuściła ręce bez sił. Była zdumiona, że Desjardins może być równie bezbronny, jak ona.

– I przez cały czas groził ci śmiercią twoich najbliższych?

– Od samego początku. Gdyby było inaczej, nigdy bym mu nie pomagał.

Hrabia wstał i zaczął chodzić ze złością po pokoju.

– To L’Esprit jest powodem twojego zlecenia na poznanie Jamesa. Jest on bardzo zainteresowany Benjaminem Franklinem i liczyłem, że dowiesz się czegoś ważnego, co by wywabiło L’Esprita z ukrycia.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Teraz chodzi już o coś więcej. Czytałaś jego ostatnie żądanie. Chodzi o Quinna. Jego człowieka zauważono, gdy śledził Thierrego do mojego domu. Kwestią czasu jest, gdy L’Esprit dojdzie za Thierrem lub Quinnem do ciebie.

Lysette przeniknął zimny dreszcz mimo kołder.

– Widzę, że to cię bardzo martwi.

– Powinno zmartwić i ciebie – powiedział Desjardins. Depardue był jego szpiegiem wśród *Illumines*. Gdy L’Esprit dowie się, że zabiłaś jego najbardziej zaufanego porucznika, odbierze mi ciebie. Okaże łaskę, zabijając cię. Widziałem, jak niszczył ludzi.

– Niszczył? – wyszeptała, bardziej wystraszona lękiem Desjardins’a, niż całą tą historią. Po tym wszystkim, co razem przeszli, nigdy nie widziała, żeby choć na chwilę stracił pewność siebie.

– Kiedyś żywił urazę wobec markiza Saint-Martin. Odebrał mu wszystko, co było mu drogie. Nie zostawił nic.

– Co możemy zrobić?

– Wykorzystaj swoją chorobę, by wejść w życie Jamesa. Pozwól mu, by robił, co w jego mocy, byś była szczęśliwa. Pozwól, by nawiązała się między wami więź. To nie powinno być zbyt trudne, w końcu uratował ci życie.

– A co z Quinnem? Na pewno jeszcze wróci.

– Ja zajmę się Quinnem.

W słowach hrabiego zadźwięczała złowroga groźba. Żołądek Lysette ścisnął bolesny skurcz. Gorliwość hrabiego udzieliła się i jej.

– Zrobię co mogę w sprawie Jamesa. Obiecuję.

– Dziękuję. – Hrabia podszedł i ucałował grzbiet jej dłoni.

Potem wyjął z jej rąk kopertę i schował z powrotem do kieszeni. – Dopilnuję twojej przeprowadzki. Ten dom nie jest już dla ciebie bezpieczną kryjówką.

Z tymi słowami wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Lysette przycisnęła twarz do poduszki i zapłakała cicho. Obawiała się, że nie zdoła poznać swojej przeszłości, zanim przyszłość przyniesie jej śmierć.

– Twoje życie jest strasznie pogmatwane – usłyszała nagle niski głos za plecami. Poderwała się i zobaczyła Simona Quinna w drzwiach prowadzących do salonu kąpielowego. Nadal obserwował drzwi, którymi przed chwilą wyszedł Desjardins.

– Jak się tu znalazłeś? – zapytała, podciągając się na łóżku z wysiłkiem i ze złością wycierając mokre oczy.

– Daj spokój – upomniał ją. – Mam swoje sposoby.

Lysette patrzyła, jak wchodzi do jej sypialni niczym do swojej. Chwycił krzesło, na którym siedział Desjardins, i usadowił się na nim, zakładając ręce za głowę.

Był bezczelnie dominującym samcem w nader kobiecym otoczeniu jej sypialni w odcieniach różu. Nie zadawał sobie trudu, by zachowywać się choć odrobinę subtelniej. Simon rażąco różnił się od Edwarda, nie dało się tego nie zauważyć. Edward był

mężczyzną w każdym calu, do tego porywczym, ale przez cały ranek starał się kontrolować w jej obecności. Ścisnęło ją w pierśsiach, gdy odgoniła od siebie to wspomnienie. Nie mogła teraz pozwolić sobie na rozmyślanie o nim. To byłoby zbyt wiele dla jej umęczonej duszy.

– Opowiedz mi o sobie, Lysette – zakpił Simon, świdrując ją wzrokiem.

– Powinam zabić cię za to najście – wycedziła, chowając rozzalenie pod przykrywką gniewu, czego nauczyła się, by przetrwać.

– Chciałbym to zobaczyć. Jesteś teraz słabiutka niczym kociak.

– Jeśli zacznę krzyczeć, nadejdzie pomoc.

– Służba, opłacana przez Desjardins'a? – zaśmiał się Quinn.

Zacisnęła ze złości szczękę. Miał rację. Była słaba, chociaż kiedyś obiecała sobie, że już nigdy więcej.

– Nie przyszedłem tu po to, by cię skrzywdzić – powiedział nagle, a uśmiech zszedł z jego twarzy. – Chcę się dowiedzieć, kim jesteś.

– Po co?

– Myślę, że znam twoją rodzinę i chcę sprawdzić, czy mam rację.

Lysette zbladła nagle, dłonie zaczęły się jej pocić ze zdenerwowania.

– Co takiego zrobili ci rodzice, że dałaś się uwikłać w tę skomplikowaną intrygę? – zapytał cicho. – Zagrozili ci zamążpójściem? Wydziedziczeniem?

– Czego chcesz? – wykrzyknęła.

Uniósł brew.

– Tu nie chodzi o mnie.

– Moja rodzina nie żyje.

Wypuścił powietrze nosem.

– Kłamstwo jest grzechem. Choć pewnie w twoim wypadku najmniejszym z tych, które masz na sumieniu.

– Jesteś taki arogancki – wypaliła Lysette. – Jakbyś wiedział już wszystko, jakbyś był w jakiś sposób lepszy ode mnie.

– W tej chwili mam wrażenie, że nic nie wiem i liczę, że mnie oświecisz.

Do tej pory Lysette udawało się przetrwać w ogromnej mierze dzięki umiejętności właściwej oceny sytuacji. Teraz ugięła się pod wrażeniem, że Simon jest z nią szczerzy. Umysł podpowiadał jej, że to jakiś podstęp, ale serce zapewniało o jego dobrych intencjach.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Twoja siostra nadal bardzo cię kocha i nie może przeboleć, że cię straciła. Nie dbasz o to zupełnie? Czy twoje serce jest tak lodowate, że tak po prostu potrafisz wyrzucić ją ze swojego życia?

– Moja s-siostra? – Lysette chwyciła się za gardło, a pokój zaczął wirować jej przed oczami. Skurcz w żołądku nasilił się i sięgnęła na oślep po miskę.

Simon błyskawicznie znalazł się przy niej, a krzesło, z którego się poderwał, upadło na podłogę. Przytrzymał jej miskę przy ustach, gdy wymiotowała gwałtownie. Jej osłabione ciało nie zniosło nadmiaru wrażeń tego dnia.

Gdy skończyła i opadła bez sił na poduszkę, Simon podszedł do drzwi, zamykając je na klucz. Chwilę potem rozległo się pukanie, klamka poruszyła się i dobiegł ich kobiecy głos.

– Madame Marchant, wszystko w porządku?

Simon spojrzał na nią, na jego twarzy malowało się wyzwanie, by zdradziła jego obecność.

Lysette wzięła głęboki oddech i odpowiedziała:

– Idąc dla łazienki, przewróciłam krzesło. Nic się nie stało, proszę się nie martwić.

– Pójdę po klucz i pomogę pani – zaproponowała madame Fouche.

– Nie! Nie trzeba. Chcę spać. Niczego więcej nie potrzebuję. Nastąpiła długa chwila ciszy, aż w końcu:

– Dobrze. Proszę dzwonić dzwonkiem ze stolika nocnego, gdyby pani czegoś potrzebowała.

Simon stał, nasłuchując z uchem przyciśniętym do drzwi. W końcu skinął głową, podszedł do krzesła i postawił je z powrotem na miejsce. Usiadł i czekał cierpliwie, aż ona się odezwie.

– Co chcesz usłyszeć? – zapytała. Głowa bolała ją niemiłosiernie. Przed oczami tańczyły jej plamki, a na czoło wstąpił pot.

– Staram się zrozumieć, co czujesz do Lynette.

– Lynette?

Po jego przystojnej twarzy przemknął cień.

– To imię jest ci obce, prawda?

Pokręciła przecząco głową. Zatliła się w niej nadzieja, od której zakręciło jej się w głowie jeszcze bardziej.

– Gdzie jest twoja rodzina, Lysette. Kim oni są?

– Nie wiem – szepnęła, czując się obnażona, jakby stała nago pośród tłumu.

– Jak możesz nie wiedzieć, skąd się wywodzisz? Sam jestem bękartem, a wiem, że urodziłem się w Dublinie, a moja matka była szwaczka.

Przełknęła z trudem ślinę i roztrzęsioną ręką sięgnęła po mokry ręcznik leżący na talerzu obok niej. Przyłożyła go sobie do rozpalonej gorączką szyi.

– Nie pamiętam niczego ze swojej przeszłości do dwóch lat wstecz.

Zamarł, przyglądając jej się.

– Jak to możliwe?

– Sama chciałabym to wiedzieć! – krzyknęła i wybuchła płaczem. – Codziennie o tym myślę.

– Cholera jasna. – Simon wstał i zaczął krążyć nerwowo po pokoju, zupełnie jak Desjardins chwilę wcześniej. – Dwa lata temu młoda kobieta o twoim imieniu zginęła. Jej rodzina pochowała ciało. Pozostała po niej siostra bliźniaczka, Lynette, i rodzice.

– Bliźniaczka?

Czy to możliwe? Czyżby los okazał się w końcu łaskawy i podarował jej siostrę, której tożsamość nie mogła być podważona?

– Tak. – Zatrzymał się, przeczesał palcami włosy. Oddychał szybko i wydawał się bardzo poruszony, ale nie dbał o to. – Jak odkryłaś, jak masz na imię?

– Depardue nazywał mnie Lysette. I... pasowało do mnie to imię, więc je zostawiłam.

– Depardue?

– Tak, niestety, jest on moim pierwszym wspomnieniem. – Zadrżała i znowu poczuła się chora. Być może ponownie zwymiotuje, jeśli cokolwiek zostało w jej żołądku.

– A Rousseau? Albo Marchant?

– Desjardins nadał mi nazwisko Rousseau, twierdząc, że ono do mnie pasuje. Z zasady używam Marchant, jako dodatkową ochronę przed Depardue. Był zły, że stracił mnie na rzecz Desjardins'a, ale i tak odnajdywał mnie, jeśli wiedział, gdzie szukać.

– Wobec mnie nie używałaś tego nazwiska.

– Moja podróż do Anglii miała być ostatnią przysługą dla Desjardins'a. Obiecał mi, że jeśli zdobędę dla niego nazwisko twojego pracodawcy, zwróci mi wolność. Nie miałam zatem powodu, by ukrywać swoje nazwisko, tym bardziej że nie byłam pewna, czy faktycznie jest ono moje.

– Myślę, że Desjardins doskonale wie, kim jesteś, i trzymał cię w zanadrzu jak asa w rękawie, by w odpowiedniej sytuacji wykorzystać.

– Nie... – Usta jej zadrżały. Przygryzła je, by ukryć dowód swojej słabości.

– Naprawdę sądzisz, że zależy mu na tobie, skoro wysyłał cię, żebyś likwidowała ludzi stojących na drodze do realizacji jego planów?

Lysette nic nie odpowiedziała. Serce pękało jej na myśl, że nie ma nikogo, na kogo by mogła liczyć. Nie, nie wierzyła

w jakąkolwiek miłość ze strony Desjardins'a, ale liczyła, że darzy ją chociaż serdecznym uczuciem.

Simon podszedł do niej i przysiadł na krawędzi łóżka. Ujął jej dłoń. Zmusił, by spojrzała na niego. Jego rysy były dziwnie ściągnięte.

– Twoja rodzina cię kocha. Tęsknią za tobą. Mimo wszystko, co zrobiłaś, przyjęliby cię z otwartymi ramionami. Jestem tego pewien.

Przełknęła głośno.

– Nie jestem tego warta. Już nie.

– Nie tobie o tym decydować – powiedział ze smutkiem, głaszcząc ją po dłoni. – Ale ktoś pragnie twojej śmierci i zadał sobie wiele trudu, by wyglądało na to, że mu się udało. Gdzieś w Polsce złożono ciało do grobu, a na krypcie widnieje twoje imię. Na razie nie powinnaś się ujawniać.

– Wiedzą, że żyję? – zapytała, zabierając rękę, by otrzeć łzy.

– Tak jakby. Tylko twoja siostra ma jeszcze nadzieję. Twoja matka widziała twoje ciało, jej mąż również. Jej trudniej więc w to uwierzyć.

– Rozumiem.

– Wystarczy jedno spojrzenie na ciebie, by wyzbyć się wszelkich wątpliwości – powiedział cicho.

– Nigdy nie darzyłeś mnie sympatią – wyszeptala. – Dlaczego mówisz mi to wszystko? Dlaczego nie zostawisz mnie na śmierć?

– Chciałbym móc to zrobić. – Simon pokręcił głową. – Nie wyobrażam sobie, byś mogła przynieść im coś poza cierpieniem.

Lysette od razu zauważyła gniew, z jakim wypowiedział te słowa w imieniu jej siostry. Otworzyła oczy ze zdziwienia.

– Lynette, robisz to dla niej, prawda?

Na jego twarzy odmalowało się napięcie.

Zaśmiała się lekko. Simon poderwał się z łóżka, ciskając pod nosem przekleństwa.

– Biedny Simon – zadrwiła. – To musiało być dla ciebie trudne, żeby poczuć *tendre*^[**] do kobiety, która wygląda jak ja.

– Wiedźma – warknęła. Spojrzenie miał pełne chłodu, ale nie przestraszyła się. Był psem, który dużo czekał. Kąsał tylko w ostateczności.

– To co teraz?

– Ty nie rób nic – powiedział. – Nikomu nie zdradzaj, co ci powiedziałem. Wiemy jeszcze zbyt mało. Daj mi czas.

– Poluje na ciebie zabójca.

– Słyszałem. Zostaw go mnie.

Lysette wstrzymała oddech. Gorączkowo rozmyślała, co powiedzieć, by wyrazić wdzięczność, którą czuła.

– Żałuję, że nic nie mogę zrobić.

– Możesz. Cokolwiek uda ci się wyciągnąć z Jamesa, najpierw przekaz to mnie.

– Od Jamesa? – Jej serce stanęło na chwilę. – Dlaczego musisz go w to wciągać?

– To z jego powodu jestem nadal w Paryżu, uwikłany w twoją przeszłość. – Simon wycofał się do salonu kąpielowego, ewidentnie pogrążony we własnych myślach. – Wracaj do zdrowia – powiedział. – Możliwe, że będziesz mi potrzebna.

Zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Lysette została sama w łóżku, czuła się chora na ciele i umyśle, rozdarta między radością a głębokim żalem.

– Edward – szepnęła, wtulając się w poduszkę.

Los był dla niej niesprawiedliwy, podając jej jedną rękę, a zabierając drugą. Czy już zawsze miała być przekleństwem dla tych, którzy okazywali jej dobroć?

Wtulila twarz w poduszkę i usnęła, płacząc.

[*] Dziękuję bardzo.

[**] Czułość.

ROZDZIAŁ 15

Simon opuszczał dom Lysette bogatszy. Miał ubranie lokaja, Thierry'ego. Nosili ten sam rozmiar i byli podobnego wzrostu. Thierry nie wzbudzał niczyich podejrzeń, odwiedzając dom Desjardins'a, co również zamierzał zresztą zrobić Simon.

Schował swoje ubranie za cisem rosnącym przy kamiennym ogrodzeniu ogrodu rezydencji i wyszedł bocznym wejściem. Nasunął głęboko na oczy kapelusz Thierry'ego, ręce schował do kieszeni i poszedł pieszo w kierunku domu Desjardins'a.

Nie był on ani specjalnie blisko, ani daleko. Była to idealna odległość, pozwalająca na poskładanie w głowie fragmentów informacji, które posiadał, i stwierdzenie, czego jeszcze nie wiedział. Obejrzał się wokoło z uwagą, ale nic niepokojącego nie rzuciło mu się w oczy. Ponieważ był tak skupiony, całkowicie zaskoczyło go uderzenie dłoni w rękawicze, wysuniętej z nieoznakowanego i nieco sfatygowanego powozu stojącego nieopodal rezydencji Desjardins'a.

Zatrzymał się w pół kroku i szybko odzyskał rezon, przyjmując wciśniętą mu w ręce kopertę z czarną pieczęcią. Odwrócił głowę, żeby nie dać się zdemaskować. Zasłonki były zaciągnięte, a dłoń i ręka całkowicie zakryte.

– Powiedz mu, że zacznam się niecierpliwić – wychrypiął skrzypliwy głos z wnętrza powozu. Rozległo się stuknięcie w dach i powóz ruszył.

Simon schował kopertę do kieszeni i ruszył dalej pewnym krokiem, nie dając po sobie poznać, że wydarzyło się coś dla niego

nieoczekiwanego. W środku jednak targało nim uczucie narastającego niepokoju.

L'Esprit najwyraźniej nie był elementem zmyślnej taktyki Desjardins'a, jak to początkowo zakładał Simon. Istniał naprawdę i był kolejnym czyhającym niebezpieczeństwem.

Po chwili stał już przed drzwiami rezydencji Desjardins'a i uderzył ze zniecierpliwieniem kołatką. Kamerdyner otworzył mu drzwi i już miał go wpuścić do środka, gdy zauważył, że mężczyzna stojący na progu nie jest Thierryem.

– *Monsieur Quinn*.

Simon schował wizytówkę i wszedł do środka, torując sobie drogę ramieniem.

Sluga już miał zaprotestować, ale dostrzegłszy ostre spojrzenie Simona, zdecydował się odpuścić. Zamiast tego zaprowadził go do gabinetu, gdzie Simon rozgościł się i nalał sobie szklaneczkę brandy, zanim usiadł wygodnie w fotelu.

– Quinn – powitał go Desjardins, pojawiając się chwilę później.

– Co za niespodzianka.

Hrabia zatrzymał wzrok na ubraniu Thierry'ego z niepokojem na twarzy. Simon skwapliwie to wykorzystał.

– Mam coś dla ciebie – powiedział, odstawiając drinka na biurko i sięgając po kopertę od L'Esprita. Oglądał ją w teatralnym geście.

– Ciekawa pieczęć. A raczej brak takowej.

– Daj mi to – wycedził ze złością hrabia, strzelając palcami.

– Nie. – Simon złamał pieczęć i otworzył kopertę.

Hrabia rzucił się, wrywając kopertę z jego dłoni.

Simon uśmiechnął się.

– Czego L'Esprit chce tym razem?

Desjardins pobladł.

– Co wiesz o L'Espricie?

– Niezbyt wiele, ale zaraz powiesz mi więcej.

– Wynoś się stąd. – Hrabia drżącą ręką wepchnął podartą kopertę do kieszeni marynarki. – Wynoś się, zanim każę cię wyrzucić.

– Kazesz mi wyjść, zanim dowiesz się czegoś więcej? To nie w twoim stylu. – Simon pokręcił głową i przybrał strapioną minę.

– Zastanawiam się, co jest tego przyczyną? Może przerażenie?

– To śmieszne! – krzyknął hrabia. – Jesteś niczym. Niczym dla mnie i dla Anglików. Gdyby coś ci się stało, nikt by cię nie żałował.

– Czy to groźba? – Simon pochylił się, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. – Pewnie to samo pomyślałeś o Lysette Baillon.

Czy może Rousseau? Przyznaję, trochę się w tym pogubiłem. Nieważne, ważne, że się myliłeś. Jest ktoś, kto za nią tęsknił.

A teraz się odnalazła.

Desjardins zacisnął wściekły pięści.

– Zechcesz to wyjaśnić?

– Nie, nie. Jedyne wyjaśnienia, jakie tu usłyszę, padną z twoich ust.

– Lepiej byś zrobił, zapominając o tym, co wydaje ci się, że wiesz, i wyjeżdżając z Francji. Sprawy, w które wpychasz nos, zaprowadzą cię prosto do piekła.

– Od dwudziestu lat jesteś uwiązany na smyczy L'Esprita. Najwyraźniej sam nie potrafisz się z tego wyplątać. Mogę ci pomóc – wycedził Simon – jeśli uznam, że warto.

Desjardins usiadł, zdradzając zainteresowanie.

– Za jaką cenę?

– Za Lysette. Odejdiesz z jej życia raz na zawsze, jakbyś nigdy nie miał w nim udziału.

Szeroki, triumfalny uśmiech, który pojawił się na twarzy hrabiego, przyprawił Simona o cichy śmiech.

– Wiedziałem, że darzysz ją uczuciem! – powiedział Desjardins z pewnością siebie.

– Nieważne, co ci się wydaje, że wiesz. Opowiedz mi o L'Espricie.

Desjardins zacisnął usta, założył ręce na piersi i oparł się w fotelu. Zapadła długa cisza. W końcu zaczął mówić, a Simon przysłuchiwał się jego słowom w skupieniu.

Gdy skończył, Simon zapytał:

- Ile czasu upłynęło od zrujnowania Saint-Martina do chwili, gdy otrzymałeś kolejną wiadomość?
- Mniej więcej dziesięć lat.
- A gdy się wtedy odezwał, nie przyszedł jak zwykle, do piwnicy?
- Nie.
- I nie wydało ci się to dziwne?
- Cała ta znajomość wydaje mi się dziwna – gorzko stwierdził Desjardins.

– Na początku wiadomości od L’Esprita nie były pisane odręcznie i spotykał się z tobą osobiście, w piwniczce. Późniejsze wiadomości są pisane ręcznie, a sam L’Esprit unika osobistego kontaktu. Początkowo wszystkie wiadomości zawierały drogocenne klejnoty, a teraz nie.

– Pierwsza z późniejszych wiadomości zawierała klejnoty – sprostował hrabia. – Dopiero jak odmówiłem dalszej współpracy, zastąpił je groźbami wobec mojej rodziny.

– I nigdy nie sprawdziłeś, czy wiadomości pochodzą od tego samego nadawcy?

– A dlaczego miałbym wątpić. L’Esprit jest jedyny w swoim rodzaju. Nawet ty musisz to widzieć, Quinn.

Ta obelga nie umknęła uwagi Simona, ale zdecydował się ją zignorować.

– Wszystko da się podrobić, jeśli ma się wystarczająco dużo sprytu.

Hrabia zamyślił się nad tym stwierdzeniem.

- Jak zamierzasz mi pomóc? – zapytał w końcu.
- Myślę, że dziś dowiedliśmy, że tego człowieka da się oszukać.
- Myślisz, że uda nam się go zwabić, wystawiając Thierry’ego?
- Nie – odparł Simon, bębniąc palcami o kolano. – Myślę, że Thierry zna L’Esprita lepiej niż sądzisz. Gdy przemówił do mnie, w jego głosie dało się usłyszeć coś dziwnego. Jakby nie do końca

wydawał polecenie. Brzmiało to raczej jak upomnienie. Coś, co powiedzielibyśmy do kogoś, kto nie do końca nam podlega.

– *Absurde*. Thierry od lat dla mnie pracuje.

– Lojalność osób, z którymi ty i ja współpracujemy, da się kupić.

Gdyby umknęło to twojej uwagi, L'Esprit również zna Thierry'ego od lat.

– Nic nie umyka mojej uwagi poza tym, jak mógłbyś mi pomóc – stwierdził cierpko hrabia. – Gdyby Thierry pracował dla L'Esprita, wydałby już Lysette.

– Dlaczego? Czyżby L'Esprit zarządził jej porwanie?

Desjardins milczał, co wiele powiedziało Simonowi.

– Zaaranżuj spotkanie z Saint-Martinem – powiedział Quinn, wstając. – Powiadom mnie o czasie i miejscu.

– Zachowujesz się, jakbym już ci zaufał – odparł Desjardins, również wstając.

– A kto inny ci został?

I tak już cienkie usta hrabiego, zacisnęły się jeszcze mocniej.

– Co masz na myśli?

– Pułapkę.

– Na kogo?

Simon uśmiechnął się szeroko i wyszedł na korytarz, kierując się na tyły domu.

– Jeśli chcesz się dowiedzieć, będziesz musiał zrobić to, co ci mówię.

Przeszedł do kuchni, następnie w dół po schodkach do piwniczki. Desjardins kroczył za nim szybko, niemal biegnąc, by nadążyć. Otworzył drzwi do katakumb i stwierdził:

– Potrzebna mi będzie pochodnia.

– Jakbym miał jakieś pod ręką – prychnął hrabia.

Simon spojrział na niego z uniesioną brwią. Zapadła dłuższa chwila ciszy. Po czym hrabia, ciskając przekleństwami, poszedł do kuchni. Po kilku chwilach wrócił, niosąc zapaloną pochodnię.

– Nie ma tam nic godnego uwagi, Quinn.

– Oczywiście, że nie. – Simon zszedł po kamiennych schodach, zamykając za sobą drzwi.

Tak jak się spodziewał, po mniej więcej trzydziestu minutach znalazł się na cmentarzu, gdzie już kiedyś zaprowadzono go na spotkanie z jego ludźmi. Podziemne korytarze były kręte i ciągnęły się niemal pod całym miastem, ale ślady spalonych pochodni i odymione ściany zdradzały najbardziej uczęszczaną ścieżkę.

Dom, w którym zatrzymała się Lynette, nie był zbyt daleko stąd. Simon wyrzucił pochodnię i udał się w tym kierunku, zdecydowany, by od razu powiadomić Lynette i jej matkę o Lysette.

Nadchodzące godziny i dni niosły ze sobą większe ryzyko (jak zawsze w przypadku głęboko ukrytych sekretów) i gdyby coś mu się przydarzyło, Lysette nie miała wystarczająco informacji na temat swojej rodziny, a Lynette nigdy nie dowiedziałaby się, że choć jej siostra żyje, to nie wszystko jest z nią zupełnie w porządku.

Aleją dotarł do domu kurtyzany i zapukał do drzwi dla służby. Nazwanie szokiem tego, co przeżyła młoda dziewczyna, otworzywszy drzwi i zobaczywszy w nich gościa, nie oddaje jej stanu wystarczająco. Ale po chwili odzyskała zimną krew. Zaprowadziła go do dolnego saloniku i zaanonsowała jego przybycie kamerdynerowi.

Pozostawiony sam sobie, Simon przechadzał się po gustownie urządzonej sypialni; zauważył dyskretne symbole, co wywołało jego uśmiech. Choć kremowo-złota kolorystyka wystroju była iście królewska, wnikliwe oko wyłapało szczegóły świadczące o zmysłowości właścicielki domu. Pólnagie nimfy i satyry tańczyły na sztukaterii i hasały u podstaw lamp, a miniaturowe greckie posągi miały pewne dodatkowe elementy, które przyprawiłyby niejedną damę o pąs.

– Panie Quinn. Jak dobrze, że jest pan ubrany stosownie do okazji.

Odwrócił się na pięcie i ujrzał uroczą wicehrabinę wchodzącą dumnym krokiem do pokoju. Jej strój był mniej oficjalny, niż gdy przyszła do jego domu. Miała na sobie suknię z delikatnego muślinu o kwiatowym wzorze. Wyglądała na niewiele starszą od jej córek. Za nią stała równie uroczą brunetka, która obdarzyła go tak szczerym uśmiechem, że od razu pojął, dlaczego cieszyła się takim wzięciem. Pokłonił się im nisko.

Wicehrabina szybko, acz uprzejmie, przedstawiła ich sobie, po czym gestem pokazała, by usiedli.

– W zupełności wystarczyłaby wiadomość – stwierdziła chłodno.

– By poinformować panią, że Lysette jest cała i zdrowa? – zapytał drwiąco. – Nawet ja, chociaż nie jestem tak znakomitego pochodzenia, mam więcej taktu.

Wyprostowała się i spojrzała na siedzącą obok niej brunetkę. Ta ujęła ją za dłoń.

– Czego pan chce, panie Quinn? – zapytała wicehrabina. – Nie jestem w nastroju do prowadzenia z panem gierki.

Simon przekonany, że wymaga tego sytuacja, darował sobie konwenanse i powiedział:

– Mówi, że nie pamięta niczego do dwóch lat wstecz. To dlatego nie skontaktowała się dotąd z wami.

– Jakże to wygodne – powiedziała z kpina w głosie. – Nie da się pomylić szczegółów, jeśli nic się nie pamięta. Kiedy ją pan do nas przyprowadzi? Jestem pewna, że z radością spotka się z nami i naszym majątkiem.

– Nie zaaranżuję waszego spotkania, dopóki nie będę miał pewności, że jest to bezpieczne.

– Rozumiem. Ile to bezpieczeństwo będzie mnie kosztować?

Simon uśmiechnął się na myśl, jak wicehrabina będzie z nim rozmawiać, kiedy już będzie świadoma, ile mu zawdzięcza.

– Czy wiedziała pani o istnieniu człowieka o nazwisku L'Esprit, gdy była pani w związku z markizem Saint-Martin?

Zbladła.

– Rozumiem – powiedział. – Czy kontaktował się z panią ostatnio?

– Co to pana obchodzi?

– Dziwię się, że i pani, i hrabia Desjardins tak chronicie człowieka, który zatruwa wam życie.

– O niektórych sprawach, szczególnie tych prywatnych i bolesnych, trudno jest mówić z kimś, kogo nie znamy i komu nie ufamy.

– Ja mu ufam.

Głos Lynette spłynął na niego niczym światło słońca przynoszące ból w sercu. Wstał i spojrzał na nią. Westchnął ciężko. Oczy miała podkrążone, a usta spuchnięte od jego pocałunków. Nigdy nie wyglądała piękniej niż teraz.

Uklonił się.

– *Mademoiselle* Baillon, jest pani olśniewająca.

– Panie Quinn – odparła gardłowym, niskim głosem, przynosząc wspomnienie jej jęków w jego łożu. – Bardzo panu do twarzy w tym przebraniu.

– Lynette... – złażała ją wicehrabina. – Wracaj do siebie.

– Nie – odparła i zajęła fotel, kładąc ręce na zdobionych oparciach. – Zostanę. Pan Quinn jest tu tylko przez wzgląd na mnie.

Simon uśmiechnął się i również usiadł.

– Nie życzę sobie...

Solange ścisnęła dłoń przyjaciółki i wicehrabina zamilkła.

– Desjardins otrzymywał rozkazy od L'Esprita przez minionych dziesięć lat – ciągnął Simon.

– Nie wyobrażam sobie, by ktoś robił to lepiej od niego – stwierdziła wicehrabina.

– Myślę, że może mieć on coś wspólnego ze zniknięciem państwa córki, ale nie jestem pewny, czy za tajemniczym pseudonimem L'Esprit ukrywa się ten sam człowiek, który dręczył panią dwadzieścia lat temu.

Solange nachyliła się w jego kierunku.

– Dlaczego, panie Quinn?

Wyjaśnił im różnice dzielące dwa sposoby komunikowania się.

– Nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby uciekać się do takiego podstępu – powiedziała wicehrabina – lub dlaczego ktoś miałby interesować się zniknięciem Lysette.

– Czy to na pewno ona? – zapytała z nadzieją w głosie Lynette.

– Tak – odparł Simon miękko. – Ale nie jest tą samą osobą, którą znałaś. Nie pamięta niczego poza dwoma ostatnimi latami i jest dziś zupełnie inną kobietą.

– Nie dbam o to – stwierdziła z mocą Lynette.

– Możliwe, że zmienisz zdanie, gdy się z nią spotkasz – ostrzegł Simon, ale jego spojrzenie wyrażało zapewnienie o jego wsparciu. Skinęła dłonią i spojrzała na niego z takim uwielbieniem, że z trudem usiadł w miejscu.

– Myślę – zwrócił się ponownie do wicehrabiny – że ktoś, kto kiedyś jako L'Esprit pałał chęcią zemsty na Saint-Martinie, dziś jest kimś spragnionym mścić się za niego.

Wicehrabina ściągnęła brwi.

– Nadal nie rozumiem.

– Czy jest ktoś, kto pała nienawiścią do pani i pani córek? Ktoś, kto nie może znieść myśli o pani szczęściu i za wszelką cenę chce panią zniszczyć?

Poderwała się na równe nogi.

– Ma pan na myśli Saint-Martina?

Simon wstał.

– Desjardins powiedział mi, że kiedyś celem L'Esprita było zrujnowanie Saint-Martina. Ale nowy L'Esprit, ten, który odręcznie pisze wiadomości i nie składa hrabiemu wizyt, wysuwa żądania, które nie mają nic wspólnego z markizem. Mają one na celu dokuczyć samemu Desjardins'owi.

– Saint-Martin nigdy by mnie nie skrzywdził. Nigdy – wybuchła.

– Kim jest Saint-Martin? – zapytała Lynette.

– Według wszelkich źródeł, po pani odejściu załamał się kompletnie – ciągnął Simon. – Ale pani wyszła za mąż, urodziła dzieci, żyła.

– Skąd wiedziałby o istnieniu L'Esprita? – podważyła jego teorię wicehrabina. – Jedyłą wiadomość, jaką kiedykolwiek od niego dostałam, zabrałam ze sobą, opuszczając Francję. Saint-Martin nigdy jej nie ujrział.

– Gdyby celem L'Esprita faktycznie było zniszczenie markiza, czyż nie napawałby się zwycięstwem? Czy nie wysłałby do markiza wiadomości z informacją, że jego nieszczęście nie było dziełem przypadku, a częścią przebiegłego planu? Jakiż jest sens pokonania wroga, gdy nie wie on nawet, że został pokonany?

– *Mon Dieu* – szepnęła Solange.

– On nie jest zdolny do takiej niegodziwości – upierała się przy swoim wicehrabina.

Simon spojrział na Lynette, ale zwrócił się do jej matki.

– Uczucie może zaślepić mężczyznę, pani.

– A co według pana się wydarzyło, panie Quinn? – Lynette spojrzała mu prosto w oczy.

– Jestem przekonany, że porwano pani siostrę, a jej ubranie nałożono na zwłoki innej młodej kobiety, po czym spalono ją wraz z powozem. Myślę, że zrobiono to na polecenie mężczyzny o nazwisku Depardue, który z kolei pracował dla Saint-Martina. Lysette doznała jakiegoś urazu i straciła pamięć. Desjardins odkrył tożsamość Lysette i przygarnął ją, doskonale wiedząc, z kim ma do czynienia. Stworzył dla niej nową tożsamość i przez dwa lata wykorzystywał do własnych celów, licząc, że któregoś dnia uwolni się z jej pomocą od L'Esprita. Wątpię, by markiz wiedział, że ona żyje.

– Nie wierzę w ani jedno pana słowo – powiedziała wicehrabina, ale jej blada twarz i roztrzęsione ręce świadczyły inaczej.

– Wszystko to stało się tylko dlatego, że matka zakończyła ich romans? – dociekała Lynette.

– To możliwe.

– Wcale nie. – Wicehrabina się wyprostowała. – Nie zna go pan, panie Quinn, by tak go oczerniać.

– Albo to pani przenosi swoje uczucie na córki i zakłada, że jego są takie same. Nie mogą być. W końcu wie pani więcej od niego.

– Jest pan niezwykle mądrym człowiekiem, panie Quinn – powiedziała Solange łagodnym tonem.

– Co masz na myśli? – zapytała Lynette.

Simon spojrział z oczekiwaniem na wicehrabinę, licząc, że to ona przemówi i wyjaśni. Nie powiedziała jednak nic, odwróciła tylko wzrok.

Lynette westchnęła.

– *Maman*, musisz być mniej tajemnicza, jeśli mamy mieć jakiegokolwiek nadzieje na sukces.

– Będziemy musieli sprowokować L’Esprita do wyjścia z ukrycia – stwierdził Simon. – Tylko tak Lysette odzyska wolność. Dopóki tego nie zrobimy, obie córki, Lynette i Lysette, będą nadal w niebezpieczeństwie.

Lynette wstała.

– Pomogę ci na tyle, na ile będzie to w mojej mocy.

– Nie dam ci się wplątać w to bagno! – powiedziała ze złością jej matka.

– Przykro mi, *maman*. – Lynette wypowiedziała te słowa z całą stanowczością, bez lęku. – Nie chcę ci się przeciwstawiać, ale nie pozwolę, żeby pan Quinn sam ryzykował za nas życie. Nie pozwolę, by Lysette nadal żyła w ten sposób. Pomogę jej. Ona zrobiłaby dla mnie to samo.

– Nie wiesz, czy ta kobieta jest twoją siostrą.

– Wiem. Wiem to na pewno.

Solange westchnęła głośno.

– Co możemy zrobić, panie Quinn?

– Pomówcie z de Grenierem, gdy przyjedzie za kilka dni. Opowiedzcie mu o moich podejrzeniach. Przyda nam się każdy sprawny mężczyzna.

– De Grenier... Tak, ma pan rację. – W głosie wicehrabiny zabrzmiała wyraźna ulga. – On nam pomoże.

– Ja w tym czasie zrobię, co w mojej mocy, by zapewnić bezpieczeństwo Lysette. – Simon przeniósł wzrok na Lynette. – Proszę nie opuszczać domu, *mademoiselle*. Byłaby to niepowetowana strata, gdyby coś się pani przydarzyło.

– Oczywiście. – Posłała mu uspokajający uśmiech. – Nie będę się narażać.

Simon pokłonił się im.

– Pozostaję do dyspozycji pań, ale proszę, nie przychodźcie do mojego domu. Nie jest już bezpieczny dla żadnej z was.

– Dziękujemy, panie Quinn. – Lynette podeszła do niego, podając mu dłoń. Gdy składał na niej pocałunek, jej zapach przywiódł mu na myśl wspomnienie minionej nocy. Puścił jej dłoń i z ogromnym wysiłkiem opanował chęć, by porwać ją i ustrzec przed całym złem tego świata.

Solange również zwróciła się do niego.

– Niech pan będzie ostrożny, panie Quinn.

– Dziękuję, *mademoiselle*. Pani również.

Wicehrabina przekręciła nieznacznie głowę.

– Jeśli to, co mówi pan o Lysette jest prawdą, będę miała u pana ogromny dług.

– Nic nie będzie mi pani winna. Przychodzę tu, niczego nie oczekując. – Spojrzał jeszcze raz na Lynette, żałował, że nie są sami i nie może zdradzić jej wszystkich swych obaw. Nigdy nie miał nikogo, z kim mógłby dzielić się zmartwieniami.

– Powodzenia.

Wyszedł wejściem, którym przyszedł, zostawiając po sobie burzę, którą miał nadzieję pomóc uspokoić.

Dwie ulice dalej Simon zorientował się, że ktoś go śledzi. Osoba, która za nim podążała, była w tym zupełnie niezła. Ale on był lepszy.

Prześlizgnął się między dwoma powozami, zatoczył koło i zaszedł go od tyłu. W kieszeni marynarki Thierry'ego miał schowany nóż. Jednym wprawnym ruchem ręki dobył broni.

– Mogę w czymś pomóc? – zadrwił, gdy znalazł się tuż za śledzącym go mężczyzną.

Człowiek ten zwolnił kroku, po czym odwrócił się i dotknął dłonią krawędzi kapelusza.

– Być może to ja będę mógł pomóc panu.

– Markiz Saint-Martin, jak mniemam? – Simon zadał to pytanie, mimo że znał już na nie odpowiedź.

Saint-Martin skinął lekko głową.

– Panie Quinn.

– Porozmawiamy w bardziej ustronnym miejscu?

– Oczywiście.

Ruszyli krok w krok i wybrali niewielką tawernę w bocznej uliczce. Unosił się w niej zapach pieczonego mięsa i mocnego piwa, a goście byli ubrani schludnie i skromnie.

Zajęli stolik w rogu sali, siadając naprzeciw siebie. Simon przyglądał się bacznie markizowi.

Wysoki, dobrze zbudowany, o jasnych włosach. Jego złota uroda była równie uderzająca, jak Marguerite. Razem tworzyliby piękną parę.

– Wicehrabina prosiła, żebym przyjrzał się panu, panie Quinn.

– I jak podoba się panu to zadanie?

– Niezmiernie. – Markiz uśmiechnął się, bębniąc palcami w stół.

– Jest pan bardzo ciekawym człowiekiem.

– Jak i pan.

– Głęboko pogrzebane tajemnice czasem lepiej zostawić pod ziemią – stwierdził markiz, a jego spojrzenie pociemniało.

– Interesujący dobór słów – powiedział Simon, rozsiadając się wygodnie. – Ja mam dla pana inną radę: Nie ma sensu zamykać stajni, gdy klacz się z niej wyrwała.

Oczy Saint-Martina zwęziły się groźnie.

Simon nie dał się zwieść jego eleganckiemu wyglądowi. Było w nim coś dzikiego i desperackiego. Przypomnił sobie, że ten człowiek nie miał już nic do stracenia, co czyniło go wyjątkowo niebezpiecznym. Twarda postawa Saint-Martina uprzytomniła mu, że jego też czeka życie bez Lynette. Być może i on będzie kiedyś podobnie wyglądał. Ta myśl była przynębiająca.

– Proszę stąpać z uwagą. Wkracza pan na niebezpieczny teren.

– Pańska groźba jest czwartą, którą dziś słyszę. To chyba jakiś rekord – zakpił Simon.

– Najwyraźniej wzbudza pan mordercze instynkty. – Markiz uśmiechnął się lodowato.

Simon prychnął.

– Pan również. Proszę mi opowiedzieć o L'Espricie.

Saint-Martin wyraźnie stęzał.

– Co proszę?

– Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem ogromnej nienawiści, jaką udało się panu zasiać. Proszę mi powiedzieć, co pan zrobił.

Kłyckie markiza lekko zbielały, ale była to jedyna oznaka zdenerwowania.

– Nie skomentuje pan? No trudno – stwierdził Simon. – Nie pozwolę jednak, by ponownie grożono wicehrabinie i jej rodzinie. Jak pan to zgrabnie ujął, pewne sprawy powinny pozostać pogrzebane. Nie powinno się do nich wracać i ponownie wykorzystywać.

– Czy może pan coś temu zaradzić? – zapytał łagodnie markiz. – Nie sądzę.

– Człowiek w desperacji sięga po desperackie środki. Pan powinien to wiedzieć najlepiej.

– Jest pan bardzo sprytny, panie Quinn – wycedził Saint-Martin. Wstał i włożył kapelusz. – Oby był pan równie ostrożny. Być może ujdzie pan z życiem.

Simon krzyknął za nim z uśmiechem:

– To już pięć gróźb jednego dnia.

Drzwi tawerny bezszelestnie zamknęły się za markizem.

ROZDZIAŁ 16

Lysette obudził dźwięk klucza przekręcanego w zamku w drzwiach jej sypialni. Zamrugła oczami, uniosła głowę i dojrzała *madame Fouche* zaglądającą do pokoju.

– *Madame Marchant?* – zapytała miękko, najprawdopodobniej nie widząc zbyt dobrze w ciemności panującej w pomieszczeniu. – Czy dobrze się pani czuje?

– Tak, proszę wejść – odparła, chrząkając.

Służąca szybko się uwinęła i już po chwili lampy były zapalone, a w kominku trzaskał ogień. Podeszła do łóżka, wycierając dłonie o fartuch.

– Pan James jest na dole i chciałby się z panią zobaczyć.

– Niech przyjdzie za dziesięć minut – rozkazała Lysette, wiedząc, że powinna się przebrać i przyjąć go w innym pokoju, ale nie miała na to siły. Czowała się tu też bezpieczna, zamknięta przed całym światem, z dala od wścibskich sług *Desjardins'a*.

Madame Fouche wyszła i wróciła ponownie już z Jamesem. Odświeżona Lysette, w szlafroku ciasno zawiązanym na koszuli nocnej, siedziała w fotelu przy kominku. Dłonie złożyła na kolanach. Odzyskała pewność siebie i poczucie godności.

A przynajmniej tak jej się zdawało.

– O co chodzi? – zapytał ze zmarszczonymi brwiami, siadając obok niej. Był ubrany bardzo schludnie. Zwykły szary garnitur był porządnie skrojony, a krawatka zawiązana starannie. – Płakałaś.

Emocje malujące się na jego twarzy sprawiły, że wyciągnęła dłoń ku niemu i dotknęła jego policzka w czułym geście. Westchnął

i cofnęła rękę, ale chwycił ją szybkim ruchem, niemal niezauważalnym. Przytknął twarz do jej dłoni, a w jego oczach dojrzała coś mrocznego i niepokojącego.

– Dlaczego do mnie przychodzisz? – zapytała zachrypniętym głosem.

– Bo nie mogę być z dala od ciebie.

– Na co liczysz?

Westchnął, nie spuszczać z niej wzroku.

– Liczę, że dasz mi czas, bym mógł pokazać ci, jak może być między nami. O ile pozwolisz mi się poznać.

– Im lepiej mnie poznasz, tym mniej ci się będę podobać.

– Wiesz, że to nieprawda. Czujesz to. Widzę to w twoich oczach.

– Ujął ręką jej dłonie i ścisnął mocno. – Inaczej nie bałabyś się tak bardzo.

– Pragniesz mnie – szepnęła. – Chcesz mnie w swoim łóżu.

Edward wstał, wyciągnął do niej obie ręce. Stała przed nim, drżąca.

Dotknął dłonią jej czoła. Spojrzenie miał rozpalone i przepełnione czułością.

– Jesteś pełna lęku, ale to nie mnie się boisz. Przerażają cię wspomnienia z przeszłości. Mogę stworzyć ci nowe. Mogę sprawić, że koszmary odejdą w zapomnienie.

Lysette patrzyła, jak jego usta zbliżają się do jej ust. Poruszał się powoli, dając jej czas, by cofnęła głowę. Część jej chciała to zrobić, wiedząc, czego będzie chciał potem. Ale część pragnęła tych ust, tak pięknych, poważnych. Nie było w nim nic lekkomyślnego.

Edward był kotwicą. A ona dryfowała. Nie mogła mu się oprzeć, nie chwycić się go i nie odnaleźć stabilizacji. Od tak dawna była sama, nie mogła liczyć na nikogo. A on był przy niej... znowu... spokojny.

– Tak, pragnę cię – odparł ponuro. Jego usta były o włos od jej ust. – Ale mogę poczekać. Poczekaam, aż będziesz gotowa. Nieważne, jak długo będę musiał czekać.

Lysette stała jak zaczarowana. Serce waliło w jej piersi w panicznym rytmie. Dotknął ustami jej warg, delikatnie, ale zdecydowanie. Językiem przeciągnął po krawędzi jej ust, pieszcząc ich kształt. Poczula zapach drzewa sandałowego i werbeny, który rozgrzał jej krew i rozszedł się mrowieniem po skórze.

Ciepło dotarło poniżej pępka. Między nogami poczuła wilgoć. Jęknęła i uchwyciła się pól jego marynarki, boleśnie odczuwając chłód powietrza na plecach i twardą męskość przed sobą.

– Wpuść mnie, Corinne.

Drżąc, spełniła jego prośbę, oddychając głęboko, gdy wsadził język głębiej i pewniej. Ten gest był podobny do aktu seksualnego. Zaczęła trząść się gwałtownie.

Oddychając ciężko, cofnął się.

– Widzisz? – powiedział szybko. – W każdej chwili mogę przestać. Ty decydujesz.

– Lysette.

– Słucham? – zapytał zdziwiony.

– Mam na imię Lysette. – Dłońmi ujęła go za nadgarstki. – Kłamałam wcześniej.

Coś na kształt śmiechu wyrwało się z jego piersi.

– Lysette zdecydowanie bardziej do ciebie pasuje.

– Pracuję dla Desjardins'a – powiedziała. – Potrzebne mu informacje na temat pana Franklina i wykorzystywał mnie, by dotrzeć do ciebie.

– Wykorzystywał? – Cofnął ręce. Jedną położył na jej karku, drugą oplótł ją w talii.

Lysette przyglądała mu się, bała się oddychać.

– Nie jestem dobrym człowiekiem. Robiłam w przeszłości takie rzeczy...

– Nie dbam o to. – Edward patrzył na nią rozpalonym spojrzeniem. – Interesuje mnie tylko, jaka jesteś ze mną teraz. Musisz zdecydować, Lysette. Albo mi zaufasz i pozwolisz, bym

troszczył się o ciebie, tak jak to robiłem dotychczas, albo mnie odeślesz.

Lysette przełknęła głośno.

– Chcę ci zaufać.

– Zatem to początek.

Zacisnął lekko palce na spiętych mięśniach jej karku, co przyprawiło ją o zawrót głowy. Jej umysł walczył, żeby podtrzymać strach, namawiając ją do uciezki. Ale zdradliwe ciało topniało pod wpływem jego dotyku.

– Dotąd jeszcze nikomu nie zaufałam.

– Nigdy?

Na jej ustach zagościł niepewny uśmiech.

– Przynajmniej, o ile sięgam pamięcią. Czy chciałbyś usłyszeć moją historię? Jest niestety bardzo krótka, ale prawdziwa.

Edward pocałował czubek jej nosa.

– Z przyjemnością wysłucham wszelkiej prawdy, jaką zechcesz mi wyjawić. Będę jednak wdzięczny, jeśli wrócisz do łóżka i napijesz się herbaty.

– Jak sobie życzysz. – Jej uśmiech pojaśniał pod wpływem wzruszenia, jakie wywołała w niej jego troska.

Odprowadził ją do łóżka, podtrzymując w talii. Ku własnemu zaskoczeniu pozwoliła mu się poprowadzić bez obawy czy powątpiewania w szczerłość jego intencji. Jego łagodny uśmiech okazał się wart tego poświęcenia.

Marguerite była już w łóżku, niemal spała, gdy zza ściany dobiegł jej uszu wzbudzony męski głos. Poderwała się, odrzuciła kołdrę i włożyła szlafrok, który leżał w nogach łóżka. Pośpiesznie podeszła do drzwi, otworzyła je i stanęła twarzą w twarz ze swoim mężem.

Trudy długiej podróży ewidentnie odbiły się na de Grenierze, ale jego przystojna twarz pojaśniała na jej widok. Celie, służąca Marguerite, stała za nim, trzymając jego laskę i kapelusz.

– Przyjechałem dziś wieczór i znalazłem twoją wiadomość. Przeszedłem więc od razu – powiedział.

– Możesz odejść. – Marguerite odesłała pokojówkę, a sama zaprowadziła de Greniera do sypialni.

Zanim zatrzasnęła za nimi drzwi, zdążyła jeszcze zauważyć niezadowoloną minę służącej. Celie zawsze wyglądała na niezadowoloną, gdy de Grenier był przy Marguerite. Ponieważ Celie towarzyszyła jej jeszcze od czasów Saint-Martina, Marguerite podejrzewała, że po prostu bardziej lubiła pierwszego z panów.

– Dlaczego jesteście w Paryżu? – zapytał, podchodząc do kominka i wyciągając ręce do ognia w poszukiwaniu ciepła.

– Tyle muszę ci opowiedzieć – powiedziała szybko. – Tyle się wydarzyło od naszej ostatniej rozmowy.

Byli małżeństwem na odległość. De Grenier spędzał więcej czasu poza domem, niż w nim. A nawet kiedy był w domu, zamykał się w gabinecie, pracując nad relacjami dyplomatycznymi między Polską a Francją. Ale była to również jej wina. Jej serce należało do innego, a przez to nigdy w pełni mu się nie oddała.

– Może powinniśmy przenieść się do naszego domu? – zasugerował.

– Nie, to zajmie kilka godzin. Nie mam tyle czasu. I tak już myślałam, że zwariuję, zanim przyjechałeś.

De Grenier skinął i zdjął marynarkę, ukazując szerokie ramiona pod koszulą i kamizelką. Był o dekadę młodszy niż Saint-Martin. Był w świetnej formie, ciało miał muskularne i zadbane, a czarne włosy nietknięte siwizną. Kobiety go uwielbiały i podziwiały, często mu pochlebiali, lecz on był zazwyczaj zbyt pochłonięty innymi sprawami, by to zauważać.

Usiadł w fotelu, zdjął buty i powiedział.

– Ma pani moją pełną uwagę, *madame*.

Marguerite skinęła głową, splotła dłonie za plecami i zaczęła opowieść o wydarzeniach minionego tygodnia. Mówiła pośpiesznie

z podniecenia, ale jej słowa były jasne. Wszystko było ważne, musiała to dokładnie wytłumaczyć.

– I ty wierzysz temu człowiekowi? Temu Quinnowi? – zapytał, gdy skończyła swoją relację. – Widziałeś ciało Lysette na własne oczy, Marguerite. Jak ta kobieta mogłaby być twoją córką?

– Nie wiem. Przyznaję, że kompletnie się pogubiłam.

– Czego oczekujesz ode mnie? – Wstał, podszedł do niej i wziął ją za ręce. Spojrzał na nią z uwagą i lekkim niepokojem.

– A co ty sądzisz o podejrzeniach Quinna co do L'Esprita? Myślisz, że ma rację?

Westchnął głęboko, po czym pokręcił głową.

– Pytasz mnie, czy to Saint-Martin stoi za wszystkim? Nie mam pojęcia. Zbyt wiele niewiadomych. Co stało się z prawdziwym L'Esprite? Na ile zaangażowany jest w to Desjardins?

– Nie znoszę tego człowieka – syknęła. – Przeraza mnie, jak bardzo źle mu życzę.

Przycisnął usta do jej czoła.

– Jutro porozmawiam z Quinnem i ocenię jego uczciwość.

– Dziękuję. – Marguerite spojrzała na niego i poczuła głęboką wdzięczność. We wszystkich trudnych chwilach zawsze mogła na niego liczyć, na jego troskę i współczucie.

Jego dłoń zsunęła się z ramienia i spoczęła na jej piersi.

Wciągnęła powietrze, zaskoczona tym nagłym, bezpośrednim gestem. Potarł kciukiem sutek i wprawnym, kolistym ruchem sprawił, że sterczał teraz twardy i wrażliwy.

– Jest już późno – powiedział cicho, obserwując jej reakcję rozpalonym wzrokiem. – Dziś przenocujemy tutaj, a jutro zabiorę ciebie i Lynette do domu i zajmę się naszym problemem.

Przytaknęła. Jak zwykle w głowie pojawiły się nieproszone myśli o Saint-Martinie, ściskając ją w żołądku. Z wysiłkiem odsunęła od siebie poczucie winy i zdrady i poprowadziła męża do swojego łóżka.

Lysette strzepała śnieg z butów, zanim wbiegła przez drzwi wejściowe do domu i na górę. Jak zwykle Lynette zabrała jej lżejszą mufkę, tylko po to, żeby stwierdzić, że jednak powinna włożyć tę futrzaną. Tak często narzekała na srogie polskie zimy, że można by sądzić, że nie wychodzi z domu bez odpowiedniego ubrania.

Ale taka już była Lynette. A Lysette ją kochała. Lynette była taka żywiołowa, beztraska i odważna. Zawsze otoczona wianuszkiem mężczyzn podziwiających jej urodę. Choć były bliźniaczkami, na nią mężczyźni tak nie reagowali. Siostry nie dało się jednak podejrzewać o brak przezorności. Lynette zachowywała się, jakby wszystko było w porządku, ale Lysette zauważyła, że drży, co zresztą skomentowała.

Dziś pojechały z matką podziwiać zimowy ogród hrabiny Fedosz. Było to spotkanie w kameralnym gronie rodzin mieszkających w okolicy, znudzonych uwięzieniem przez zalegający śnieg. W tej chwili wszyscy brnęli przez zaśnieżone ścieżki, podziwiając, jak lód i śnieg udekorował gałęzie roślin, specjalnie tak uformowanych, by wyglądały lepiej teraz, niż z liśćmi.

Pokonawszy galerię, weszła do buduaru Lynette, chwyciła mufkę i szybko zmierzała z powrotem. Gdy była na wysokości pokoju matki, potknęła się i przewróciła. Okazało się, że miała rozwiązaną sznurówkę. Lysette odłożyła na bok mufkę i przyklękła na dywanie, żeby zawiązać but. W ciszy usłyszała dwa głosy – kobiecy i męski, dobiegające przez lekko uchylone drzwi pokoju jej matki.

Kim byli ich właściciele? I dlaczego rozmawiali w pokoju matki?

Lysette wstała i trzymając mufkę w dłoni, podeszła bliżej. Spojrzała przez szparę uchylonych drzwi i zamarła, gdy zobaczyła parę rozmawiającą w pokoju.

Rękę trzymał na gardle kobiety, usta wypowiadały jej do ucha szorstkie słowa, pośladki pracowały w rozpiętych bryczesach, gdy wchodził w nią, wbijając ją w ścianę.

Oczy Celie były szeroko otwarte, widać je było nawet spod czepka służącej. Nozdrza rozszerzone przerażeniem, a oddech przerywany prośbami o przebaczenie.

– Każda wiadomość wysyłana z tego domu ma przechodzić przez moje ręce – zacharczał. – Wiesz dobrze.

– Przepraszam – jęknęła. – Pierwszy raz cię zawiodłam.

– To o raz za dużo.

Odgłosy stosunku seksualnego zmieszały się z oddechem i łkaniem Celie. Ten widok bardzo przeraził Lysette, obawiała się, że zemdleje. Zakryła usta dłonią i wycofała się powoli, walcząc z uczuciem mdłości tak silnym, że mogłaby zdradzić swoją obecność w korytarzu.

Plecami uderzyła w coś twardego. Krzyknęła mimo dłoni na ustach.

– Nie powinnaś była tego widzieć – powiedział niski męski głos do jej ucha.

Ból, ostry i piekący, przeciął jej czaszkę. Korytarz zawirował przed oczami i zniknął w ciemności.

Lysette obudziła się z krzykiem. Jej ciało drżało od wspomnienia lęku i przerażenia.

– Lysette. – Edward wstał z fotela stojącego przy kominku. Nie miał na sobie marynarki, a zaczerwienione oczy świadczyły o tym, że też zasnął. – Kolejny koszmar?

– *Mon Dieu...* – oddychała ciężko. Uniosła dłoń do rozszalałego serca. Nigdy jeszcze nie ucieszyła się na czyjś widok, tak jak teraz na widok Edwarda. – Dzięki Bogu, że jesteś...

– Zawsze będę przy tobie – odparł. Usiadł obok niej na łóżku i nalał szklanke wody. – Zostałem dziś, bo stwierdziłem, że możesz spać niespokojnie po opowiedzeniu mi swojej historii.

– Wygląda na to, że mam więcej do opowiedzenia – szepnęła, przyjmując z wdzięcznością wodę.

Skinął ponuro głową.

– Słucham.

Simon obudził się przed świtem. Chociaż spał zaledwie kilka godzin, nie czuł zmęczenia. Był pobudzony i czujny. Poszedł do gabinetu popracować nad swoim planem. Wiedział, że potrzebna mu dobra przynęta i porządna pułapka. To zadanie pochłonęło go całkowicie. Nie zauważył upływających godzin, aż do chwili, gdy kamerdyner zawiadomił go o przybyciu gościa, wręczając mu jego wizytówkę.

Uniósł ze zdziwieniem brwi i spojrzął na zegar. Dochodziła jedenasta.

– Wpuść go.

Odłożył pióro i czekał. Kiedy w drzwiach pojawiła się wysoka, ciemna postać wyciągnął rękę na powitanie.

– Dzień dobry, panie James.

– Panie Quinn. – Uścisk Edwarda Jamesa był mocny i ważony, jak on sam, według oczekiwań Simona.

– Cóż za niespodziewana, acz miła wizyta – powiedział Simon, wskazując mu krzesło naprzeciwko. Jego wzrok bacznie studiował Edwarda Jamesa. – Czemu lub komu zawdzięczam ten zaszczyt?

James ubrany był praktycznie, w odcieniach ciemnego brązu. Jego ubiór był zadbany, krawatka nienagannie zawiązana, a buty wypolerowane. Nic godnego uwagi, poza oczywistą schludnością.

– Po pierwsze – powiedział James oficjalnym tonem – powinien pan wiedzieć, że nie ujawnię mu żadnych informacji na temat Franklina. Nigdy. Panu Desjardins'owi również nie. Będziecie musieli znaleźć inną kobietę do dręczenia i prześladowania.

Simon oparł się wygodnie i założył ręce.

– Rozumiem.

– Nie, nie rozumie pan – powiedział James, patrząc groźnie. – Ale pan zrozumie.

– Dobry Boże! – Simon uśmiechnął się szeroko. – Kolejna groźba! Czyli coś robię dobrze.

– Być może bawi to pana, panie Quinn, ale...

– Muszę znaleźć w tym zabawne strony – przerwał mu Simon bez cienia uśmiechu. – Mam bardzo wiele do stracenia, znacznie więcej, niż jestem gotów stracić.

James spojrzał z uwagą.

– Mam nadzieję, że jest pan rozważny w swojej relacji z *madame* Marchant – powiedział Simon.

– *Mademoiselle* Rousseau – poprawił go James – czy jakkolwiek ma na nazwisko. I ja zawsze jestem rozważny, panie Quinn. Wiem o niej wszystko, czyli tak niewiele, jak sięga pamięcią. Opowiedziała mi każdy odrażający i potworny szczegół. Nie mogę rozgrzeszać jej ze wszystkich czynów, ale rozumiem konieczność niektórych z nich i poczucie bezradności i osamotnienia, które skłoniły ją do pozostałych. – James uniósł brodę. – Ale proszę nie odczytywać mojego współczucia jako słabości. Nie należę do mężczyzn, którzy tracą głowę dla kobiety. Niezależnie od uczuć, jakimi ją darzę, nie wpływają one na umiejętność reakcji w obliczu zagrożenia bądź mactwa.

– Godne pochwały.

– Twierdzi pan, że ma nadzieję wyciągnąć ją z tej trudnej sytuacji.

Simon przytaknął.

– To prawda.

– W takim razie służę pomocą.

Usłyszeli ciche pukanie w otwarte drzwi. Simon podniósł wzrok i ujrzał w nich Eddingtona przyglądającego się badawczo Jamesowi.

– Dzień dobry, panowie – powitał ich lord Eddington i wkroczył zamaszystym krokiem do gabinetu.

James wstał. Simon pozostał na miejscu, ale przedstawił sobie obu mężczyzn.

– Wybaczcie najście, ale wybieram się do krawca – cignął Eddington z uśmiechem na ustach, poprawiając żabot beztróskim ruchem upierścienionej dłoni. – Zobaczyłem wczoraj boską wprost kamizelkę i wiedziałem, że natychmiast muszę ją mieć. Czy któryś z panów ma ochotę wybrać się ze mną?

– Nie, panie – odparł Simon, powstrzymując uśmiech.

– Nie, dziękuję panie – odpowiedział James, patrząc chmurnie.

– Cóż za szkoda – stwierdził śpiewnie Eddington. Podniósł do oka monokl i zlustrował Jamesa od stóp do głów. – No cóż. Dobrego dnia, panowie.

Po wyjściu jego lordowskiej mości zapadła chwilowa cisza, po czym James wymamrotał:

– Wyobrażam sobie, że większość kupuje tę idiotyczną pozę?

– Tak, większość – odparł Simon, patrząc w zamyśleniu na drzwi.

– Skąd ta mina?

Simon spojrzał teraz na Jamesa.

– Jaka mina?

– Jakbyś właśnie na coś wpadł.

– Myślałem tylko, jak zwodnicza bywa powierzchowność.

Możemy to wykorzystać, zważywszy, że mamy dwie kobiety, które wyglądają identycznie.

– *Mademoiselle* Rousseau jest zbyt słaba.

– Wiem. – Simon zabębnił palcami o blat stołu. – Ale wie o tym tylko kilka osób. Pan, ja, Desjardins... I tyle.

– Nie powiadomił pan jej rodziny?

– Nie. Ktoś pragnął jej śmierci, a dzięki temu, że Desjardins ją ukrył, nadal nie ma pojęcia, że ona żyje. Być może pora wprowadzić L'Esprita z błędu.

– Miała wczoraj w nocy sen. – James założył ręce na piersi. – Nie wiemy, czy to jej prawdziwe wspomnienie, czy wytwór chorego umysłu.

– Na tym etapie wszystko może nam się przydać.

– Zgadza się z panem. Była świadkiem, jak mężczyzna znęcał się nad służącą, bo nie udało jej się przechwycić całej korespondencji wysyłanej przez wicehrabinę.

– Wie, kto to był?

– Nie, niestety widziała tylko jego plecy. Wysoki, ciemnowłosy, o szerokich ramionach... To może być każdy.

– Ale znamy jednego mężczyznę lubującego się w krzywdzeniu kobiet – zauważył Simon.

– Depardue. – Ostry ton głosu Jamesa zdradzał ogrom jego nienawiści.

– Właśnie. I podejrzewam, że...

Kolejne pukanie do drzwi. Tym razem to był kamerdyner.

– Kolejny gość, panie.

Simon wziął wizytówkę podaną mu na srebrnej tacy. Przeczytał i spojrzał na Jamesa.

– Szykuj się, James.

Ten przytaknął i się wyprostował.

– Poinformuj hrabiego, że mam gościa, ale zapraszamy go, by przyłączył się do nas – powiedział Simon słudze, wstając.

Po kilku chwilach w drzwiach pojawił się wysoki i wytworny mężczyzna. Ubrany skromnie, acz elegancko w zielony welur, ciemnowłosy mężczyzna podszedł do biurka Simona, nieświadomie potwierdzając jego podejrzenia. Ciekaw był, czy bystry James również podzieli jego opinię, i z niecierpliwością oczekiwał chwili, w której przedstawi sobie mężczyzn.

– Witam, panie – powiedział Simon.

– Panie Quinn.

– Panie, pozwól, że przedstawię pana Edwarda Jamesa. Jest znajomym pańskiej córki, Lysette. Panie James, przedstawiam wicehrabiego de Grenier.

Simon przyglądał się uważnie twarzy Jamesa, zastanawiając się, czy ten zdaje sobie sprawę z różnicy pozycji społecznej między nim a Lysette. Trzeba przyznać, że James nie dał po sobie poznać żadnych myśli, witając się z wicehrabią.

De Grenier i James zajęli krzesła naprzeciw Simona, po drugiej stronie biurka.

– Może pan mówić otwarcie przy panu Jamesie, panie.

– Jak z pewnością może pan sobie wyobrazić, wicehrabina jest bardzo poruszona pańską wczorajszą wizytą – stwierdził ponuro de Grenier. – Przyszedłem, żeby zaaranżować spotkanie z kobietą, która, jak pan twierdzi, jest naszą córką, oraz by omówić sprawę L’Esprita.

– Może podzieli się pan z nami pańską wiedzą, hrabio – zaproponował Simon. – Czy L’Esprit kontaktował się z panem ostatnio?

– Nie. Ale byłem przy wicehrabinie, gdy otrzymała wiadomość z tym nazwiskiem. Przyjechałem w wieczór, gdy napadnięto i pozostawiono na pewną śmierć Saint-Martina, więc zdawałem sobie sprawę z powagi sytuacji.

– Najwyraźniej Lysette wraca powoli pamięć.

– Och? – Wicehrabia zdawał się przez chwilę ważyć w myślach tę informację.

– Cieszę się, słysząc to, bo fakty z przeszłości, znane tylko Lysette, mogą wzmocnić pańskie argumenty co do prawdziwości jej tożsamości.

– Czy widział pan ciało, które zidentyfikowano jako ciało Lysette? – zapytał Simon.

– Nie, niestety nie. Bardzo żałuję, że nie mogłem wyręczyć żony w tym koszmarnym obowiązku, ale byłem wówczas w Paryżu. Wróciłem tydzień po tym, jak to się wydarzyło.

– Czy w tamtym czasie zaginęły jeszcze jakieś kobiety w okolicy?
– zapytał James.

– Nie mam pojęcia, panie James – odparł wicehrabia. – Szczerze powiedziawszy, przez następne miesiące nie zwracałem uwagi na to, co się działo wokoło. Moja żona z trudem podniosła się po tej stracie, a nasza druga córka pograżyła się w żalobie i poczuciu winy. Z tego, co zrozumiałem, Lysette załatwiała coś dla niej, gdy wydarzył się wypadek.

– Może miała przywieźć jej mufkę? – spytał James.

– Tak. – Sylwetka de Greniera napięła się i patrzył szeroko otwartymi oczami na Simona. – To ona. To Lysette. Skąd inaczej byście o tym wiedzieli?

– Tak, to ona.

Wicehrabia oparł się na krześle. Uniósł ramiona, jak gdyby usunięto z nich ogromny ciężar.

– Powrót Lysette przywróciłby szczęście mojej rodzinie. Przynajmniej częściowo. Pamięta, co się jej przydarzyło?

– Niezupełnie. – Choć James nie odwrócił wzroku od wicehrabiego, Simon czuł, że zastanawia się, jak dalej postąpić.

– Lysette znajduje się w ogromnym niebezpieczeństwie, dopóki ten człowiek, L'Esprit, na nią poluje.

– I uważacie, że to Saint-Martin ukrywa się pod nazwą L'Esprit?
– De Grenier spoglądał na nich błyszczącymi oczami. – W zemście za utratę mojej żony?

– Wydaje się to być jedyną logiczną odpowiedzią. Chyba że jest ktoś jeszcze, komu tak bardzo zależałoby na zranieniu pańskiej rodziny?

– Nie, nie ma nikogo innego.

– To jak zmusimy go, by się ujawnił? – zapytał James.

– Myślę, że najlepiej byłoby wyjawić istnienie Lysette – zasugerował Simon. – Jednak, mój panie, Lysette nie jest zdrowa.

– Nie jest zdrowa? – De Grenier nachylił się do przodu. – Co jej dolega? Trzeba jej zapewnić opiekę.

– Ma odpowiednią opiekę, panie – oświadczył James. – I powoli dochodzi do siebie, ale jest zbyt słaba, by wyjść i narażać się na ryzyko.

– To jak mamy to zrobić? – zapytał wicehrabia.

– Jeśli zechcesz, panie – zaczął Simon – mogą zamienić się miejscami. Lysette zatrzyma się u Solange Tremblay, a Lynette przeniesie się do domu Lysette. Tam zastawimy pułapkę. Jestem nieustannie śledzony, sądzę więc, że wystarczy kilka publicznych wyjść, by ją zauważono.

De Grenier wciągnął nerwowo powietrze, po czym zacisnął usta.

– Chcecie, żebym zaryzykował życie jednej córki dla drugiej?

– Żadne inne rozwiązanie nie przychodzi mi do głowy.

– W takim razie proszę myśleć dalej – powiedział wicehrabia. –

Według tego, co pan mówi, Lysette nauczyła się sobie radzić.

Lynette natomiast jest nadal niewinna. Będzie zbyt łatwym celem.

– Jestem otwarty na propozycje, panie. Musisz wiedzieć, że dobro i bezpieczeństwo Lynette są dla mnie priorytetem i powodem mojego zaangażowanie w tę sprawę. Być może powinien pan najpierw omówić wszystko z żoną i córką i potem porozmawiamy.

De Grenier spojrzał na Jamesa.

– Nie wiem, co innego można zrobić, panie.

Wicehrabia wstał i pokręcił głową.

– Porozmawiam z wicehrabiną i poinformuję panów o naszej decyzji. Wy w tym czasie pomyślcie, proszę, o innych rozwiązaniach niewymagających zaangażowania Lynette.

– Postaram się, żeby jej udział był minimalny – zapewnił go Simon.

Wicehrabia przyglądał mu się przez chwilę, po czym stwierdził:

– Myślę, że wierzę w pańską szczerą w tym aspekcie, panie Quinn.

Uścisnęli sobie dłonie. Wicehrabia wyszedł, zostawiając Simona z Jamesem.

– Wspominałeś, że jesteś gotów mi pomóc... – zaczął Simon.

James uśmiechnął się.
– Mów, czego potrzebujesz.

Lynette z trudem mogła usiedzieć na miejscu. Serce waliło jej jak szalone, dłonie miała spocone w rękawiczkach. Gdy powóz jechał nieśpiesznie ku miejscu spotkania z Lysette, Lynette nerwowo kręciła się na siedzeniu. Jej siostra żyła i już za chwilę miały się zobaczyć. Taki cud był niemal nie do uwierzenia.

– Lynette – powiedział de Grenier ostrzegawczym tonem. – Rozchorujesz się, jeśli dalej będziesz się tak wiercić.

– Nic na to nie poradzę, panie.

– Wiem, jak się czujesz – powiedziała matka, obdarzając ją lekko drżącym uśmiechem.

– Mam mieszane uczucia co do tego wszystkiego – stwierdził cierpko wicehrabia. – Jeśli to jakiś wyszukany podstęp, nie będę w stanie ochronić was obu.

– Ufam mu – powiedziała Lynette z żarem w głosie. – Całkowicie.

Jej ojciec, mający zapewnić jej bezpieczeństwo? Powstrzymała się przed prychnięciem. Gdyby miała podsumować wszystkie dni, które spędzili razem pod jednym dachem, była by to naprawdę skromna liczba. Nigdy go nie było. Przez lata wypatrywała jakiegokolwiek oznaki uczucia lub troski z jego strony. Aż w końcu zrozumiała, że nigdy nie wybaczy jej, że nie urodziła się chłopcem.

– Całkowicie cię przekonał, jak widzę.

– Tak, to prawda. – Uniosła dumnie brodę.

Matka wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni ojca. Zamilkła i Lynette uśmiechnęła się do matki z wdzięcznością.

Powóz zatrzymał się. Lynette wyjrzała przez okno i wzdrygnęła się na widok cmentarza.

– Dlaczego tu jesteście?

– Takie instrukcje wysłał nam Quinn – odpowiedział de Grenier.

Czuła się niepewnie, dopóki nie ujrzała Simona wyglądającego wspaniale w cynamonowym jedwabiu. Poruszał się uwodzicielsko i drapieźnie. Jego oczy napotkały jej spojrzenie i zapłonęły. Głodem. Palącą namiętnością i zaborczością. Zatkąło jej dech w piersiach, pot wystąpił na czoło.

Mój kochanek.

Zacisnęła desperacko palce na krawędzi okna powozu. Zalały ją trudne do pojęcia emocje – ulga i radość, pożądanie i tęsknota. Ale nawet w tym natłoku wirujących emocji, jej serce było spokojne, pewne jasności i czystości swych uczuć.

Jestem ci taka wdzięczna.

Te niewypowiedziane słowa paliły ją w gardle, a w oczach zapiekły łzy. Robił to wszystko dla niej. Wszystko. Tylko dla niej. A bez niego by sobie nie poradziła. To na jego sile się opierała. To jego odwzajemnione uczucie dało jej siłę, żeby stawić czoło rodzicom i Lysette, kobiecie, której będzie obca.

Serce rosło jej w piersiach, czując ukłucie bólu na jego widok, przepełnione wdzięcznością dla niego.

Tęskniłam.

Usta wypowiedziały bezdźwięcznie te słowa. Zauważył to. Zacisnął szczękę. Gestem dłoni odesłał woźnicę od drzwi powozu i sam je otworzył. Chwyił ją w ramiona, a ustami musnął jej policzek, zanim postawił ją na ziemi.

– *Mademoiselle* Baillon – powitał ją niskim głosem. – Pani uroda odebrała mi dech w piersiach.

– Pan odebrał mi serce – szepnęła.

W ciszy cmentarnego otoczenia jego oddech rozszedł się głośnym świstem. Spojrzał na nią rozpalonym spojrzeniem, od którego zapłonęły jej policzki i wyschło w ustach.

– Panie Quinn.

Jej ojciec wysiadł z powozu pierwszy i podał rękę matce.

Simon oderwał od niej wzrok. Oddychał gwałtownie. Czowała, że jej pragnie. Czowała to w powietrzu i w rozedrganiu własnego ciała w odpowiedzi na jego wezwanie. Poczowała, jak pod wpływem jego obecności nabrzmiewają jej piersi, a czułe miejsce między nogami wilgotnieje. Była to zwierzęca i czysto instynktowna reakcja. Ich wzajemne oddziaływanie na siebie w połączeniu z tym, co do niego czowała, było wszystkim, co musiała wiedzieć.

– Tędy – wskazał im drogę Simon, prowadząc przez cmentarz.

Lynette pośpieszyła za nim, zrównując się z nim ramionami.

– Lynette – warknął jej ojciec. – Idź przy nas.

Spojrzała na Simona, który zmarszczył brwi. Mrugnęła do niego.

– Czarownica – powiedział cicho. Ale na jego ustach pojawił się blady uśmiech, co roztopiło jej serce.

– Kochanek – wyszeptwała.

Zamruczał, a dźwięk ten przeszył jej skórę i ukoił niepokój spowodowany niedalekim spotkaniem z siostrą. Napięcie ramion, które utrzymywało się od rana, rozluźniło się. Dotknął jej ręki, dając jej odczuć, że rozumie jej niepokój i zdenerwowanie.

Simon rozumiał wszystko, co się jej tyczyło lepiej, niż ktokolwiek z jej bliskich będzie kiedyś w stanie zrozumieć.

Doszli do krypty z otwartym wejściem i zwolnili kroku.

– Musimy tędy przejść – powiedział.

Lynette kiwnęła głową na znak zrozumienia i uniosła rąbek szafirowej sukni.

– *Mon Dieu* – powiedziała jej matka. – Czy to naprawdę konieczne?

– Rezydencja Desjardins’a jest obserwowana. To najbezpieczniejszy spokój, by wykonać zamianę. Wszedłem do środka z Lysette, wyjdę z Lynette. Ktokolwiek nas obserwuje, nie zauważy różnicy.

Lynette odwróciła się i spojrzała na matkę. Uśmiechnęła się do niej.

– Odjedźcie z Lysette, *maman*. Z pewnością to raduje twoje serce.

– Ale boję się o ciebie, *ma petite* – odpowiedziała matka z powagą.

Ojciec zacisnął usta i chwycił matkę mocniej pod rękę.

Lynette ponownie spojrzała przed siebie i uchwyciła się ramienia Simona, gdy ten prowadził ją w podziemia miasta. Szli przez labirynt kamiennych ścieżek. Drogę oświetlała im tylko pochodnia trzymana przez Simona. W końcu odbili w bok od głównego korytarza i poprowadził ich po krótkich schodkach do drewnianych drzwi.

Simon zatknął pochodnię w uchwycie znajdującym się na ścianie i otworzył drzwi prowadzące do piwniczki. Ujrzeni rzędy butelek z winem, które wypełniały chłodne pomieszczenie. Lynette na chwilę straciła rezon. Zdenerwowanie uderzyło w nią ze zdwojoną siłą.

Simon znów ścisnął ją za rękę i znów jego dotyk przyniósł ukojenie.

Serce biło jej coraz mocniej, z każdym kolejnym krokiem po kamiennych schodkach, aż znalazła się przed niskim, krępym mężczyzną ubranym w złotą satynę. Obejrzał ją z uwagą od stóp do głów.

– Niebywałe – odezwał się zaskakująco donośnym głosem, który rozszedł się po pogrążonym w ciszy domu.

– Lynette, pozwól, że przedstawię ci...

Simon przerwał w pół słowa, gdy de Grenier nagle rzucił się i powalił Desjardins'a na ziemię. Rozeszło się głośnie jęknięcie. Simon błyskawicznie chwycił zdumioną wicehrabinę i wciągnął ją do gabinetu, zamykając za nimi drzwi.

Lynette była tak oszołomiona nagłym atakiem ojca, że upłynęła dłuższa chwila, zanim wyczuła napięcie panujące w pomieszczeniu.

Poczuła je najpierw na karku, gdzie drobne włoski stanęły jej dęba, a dreszcz przebiegł po całej długości kręgosłupa.

Wciągnęła głęboko powietrze i powoli się odwróciła. Z trudem oddychała, a serce biło jej w piersiach jak oszalałe.

Zobaczyła Lysette stojącą przy kominku. Była blada i eteryczna, ubrana w białą suknię z kolorowymi wyszywanymi kwiatami. Trzymała za rękę mężczyznę o posępnej minie, w szarym garniturze.

Lynette przyglądała jej się uważnie. Z wyglądu była to jej ukochana siostra, ale patrzyły na nią obce oczy, zimne i niespokojne. Gdyby nie mężczyzna u jej boku, jak powiedział ojciec, pan Edward James, być może nadal tkwiłaby bez ruchu. Ale był on dokładnie takim partnerem, jakiego sama wybrałaby dla Lysette.

Bez słowa zrobiła krok w przód. Nie była świadoma, że płacze, dopóki nie poczuła gorących łez spadających jej na dekolt.

Siostra spojrzała na Jamesa, który kiwnął głową w geście zachęcenia. On również zrobił krok naprzód, kładąc dłoń na jej drobnych plecach i prowadząc ją w kierunku Lynette.

Pełną napięcia ciszę przeciął głośny szloch matki, która minęła Lynette i rzuciła się jej siostrze na szyję z okrzykami histerycznej radości. Twarz Lysette drgnęła, tracąc swe surowe rysy i ukazując kruchą, wrażliwą młodą kobietę po ciężkich przejściach.

Było to tak intymne, tak prywatne, że Lynette odwróciła wzrok w poszukiwaniu Simona, który musiał wyczuć, że jest potrzebny i od razu znalazł się przy niej, obejmując ją w talii.

– *A thiasce* – wyszeptał, podając jej chusteczkę. – Boli mnie widok twoich łez, nawet gdy są to łzy szczęścia.

Jego potężna dłoń ścisnęła ją lekko w pasie. Przysunęła się do niego, znajdując ukojenie w jego silnej postaci.

Wicehrabina odsunęła się lekko od Lysette i ujęła jej twarz w dłonie, które szukały, dotykały i przypominały sobie ukochaną córkę. Lysette płakała. Ramiona jej opadły, cała była krucha

i delikatna, pękająca pod ciężarem emocji. Podniosła oczy i spojrzała na Lynette.

– Lynette – szepnęła, wyciągając do niej rękę.

Marguerite z ogromnym wysiłkiem zapanowała nad sobą i odsunęła się od córki, obejmując się ramionami i trzęsąc spazmatycznie.

Simon pocałował Lynette w czoło.

– Jestem tu – szepnął.

Kiwnęła głową, wyprostowała się i odsunęła od niego. Zrobiła jeden krok, potem kolejny i jeszcze jeden. Obserwowała, jak siostra robi to samo. Szukała na jej twarzy oznak złości i urazy za to, że była powodem jej kilkuletniej udręki i cierpienia.

Jednak niczego takiego się nie doszukała. Na jej zalęknionej twarzy malowały się nadzieja i radość, Lynette na ten widok pękało serce. Tak jak matka wcześniej, teraz i ona resztę odległości pokonała błyskawicznie, trzymając w jednej ręce suknię, a drugą wyciągając ku siostrze.

Padły sobie w ramiona z ogromną siłą, która wstrząsnęła ich ciałami, siłą, z którą łączą się dwie połówki jednej całości.

Śmiały się i płakały jednocześnie, trwały w uścisku, mówiły jedna przez drugą, a łzy mieszały się ze słowami, zalewając lata rozłąki. Nagle było tak, jakby w ogóle się nie rozstawały, jakby to wszystko było tylko koszmarnym snem.

Dołączyła do nich Marguerite i razem osunęły się na podłogę, wyglądały jak płatanina sukien i złotych włosów na tle bieli saloniku Desjardins'a.

Nie słyszały, jak Simon i Edward wyszli bezszelestnie, zamykając za sobą drzwi.

Simon spojrzał na Jamesa w korytarzu, gdy za jego plecami rozległ się dźwięk zatraskiwania drzwi.

– Czy Lysette rozumie, co ustaliliśmy?

– Tak. Nie była zachwycona, ale przystała na to.

– Doskonale. Módlmy się, żeby wszystko szło tak sprawnie, jak do tej pory. – Wskazał na gabinet, z którego dobiegały wzburzone głosy.

Stanęli w progu, by przywyknąć do widoku, jaki tam zastali. Desjardins siedział koło wygaszonego kominka z krwawiącymi nosem i wargą, a de Grenier za jego biurkiem przeglądał stos wiadomości od L'Esprita.

– *Mademoiselle* Baillon dziś rano pamiętała znacznie więcej niż wczoraj – poinformował James. – Sądzę, że spotkanie z matką i siostą wkrótce odblokuje zupełnie jej wspomnienia.

De Grenier posłał mu spojrzenie znad biurka.

– Doskonale – odparł Simon, patrząc na hrabiego. – Załatwiłeś spotkanie z Saint-Martinem?

– Powiedział, że następnym razem, gdy się spotkamy, będę się smażył w piekle – wymamrotał przez zakrwawioną chusteczkę Desjardins.

– I świetnie. – Simon wzruszył ramionami. – Zobaczymy, czy da się na to coś poradzić.

Zbliżała się druga po południu, gdy powóz Simona Quinna odjechał nieśpiesznie spod domu hrabiego Desjardins. Specjalnie poruszali się niezbyt szybko w stronę domu Lysette, by łatwiej było ich zauważyć.

Simon oparł się wygodnie. Czoło miał zmarszczone, nie sposób było odgadnąć, o czym myśli. Zasłonki były odsłonięte, by tym łatwiej można było dostrzec, kto siedzi w środku. Pozostało tylko czekać. Jeśli prawidłowo ocenił sytuację, nie powinni czekać zbyt długo.

Od czasu do czasu spoglądał na kanapę naprzeciwko, nie mogąc się nadziwić jak bardzo szata może odmienić człowieka. Lynette i Lysette wyglądały identycznie, ale dzięki sukniom – białej wyszywanej w kolorowe kwiaty i szafirowej – można było powiedzieć, że są to dwie skrajnie różne kobiety. Z bliska na ich twarzach

widoczne były różnice zarysowane przez przeżycia (lub też ich brak), ale z daleka były nie do odróżnienia.

Gdy powóz zbliżał się już do podjazdu pod domem Lysette, Simon spojrzął w górę i ujrzał nieznaczny ruch firan na piętrze. Przebiegł go dreszcz. Instynkt podpowiadał mu, że coś tu jest nie w porządku, a nigdy dotąd jeszcze go nie zawiódł.

Plan ruszył pełną parą. Dla postronnego obserwatora mężczyzna ubrany w cynamonową marynarkę wysiadł beztrudno z powozu, podając ramię kobiecie w białej sukni wyszywanej w kwiaty. Na jej blond włosach lekko przechylił się kapelusik. Zapłacili woźnicy i weszli po schodach do środka.

Wewnątrz panowała przytłaczająca cisza. Nienaturalna cisza. Dom Lysette był niewielki, ale powinny towarzyszyć mu jakieś odgłosy krzątania.

Weszli dalej do holu. Oboje spieści w oczekiwaniu zasadzki rozglądali się nerwowo. Zaplątał palce na jej nadgarstku i próbował trzymać ją za sobą, ale odmówiła.

Powoli, ostrożnie poruszali się w głąb domu. Pracowali w tandemie, jakby robili to od zawsze.

Weszli po schodach i dotarli na piętro. Zatrzymali się przy drzwiach do górnego saloniku. Chwycił klamkę i popchnął ostrożnie drzwi. Zatrzymały się pod naporem czegoś ciężkiego leżącego na podłodze. Spojrzął w dół i ujrzał zakrwawione ramię. Cofnął się, ale zbyt późno.

Najpierw pojawiła się lufa pistoletu, a zaraz za nią jej właściciel.
 – *Bonjour* – powiedział męski głos z wyraźnym tonem kpiny.
 – Thierry – szepnęła Lynette. Głos miała chłodny, wyzbyty emocji.

Thierry zrobił krok nad zwłokami leżącymi na podłodze i wyszedł na korytarz. Wykrzywił twarz.

– Ty nie jesteś Quinn – rzucił w kierunku mężczyzny towarzyszącemu Lynette.

Eddington, ubrany w cynamonową marynarkę Simona, wyprostował się i uśmiechnął szeroko.

– Masz rację, koleżko. Nie jestem Quinn.

Marguerite wprowadziła córkę do domu Solange, dłonie miały splecione. De Grenier wszedł tylnym wejściem, niosąc torbę z wiadomościami napisanymi przez L'Esprita do Desjardins'a. Marguerite drżała na samą myśl o człowieku, który odebrał jej dziecko na całe dwa lata. Były to dwa lata wypełnione cierpieniem, które przeżyła tylko dzięki miłości do Lynette.

– Tędy, *ma petite* – powiedziała do Lysette, kierując jej kroki na krętą klatkę schodową. – Gdy już odpoczniesz, chętnie dowiem się więcej na temat twojego pana Jamesa.

– Oczywiście, *maman* – odparła cicho Lysette. Oczy błyszczały w jej bladej twarzy, dłoń drżała w uścisku dłoni Marguerite, której serce pękało, widząc jej strach i zdenerwowanie.

Objęła ją ramieniem i pocałowała w czoło.

– To sypialnia, w której spała Lynette – powiedziała, gdy dotarły na piętro.

Weszły do środka, gdzie nadal panował nieład po gorączkowych poszukiwaniach odpowiedniej garderoby przez Lynette.

– Celie? – zawołała Marguerite, opuszczając Lysette w poszukiwaniu służącej. Przeszła do buduaru i saloniku, ale nigdzie nie było po niej śladu.

– Poczekaj chwilkę – powiedziała do Lysette spod ściągniętych brwi. – Może jest u mnie. Przyznaję, że też byłam bardzo zdenerwowana przed naszym spotkaniem i narobiłam podobnego bałaganu u siebie.

Lysette kiwnęła głową i weszła w głąb pokoju. Marguerite poszła do swojego, który znajdował się po drugiej stronie korytarza. Zobaczyła, że w jej sypialni również nadal panował bałagan. Ubrania i części garderoby leżały porozrzucane na łóżku i fotelach.

– Celie?

Zostawianie takiego bałaganu było zupełnie niepodobne do Celie. Zdenerwowana Marguerite pośpiesznie udała się do buduaru. Weszła przez szeroko otwarte drzwi i stanęła nagle, zasłaniając usta, by powstrzymać krzyk przerażenia.

Celie leżała na podłodze, jej martwe oczy patrzyły na Marguerite, a sine usta pokrywała piana. W jednej dłoni trzymała zwitek papierów, a w drugiej ścisnęła czarną, woskową pieczęć.

– Celie! – krzyknęła z żalem i przerażeniem Marguerite. Przez plecy przebiegł jej lodowaty dreszcz, wypełnił trzewia lodem i wstrząsnął całym ciałem.

Przerażona uciekła i pobiegła do Lysette. Wpadła do pokoju i roztrzęsionymi rękami zamknęła za sobą drzwi na klucz. Oddychała tak szybko, że omal nie zemdląła.

– *Maman!* – Podbiegła do niej Lysette. – Co się stało?

– Celie... – powiedziała, łapiąc z trudem oddech. – Celie nie żyje. Zginęła w taki sam sposób, jak służba w jej domu lata temu. Od trucizny. Marguerite wiedziała od razu.

– Nie – szepnęła Lysette. Usta jej drżały, a oczy wypełniły się łzami.

Marguerite poczuła ostry ucisk w żołądku, gdy pokój zawirował jej przed oczami.

– *Mon Dieu*, co teraz zrobimy?

Usłyszały zgrzyt zamka w drzwiach. Marguerite odwróciła się i zasłoniła Lysette własnym ciałem.

Drzwi otworzyły się powoli, a do pomieszczenia wszedł Saint-Martin.

Próbując złapać równowagę w kołyszącym się powozie, Simon przytrzymał się krawędzi okna i wstał, przebierając się w pośpiechu w bryczesy Eddingtona. Dom Solange Tremblay nie był daleko, ale w tej chwili liczyła się dla niego każda sekunda.

Nigdy nie lubił hazardu. A gdy stawką było bezpieczeństwo Lynette, tym bardziej go nienawidził. Ale jeśli się uda, wszyscy

będą wolni. Tak, to prawda. Ryzyko było ogromne, ale też miał wiele do wygrania.

Mając błogosławieństwo jej rodziców, mógł adorować swoją ukochaną Lynette. Mógł ją oczarować i olśnić. Na pewno w końcu uznaliby go za godnego córki, skoro uratował ich wszystkich od prześladowającego przez lata wroga.

– Szybciej! – krzyknął do woźnicy, nie mogąc znieść oczekiwania. Usiadł i związał buty, oddychał ciężko ze zdenerwowania.

Boże proszę, strzeż jej.

Czując ponurą determinację, sięgnął po sztylet.

– Jesteś L'Esprit? – zapytał Eddington, nie spuszczać wzroku z wymierzonego w niego pistoletu. Mężczyzna, który do niego celował, był wysoki, potężnej postury. Był podobnej budowy jak Quinn, ale jego oczy były zimne i mroczne.

Thierry warknął:

– Gdzie, do diabła, jest Quinn?

– Najwyraźniej tu go nie ma.

– Niech cię diabli. – Spojrzał rozwścieczony. – Gdybym wcześniej wiedział, kim ona jest, byłbym już bogaty.

– Daruj rozczarowanie – zakpił Eddington. Mimo beztróskiej postawy, zmysły miał napięte i wyostrzone. – Służę pomocą zamiast Quinna.

– Muszę ją zabić! – krzyknął Thierry, wskazując lufą ponad ramieniem Eddingtona.

– Hm... – Eddington pokiwał głową ze zrozumieniem. – Rozumiem. Angielski szpieg zabija francuskiego, w sumie nic w tym dziwnego, prawda?

– Być może to niezbyt rozważne, drażnić go – stwierdziła *mademoiselle* Baillon. – Ma broń.

– Widzę. Tylko, co teraz? Skoro nie jest L'Espritem, nie przyda nam się zbytnio.

– Kim pan jest? – syknął Thierry.

– Znajomym Quinna.

Frustracja Thierry’ego była niemal namacalnie odczuwalna i bardzo niebezpieczna.

– Idźcie do sypialni.

Eddington poszedł za *mademoiselle* Baillon, myśląc, że korzystanie z usług Quinna może nie być dobrym rozwiązaniem na przyszłość. Ten człowiek w ciągu minionych kilku miesięcy wpadał z jednych tarapatów w kolejne, co znacząco obniżało jego przydatność. W końcu, co za pożytek ze szpiega, którego tajne działania są znane wszem wobec? I... co za pożytek z człowieka, który wciąga przełożonego w takie bagno?

Ledwie weszli do pokoju, gdy tuż za nimi rozszedł się głuchy łoskot i głośnie charczenie. Eddington obrócił się na pięcie i przykucnął, gotów bronić siebie i *mademoiselle* Baillon. Zamiast tego zobaczył pana Jamesa trzymającego w dłoni potężny srebrny świecznik.

Thierry upadł na ziemię, wypuszczając z dłoni pistolet. Ten wyszlebił, a w zamkniętym pomieszczeniu strzał rozszedł się straszliwym, ogłuszającym hukiem.

– Edward! – *Mademoiselle* Baillon rzuciła się do niego, wtulili się w siebie, a on przycisnął mocno usta do jej czoła.

– Wybacz – powiedział. – Przybyłem najszybciej jak się dało. Eddington zmarszczył czoło.

– Pani nie jest *mademoiselle* Baillon, prawda?

Uśmiechnęła się.

– Jestem. Ale nie mam na imię Lynette.

Marguerite krzyknęła, widząc Saint-Martina w drzwiach. Za nim szedł de Grenier, przyciskając lufę pistoletu do jego pleców.

Pierś ścisnął jej skurcz niepokohamowanego przerażenia.

– Philippe – szepnęła, widząc malujący się na jego twarzy żal i ból.

Za nią Lysette wydała z siebie stłumiony okrzyk i cofnęła się, ciągnąc za sobą Marguerite. Chroniła matkę, gdy powinno być na odwrót.

Przez tyle lat pozwalała, by jej dzieci przebywały w towarzystwie potwora.

– Spójrz, kogo złapałem na podglądaniu – zadrwił de Grenier. – Nie mógł lepiej wybrać, muszę przyznać. Spodziewałem się, że zwabienie go tutaj zajmie mi kilka godzin.

– Dlaczego? – zapytała drżącym głosem Lysette.

– Żeby zabić ciebie, *ma petite* – wycedził dobitnie.

– Nie! – Marguerite rozłożyła szeroko ramiona, chroniąc Lysette. – Jak mogłeś? To twoja córka!

Twarz de Greniera wykrzywiła się w okrutnym uśmiechu.

– Nie. Chyba masz mnie za idiotę. Nie sposób, by mogła być jeszcze bardziej podobna do Saint-Martina.

Marguerite uniosła głowę i spojrzała na Philippe'a. Przyglądał się Lysette z wyrazem zdumienia i radości, która zmyła ślady goryczy ich tragicznej przeszłości. Oczy zaszyły jej łzami. Moment, o którym tyle śniła, w końcu się ziścił, ale w tragicznych okolicznościach.

Zmusiła się, by spojrzeć na swojego męża.

– Wychowałeś ją – tłumaczyła. – Patrzyłeś, jak dorasta. Byłeś jedynym ojcem, jakiego zna.

– I cóż to była za przyjemność. – Oczy zabłyszczały mu złowrogo. – Wiedzieć, że mam wszystko, co było drogie dla Saint-Martina; jego kobietę i córki, które spłodził. Pieprzenie jego prawowitej małżonki, a potem zabicie jej były dodatkowym smaczkiem. Ale to tylko dodatek. Prawdziwą rozkoszą było branie cię każdego dnia.

Z piersi Saint-Martina wyrwał się potężny ryk, tak przerażający, że nawet Marguerite przebiegł od niego dreszcz.

– Ty jesteś L'Esprit – powiedziała Lysette, zaciskając dłoń na dłoni Marguerite.

– Wszystko nadal byłoby idealnie, gdybyś pozostała martwa – powiedział de Grenier. – Kiedy z wami skończę, zabiję Desjardins’a za jego machinacje. Wszystko mi popsuł.

– Simon miał rację – powiedziała Lysette miękko. – Nie masz pojęcia, jak bardzo mi przykro, że się nie mylił.

W głosie Lysette i sposobie, w jaki wypowiedziała te słowa, było coś, co przyprawiło Marguerite o gęsią skórkę. Przepeliło ją poczucie zagubienia i niepewności.

– O czym ty do cholery mówisz? – De Grenier kopnął Saint-Martina w głąb pokoju.

Philippe zachwiał się, ale już po chwili odzyskał równowagę i zasłonił Marguerite, tak jak ona chroniła Lysette. Była rozdarta między uczuciem wdzięczności, a panicznym lękiem, że stanie mu się coś strasznego.

– Simon podejrzewał, że to ty stoisz za wszystkim – powiedziała Lysette.

– Cóż, mądry człowiek.

– To fakt. To dlatego Lysette jest daleko stąd, a jej wspomnienia są bezpieczne. Gdy przed tobą stoję ja.

– Łżesz. – Spojrzenie de Greniera pociemniało.

– Lynette? – zapytała Marguerite, odurzona faktem, że nikt nie jest tym, za kogo się podawał.

– Z nas dwóch, to ja teraz cieszę się znacznie lepszym zdrowiem – wrzuciła ramionami z gracją. – Tym samym znacznie lepiej zniosę twój widok.

Usta de Greniera wykrzywiły się w uśmiešku. Marguerite wstrząsnęła myśl, że oddała się mężczyźnie, który nienawidził jej i pragnął tylko jej cierpienia.

– Nie bądź tak pewna swego, *ma chérie*. Quinn i twoja siostra są już zapewne martwi. Wkrótce do nich dołączysz. W piekle.

Marguerite jęknęła i wyciągnęła rękę do Philippe’a, czując narastający w sercu strach i żal. Udręką było mieć rodzinę w komplecie tylko po to, by mieli zostać znowu brutalnie rozdzieleni.

– Wstałem więc z martwych – odezwał się radosny głos z irlandzkim akcentem.

De Grenier osunął się bliski agonii. Marguerite patrzyła z przerażeniem, jak jego prawe ramię przebijał niewielki sztylet, raniąc go dotkliwie. De Grenier upadł na kolana i w tym momencie doskoczył do niego Saint-Martin. Kopniakiem wytrącił mu pistolet z ręki. Broń upadła kilka metrów od nich. Dopiero teraz za de Grenierem ujrzeli Quinna trzymającego zakrwawione ostrze w dłoni.

Lynette chwyciła Marguerite i ją odsunęła.

De Grenier poderwał się z wrzaskiem i rzucił na Saint-Martina, powalając go na ziemię.

Quinn ominął dwóch siłujących się mężczyzn i ruszył do Lynette i Marguerite.

Ale Marguerite nie zważała już na nic. Nabrała odwagi, umknęła Quinnowi i ruszyła w kierunku porzuconego pistoletu. Czyjaś dłoń chwyciła ją za kostkę, przewracając na ziemię. Kopiąc zaciekle napastnika, sięgnęła śliskimi od potu palcami po broń.

Już nikt nigdy nie skrzywdzi jej dzieci. Nie, dopóki w jej piersiach bije serce.

I nagle udało się, chwyciła mocno pistolet za rękojeść. Odwróciła się błyskawicznie na plecy, a wzrok odszukał de Greniera. Wspiął się na kolana i zamachnął nożem nad leżącym na ziemi Saint-Martinem.

– Nie!

Po pokoju rozszedł się okrzyk przerażenia Lynette, który dodał jej sił. Obcas Saint-Martina poharatał nos de Greniera. Usłyszeli głośny trzask łamanej kości. Marguerite wymierzyła i pociągnęła za spust.

ROZDZIAŁ 18

Cztery tygodnie później...

Simon wysiadł z powozu i wszedł schodami do domu Marguerite Baillon. Był piękny, pogodny dzień. W powietrzu unosił się rześki zapach porannego deszczu. Z zewnątrz dom przyozdobiony czerwonymi kwiatami w donicach wydawał się radosny i spokojny.

Drzwi otworzyły się, zanim zdążył zapukać, i jego oczom ukazał się ukochany widok. Na progu stała Lynette.

– Dzień dobry, *mademoiselle* Rousseau – powitał ją, zdejmując kapelusz i kłaniając się nisko.

– Spóźnił się pan, panie Quinn – napomniała go.

– Ależ nie – zaprotestował i wyciągnął kieszonkowy zegarek. – Jest dokładnie pierwsza, czyli moja codzienna godzina odwiedzin u pani.

– Jest prawie pięć po pierwszej. – Ujęła go pod ramię i wprowadziła do holu, zamykając za nim drzwi. Wzięła od niego kapelusz i sprawnym rzutem umieściła go na wieszaku.

– Świetne oko – pochwalił, podziwiając jej piękne, ożywione rysy.

– Nie zmieniaj tematu.

– Dąszasz się na mnie. – Uśmiechnął się. – Czyżbyś się stęskniła, *a thiasce*?

– Wiesz, że tak – powiedziała z niezadowoleniem, prowadząc go do saloniku na parterze. – Pomyślałam, że nie przyjdiesz.

– Nic by mnie nie powstrzymało – wymruczał. Jego palce gorąco pragnęły jej dotknąć. Wszędzie.

Tygodnie abstynencji zaczynały dawać mu się we znaki, ale był zdeterminowany, by właściwie ją adorować. Ona i Lysette przyjęły nazwisko Saint-Martin, próbując naprawić zło uczynione przez de Greniera. Stwierdzenie pochodzenia z nieprawego łoża zniszczyło ich reputację, sprawiając, że nie były już pożądanymi pannami na wydaniu. Dlatego też Simon pragnął ubiegać się o nią, tak jakby to czynił, gdyby był wart jej ręki, a ona nie ucierpiałaby wskutek skandalu.

– Myślę, że się we mnie zakochujesz, Simon – wymruczała Lynette z przebiegłym uśmiechem, przepelniona satysfakcją.

– Możliwe – zgodził się, ściskając jej dłoń.

Była taka dzielna. Podziwiał ją równie mocno, jak jej pożądał. Nie chciała wierzyć, że mężczyzna, który był dla niej ojcem, okazał się tak ohydny, ale zaufała Simonowi i wykazała się ogromną odwagą, przystając na jego plan. Uwiódł go jej hart ducha w obliczu jego mrocznego świata.

Życie z nim nie należało do łatwych. Był nieokrzesany i twardy. Tylko wyjątkowa kobieta mogła go pokochać. To prawdziwy cud, że spotkał Lynette – tak delikatną i silną zarazem, skromną i namiętną. Wzięła go takiego, jaki był, z całym bagażem doświadczeń.

Przez ostatnie cztery tygodnie pokazał się jej od najlepszej i najgorszej strony. Odwiedzał ją codziennie, niezależnie od swojego nastroju. Czasem żądza sprawiała, że stawał się szorstki, ale ona i tak go tolerowała. Zresztą sama również pokazała mu różne swoje oblicza – czasem słodkie i potulne, a innym razem melancholijne lub zagniewane. Odkrył, że nawet woli nadąsaną Lynette, niż jakąkolwiek inną kobietę.

Był usidlony i bardzo się z tego cieszył Weszli do saloniku, gdzie Lysette i James siedzieli razem przy oknie, czytając wspólnie książkę. Wicehrabina zajęta była wyszywaniem, a markiz Saint-Martin siedział przy sekretarzyku.

– Widzisz? – powiedziała cicho Lynette. – Saint-Martin i James już tu są.

Simon ponownie wyciągnął zegarek i spojrzał na cyferblat.

– Chyba muszę kupić nowy zegarek – stwierdził.

– Albo pierścionek.

Ich spojrzenia się spotkały. Lynette mrugnęła do niego.

– Panie Quinn – zawołał go markiz. – Proszę pozwolić tu na chwilę.

– Pójdiesz dziś ze mną do ogrodu? – zapytała Lynette.

– Pójdę za tobą wszędzie.

Jej uśmiech wypełnił go ciepłem. Znalazł dom, którego szukał od tak dawna. Znalazł swoje miejsce. Przy niej. Po latach samotności jej obecność była jak oaza na pustyni.

– Pójdę po szal, a ty porozmawiaj z markizem. – Wybiegła z pokoju z szelestem ciemnozielonej sukni w białe pasy.

Simon podszedł do sekretarzyka.

– Witam, markizie.

– Witam cię również. – Saint-Martin wskazał na leżące przed nim papiery. – Czy to przedmioty znalezione przy służącej?

– Tak. Biedna Celie. Nie wyobrażam sobie udręki, jaką czuła przez te wszystkie lata. Żeby odebrać sobie życie...

Markiz pokręcił smutno głową.

– Szkoda, że nie wiedziała, że nikt z nas by jej nie winił.

– Udało ci się odnaleźć coś, co wyjaśniłoby motywy de Greniera?

Markiz westchnął ciężko, oparł się w fotelu i przytaknął.

– Była w mojej przeszłości pewna kobieta. Nasz romans był krótki i nieistotny, w odróżnieniu do jej reakcji na nasze rozstanie. Załamała się, wypłakiwała na schodach mojego domu i wywoływała skandal za każdym razem, gdy się spotykaliśmy.

– Chyba słyszałem coś o tym – powiedział Simon ze współczującą miną.

– Ludzie nadal o tym opowiadają. To było okropne dla nas obojga. Wówczas nie znałem jeszcze Marguerite, więc zupełnie nie wiedziałem, przez co przechodziła ta kobieta. Nie rozumiałem jeszcze, czym jest miłość i obsesja. – Potarł dłonią kark. – Z żalem

przyznając, że nie zająłem się tą sprawą jak należy i w końcu jej rodzina odesłała ją, żeby oszczędzić dalszych upokorzeń nam wszystkim.

– De Grenier znalazł tę kobietę?

– Okazuje się, że ją kochał. Była jego daleką krewną i marzył, by ją poślubić. Niedługo po wyjeździe z Paryża odebrała sobie życie, a on całą winą obarczył za to mnie. Być może słusznie.

Simon położył dłoń na ramieniu markiza.

– Być może wasz romans uwidocznił jej chorobę, ale popadłaby w szaleństwo wcześniej czy później, niezależnie od pańskiego udziału. Wziąwszy pod uwagę postępowanie de Greniera, w ich rodzinie jest jakiś defekt.

– Gdyby tylko to było takie proste. – Markiz poklepał ręką dłoń Simona, dla którego ten ojcowski gest był zdumiewający i niezwykle poruszający. – Marguerite nadal jest roztrzęsiona śmiercią de Greniera i swoim w niej udziałem. Śnią jej się koszmary. Lysette zresztą też. Straciłem całe lata z życia moich córek. Ich dzieciństwo minęło bezpowrotnie, a zaraz będą wychodzić za mąż. – Saint-Martin uniósł brew. – Bo będą zaraz wychodzić za mąż, prawda?

Simon zaśmiał się, robiąc krok w tył.

– Nie mogę zadbać o nie obie, tylko o jedną z nich.

– Co pana tak rozbawiło, panie Quinn? – zapytała Lynette, wchodząc do pokoju z łagodnym uśmiechem na ustach. Wyciągnęła do niego dłoń, którą ujął i pocałował.

– Nic takiego. Idziemy?

– Z przyjemnością.

Przeprosili, wyszli z saloniku i skierowali się korytarzem ku wyjściu. Gdy byli już w ogrodzie, Simon przyciągnął ją do siebie, wdychając świeży zapach deszczu i kuszący zapach perfum Lynette.

– Wiesz – powiedziała z uroczym uśmiechem – kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, podziwiałam twoją urodę i pomyślałam sobie, że takiego mężczyzny nie sposób ujarzmić.

– Ujarzmić? – Uniósł brew. – Nie jestem pewny, czy mi się to podoba.

– Och! – Spojrzała na niego spod firanki ciemnych rzęs. – Czyżby nie miał pan wobec mnie uczciwych zamiarów, panie Quinn?

– Teraz to „panie Quinn”? – Skręcił za wysoki krzew, przyciągnął ją mocno do siebie i pocałował namiętnie. Tylko niewielka część jego niezaspokojonego pożądania do niej wyrwała się na wolność.

Polizał ją po ustach, kusząc i drażniąc. Odpowiedziała niemym błaganiem o więcej, znacznie więcej niż mógł jej w tej chwili dać. Jego język wślizgnął się głęboko w jej usta, wypełniając je, liżąc, próbując, nęcąc.

– Wcale nie chcesz mnie ujarzmić, *a thiasce*.

– Pozwól mi dziś w nocy przyjść – wyszeptwała, odchylając do tyłu głowę.

– Nie kuś – zamruczał.

– Simon. – Zaśmiała się i otworzyła oczy. – Doprowadzisz mnie do szaleństwa. Czy wiesz, jak bardzo cię pragnę? Jak za tobą tęsknię? Czasem w nocy leżę, myśląc o tobie lubieżnie. O dotyku twoich rąk na moim ciele, o pieszczocie ust na piersiach, o twoim ciele pokrywającym moje...

– Cholera jasna. – Przyciągnął ją bliżej, wbijając mocno biodra w obszerne fałdy jej sukni. – Namówiłabyś świętego do grzechu.

– Tam w rogu jest altanka... – zasugerowała, pieszcząc językiem jego opuchnięte od pocałunków usta.

– Niech cię. Próbuję cię adorować jak należy.

– Trochę to poniewczasie, zważywszy, że już byłeś we mnie. – Zadrżała wtulona w niego. – Czasem czuję, jak wchodzisz we mnie, głęboko...

Mrucząc, Simon pocałował ją ponownie, wdzięczny za jej namiętność i nieskrępowanie, z jakim mu się oddawała. Bez cienia wstydu ani oporów, ufając mu całkowicie, od samego początku.

– Na co czekasz? – zapytała bez tchu.

– Chcę dać ci czas – powiedział ochryplym głosem, zakładając jej złoty pukiel za ucho. – Chcę, żebyś miała pewność, że to ja jestem tym jedynym.

Lynette uniosła brew.

– A jeśli spotkam kogoś innego? Pozwolisz mi odejść?

Ręce zacisnęły mu się odruchowo na jej delikatnym ciele i musiał zmusić się, żeby zwolnić uścisk.

– Nie.

Wiotkimi ramionami oplótła go w pasie i przyciągnęła do siebie.

– Tak sądziłam. Czyli dręczysz nas oboje bez sensu.

– Nie mam nic, co mógłbym ci zaoferować.

– Daj mi swoje serce i ciało. Tylko tego pragnę. Reszta – dom i rodzina – to wszystko zbudujemy sami. Saint-Martin obiecał mi sowity posag.

– Niepotrzebny mi twój posag – powiedział Simon, kontynuując spacer i próbując zmniejszyć napięcie, jakie w nim wzbudziła. – Eddington dotrzymał słowa, o dziwo.

– Cudownie. – Jej uśmiech powiedział mu, że cieszy ją jego radość. Wiedział jednak, że i tak by go przyjęła. – Moi rodzice zamierzają się pobrać.

Simon uśmiechnął się na te wieści. Rzadko widuje się tak dobraną parę.

– Życzę im jak najlepiej.

– To byłby idealny moment na nasz miesiąc miodowy w Irlandii – wymruczała. – Mogliby nacieszyć się sobą bez przeszkód.

– Lynette. – Zaśmiał się, podniósł ją i zakręcił w powietrzu. – Widzę, że będziesz mną dowolnie kręcić do końca naszych dni.

Oparła ręce na jego ramionach i pocałowała czubek jego nosa.

– Czyż możesz mnie winić, że chcę już zacząć te wspólne dni i noce? Jeśli będziesz zwlekać jeszcze chwilę, pomyślę, że czekasz, żeby sprawdzić, czy nie pojawi się ktoś lepszy ode mnie.

– Nie ma nikogo takiego.

– Oczywiście, że nie. – Przeczesała palcami jego włosy. Jej błękitne oczy patrzyły na niego ciepło, w oczekiwaniu. – Poproś mnie – szepnęła.

Wzdychając teatralnie, postawił ją na ziemi i przyklęknął.

– Lynette Rousseau, czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Oczy zaszczyły jej łzami i zadrżały usta.

– Och, Simon...

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej pudełeczko.

Otworzyła szerzej oczy ze zdziwienia.

– Miałaś to przy sobie, przez cały czas?

Simon uśmiechnął się.

– Och ty! – Tupnęła nóżką i odwróciła się na pięcie.

Simon ruszył za nią ze śmiechem. Wiedział, że już nigdy jej nie opuści.

Nie igray ze mną

Spis treści

Okładka	
Karta tytułowa	
Dedykacja	
PROLOG 1	
PROLOG 2	
ROZDZIAŁ 1	
ROZDZIAŁ 2	
ROZDZIAŁ 3	
ROZDZIAŁ 4	
ROZDZIAŁ 5	
ROZDZIAŁ 6	
ROZDZIAŁ 7	
ROZDZIAŁ 8	
ROZDZIAŁ 9	
ROZDZIAŁ 10	
ROZDZIAŁ 11	
ROZDZIAŁ 12	
ROZDZIAŁ 13	
ROZDZIAŁ 14	
ROZDZIAŁ 15	
ROZDZIAŁ 16	
ROZDZIAŁ 17	
ROZDZIAŁ 18	
Karta redakcyjna	

Tytuł oryginału
DON'T TEMPT ME

Projekt serii i zdjęcie na okładce
Anna Małyszek

Redakcja
Dorota Wer

Korekta
Jadwiga Przeczek

Copyright © 2006 by Sylvia Day
Copyright © for the translation by Małgorzata Miłoś, 2014
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2014



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa
<http://www.wielkalitera.pl/>

Odwiedź
nas na



ISBN 978-83-64142-56-7



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl

